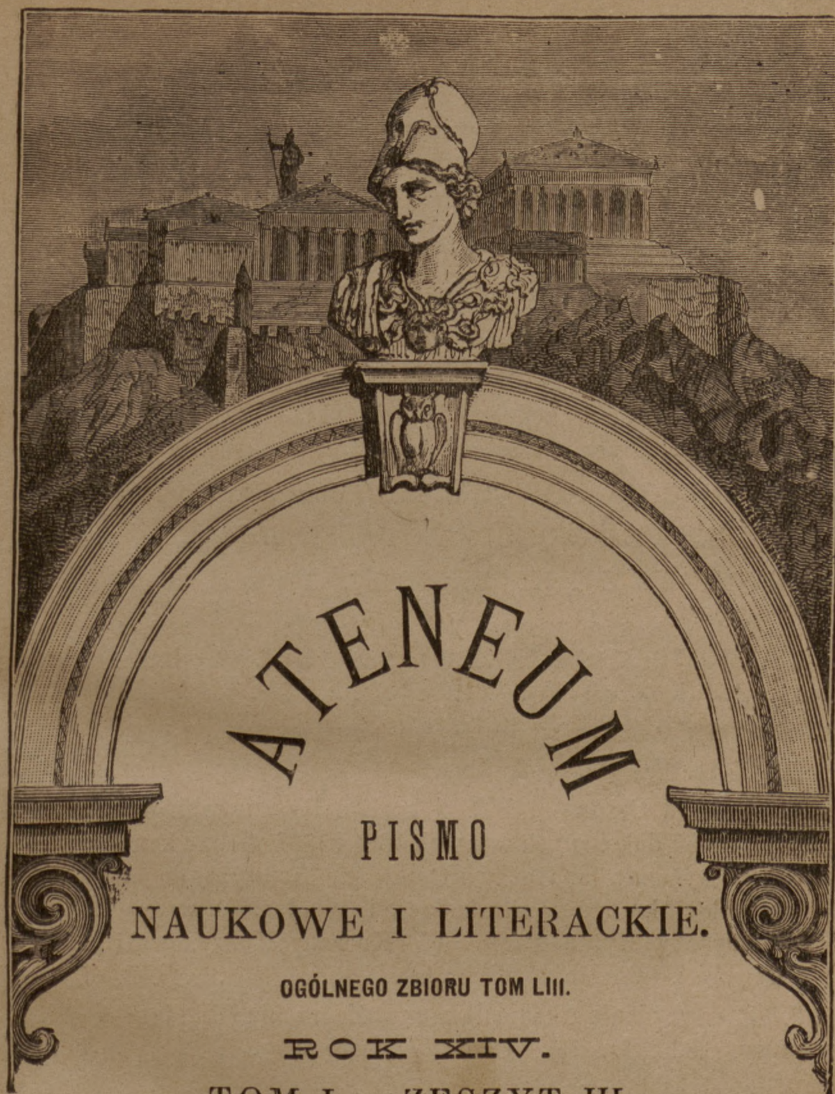


ATENEUM

PISMO
NAUKOWE I LITERACKIE.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM LIII.

ROK XIV.

TOM I. — ZESZYT III.

Marzec.

WARSZAWA.

Druk K. Kowalewskiego, Królewska N. 29.

1889.

SPIS RZECZY.

Druk ukończono 6 Marca 1889 r.



CZŁOWIEK I OTOCZENIE.

Czém jest człowiek? Odpowiedź i łatwa i trudna: łatwa, bo go mamy przed sobą; trudna, bo jest istotą wielce złożoną a krótką odpowiedzią treści jego określić niepodobna. Człowiekiem zajmuje się dzisiaj najmniéj tuzin nauk, a mimo tego, mówią, że jest on dla samego siebie największą zagadką. Przypuśćmy jednak, że wszyscy, nieuczeni i uczeni zgadzają się, co rozumiéć przez wyraz człowiek i do rodzaju *homo* nie zaliczą ani małp, ani innych niżéj stojących gatunków zwierząt i że zatém nieporozumienia pod tym względem być nie może.

Ale co rozumiéć przez otoczenie? Tu mogłyby wyniknąć różnice w odpowiedzi. Czy ziemia, klimat, pokarm, fauna i flora należą do otoczenia człowieka? czy wywierają wpływ na jego byt materyalny, umysłowy i moralny? Dawnemi czasy nie brano tych czynników w rachubę przy ocenie zjawisk społecznych, lub przynajmniéj nie przypisywano im tego znaczenia, co dzisiaj. Obecnie uważamy za prawdę niezawodną, iż czynniki owe bardzo stanowczo wpływają na losy człowieka i obejmują część pojęcia mieszczącego się w wyrazie „otoczenie". Drugą część stanowią ludzie bliżsi i dalsi, których nazywamy społeczeństwem. Jest tedy rzeczą bardzo interesującą przyjrzéć się stosunkowi między człowiekiem jednostkowym a jego otoczeniem. Przedmiot to, jak każdy widzi niezmiernie obszerny; pominiemy więc wpływ otoczenia fizycznego, a pomówimy o otoczeniu ludzkiém, społeczném. Powód do téj wycieczki w sferę stosunków ludzkich dały nam często spotykane i u nas i w zagranicznéj literaturze tak naukowéj, jak i beletrystycznéj, mniemania, że indywidualne zboczenia człowieka, jak niemniéj jego wyobrażenia religijne, moralne, prawne i ekonomiczne, wszystko to jest dziełem społeczeństwa danéj epoki, że jednostka nie ma

w tém ani winy ani zasługi. Może takie sformułowanie stanu sprawy nie jest ścisłe; może antyteza między poglądami na stosunek społeczeństwa do człowieka została wyrażona zbyt stanowczo; zatém zmodyfikujmy ją nieco i powiédzmy, iż w nowszych czasach okazuje się dotychczas przeważnie w teoryi, d ą ż n o ś ć, do zmniejszenia odpowiedzialności jednostki za ujemne czyny i zwalenia téj odpowiedzialności na społeczeństwo. Tak samo i czyny dodatnie w życiu indywidualném i zbiorowém przypisywane są nietyle osobistéj zdolności, energii i wytrwałości człowieka, ile raczéj otoczeniu. Zdawałoby się, że dzisiejsze teorye w zakresie etyki, prawa karnego, nawet estetyki dążą do zaprzeczenia inicyatywy człowiekowi, a wszystko chcą tłómaczyć wpływem otoczenia. Człowiek tedy spada do roli bezwiednego kółka w wielkiéj machinie, które się obraca nietyle samorzutną siłą, ile raczéj jest obracane okolicznościami, przypadkiem, otoczeniem. Złoczyńcę wychowało społeczeństwo, artystę także społeczeństwo; sami oni nie wiedzą dlaczego jeden nosi kajdany, a drugi jest sławiony i opłacany: właściwie, to społeczeństwo winno ponosić karę i nagrodę. Człowiek bowiem ani prosił o ujrzenie świata, ani zdrowych lub chorych rodziców sobie nie dobierał, ani praw i urządzeń przed rodzeniem swojém nie stanowił. Przychodzi on na świat i zastaje gotowe dla siebie: religią, prawa, urządzenia, obyczaje, zwyczaje tak samo jak ma gotową atmosferę fizyczną, w któréj oddycha. Czém jest i czém się w przyszłości stanie, to nie jego wina, ani zasługa; jest i zostanie tém, czém go zrobi otoczenie. Jego wola, osobista inicyatywa w dokonywaniu czynów złych lub dobrych, w jego myśleniu i rozumowaniu, tak mały biorą udział, jeżeli wogóle biorą, iż ani go chwalić ani ganić, ani karać ani nagradzać nie można. Jest tém, czém być musiał wśród takich a takich warunków, otoczenia, okoliczności, kroplą toczącą się wśród miliardów kropel, stanowiących ocean ludzkości.

Innemi słowy, pogląd taki na stosunek człowieka do otoczenia społecznego zdaje się dążyć do zredukowania odpowiedzialności osobistéj do *minimum*, a przeniesienia jéj na społeczeństwo. Pogląd ten nazywamy nowym. W istocie bowiem dawnemi laty odpowiedzialność jednostki za jéj czyny tak prawo jak i moralność składały prawie wyłącznie na nią samę. Gdy się komu nie powodziło pod względem ekonomicznym, on sam przeważnie był winien; kto się wyłamał z pod prawa, sam musiał przyjmować cały ciężar skutków, chociaż już wprowadzenie do pojęcia winy okoliczności łagodzących, lub obciążających, świadczyło, iż prawodawca rozumiał zależność człowieka bądź od psychicznego nastroju, bądź od warun-

ków otaczających działacza w chwili wykonania czynu. Zawsze jednak przeważało wśród moralistów i prawników przekonanie, że byle człowiek chciał, mógł wszystko z siebie zrobić, mógł zatém i wolę swoję powściągnąć od czynów zakazanych, a nagiąć ją do nakazanych. Jeżeli tego nie uczynił, winien jest, a owe okoliczności, łagodzące lub obciążające, mogły co najmniéj zmniejszyć, lub powiększyć o jakiś ułamek przewidzianą kodeksem karę.

Stosowany w praktyce codziennéj i w sądach taki pogląd na odpowiedzialność człowieka wynikał z ówczesnegn pojmowania woli ludzkiéj, którą uważano jakoby pewną istotę metafizyczną siedzącą w działaczu i tak dalece niezależną od temperamentu indywidualnego, od warunków poprzedzających i towarzyszących jednostce w chwili działania, iż zdawało się, że gdyby wola działała pod wpływem pobudek, motywów, stałaby się niewolną. Chcąc zatém tę jéj wolność ocalić, uczyniono z woli i jéj objawów jakąś siłę niezależną od niczego, zjawisko zupełnie odrębne, *sui generis*, nie wchodzące do łańcucha ogniw przyrodzonych, lecz znajdujące się zewnątrz nich, o nic niezaczepione, słowem bezprzyczynowe. Lepsze jednakże poznanie psychicznéj i fizycznéj strony człowieka przekonało, iż taka niezależność woli była przypuszczeniem dowolném i błędném; że przeciwnie, wola nasza jest zależna od pobudek, motywów, zamiarów, które walczą niejako w naszém wnętrzu; że one bywają niejednakowéj siły, i że zatém najsilniejsza z pobudek odnosi zwycięstwo nad innemi, czyli pociąga wolę w takim, a nie w innym kierunku. Ponieważ zaś przy tém ścieraniu się pobudek czynny jest rozum, oceniający je, zatém wola nie działa na ślepo, z koniecznością podobną fizycznéj; lecz wybiéra, decyduje się na pewien uczynek i w tém właśnie leży jéj wolność. Jest-to oczywiście nie swawola, lecz wybór, determinowany pobudkami, które rozum zważył i jednę z nich uznał za decydującą. Taką téż jedynie wolę można pociągać do odpowiedzialności, czyli mówiąc konkretnie, tylko w takim razie uważamy człowieka za wolnego moralnie i odpowiedzialnego za swoje czyny, gdy działał pod wpływem pobudek świadomie, przytomnie ocenianych.

Mamy zatém z jednéj strony wolę, albo jaśniéj mówiąc człowieka z pewném odziedziczoném usposobieniem duchowém i cielesném, w pewnym wieku przez prawo oznaczonym, z pewném, ukształceniem metodyczném, lub choćby taką sumą pojęć obyczajowych, jakie i bez szkolnego wychowania krążą w społeczeństwie; a z drugiéj otoczenie, na które składają się urządzenia religijne, etyczne, prawne, ekonomiczne, obyczaje, zwyczaje, moda; i daléj pojęcia naukowe ogólne i wyobrażenia sfery, lub grupy społecznéj,

do którój jednostka należy. Stawiamy obok siebie te dwa wyrazy: wolę i otoczenie, albo człowieka i warunki, okoliczności, wśród których ma działać. Każdy odrazu widzi, że dwa te czynniki są nadzwyczaj nierównéj siły, że jednostka wobec otoczenia, tj. swojego społeczeństwa, prawie niknie. Sam na sam, rozważając abstrakcyjnie wolę swoję lub cudzą, uważa się człowiek za najuzupełniéj wolnego; powiada sobie: mógłbym pójść na prawo albo lewo, siąść albo wstać, bawić się lub pracować i t. d. Ale jak tylko zechce wykonać którekolwiek z tych swoich zachceń, okaże się zaraz, iż jest zależny od mnóstwa okoliczności, pobudek, celów, warunków, słowem od otoczenia, nie pozwalającego mu się ruszać w którymkolwiek, lecz tylko w jednym kierunku, gdzie wola jego najmniejszy przewiduje opór.

Teraz zastosujmy to rozumowanie i te pojęcia o człowieku i jego otoczeniu do oceny wzajemnego ich stosunku, do wyznaczenia, chociażby niematematycznego, sumy odpowiedzialności, jaka ciąży na obojgu za dokonane czyny ujemne lub dodatnie. Już na pierwszy rzut oka widocznèm jest, że człowiek za odziedziczone po rodzicach usposobienie, za zdrowie ciała lub jego chorobę, za temperament psychiczny i pewne przyrodzone skłonności, nie może odpowiadać. Odpowiada więc jedynie za to, co jak przypuszczamy, ze świadomością, chociaż nie bez pobudek, uczynił. Suma téj odpowiedzialności wyznaczana niegdyś przez prawo karne i etykę, była bardzo znaczna: świadczą o tém kary okrutne i surowe sądy opinii na tych, którzy przekroczyli normy prawne i obyczajowe, panujące w pewnéj epoce. Nazwijmy takie stanowisko etyki i prawa względem człowieka indywidualistycznèm. Hasłem tu było, że byle człowiek c h c i a ł, wszystko może z siebie zrobić: odpowiedzialność tylko na nim ciąży.

Obecnie zdaje się przemagać dążność do zupełnie przeciwnego pojmowania odpowiedzialności człowieka; dzisiaj mówią: nie człowiek winien, lecz otoczenie. Jakimże to sposobem otoczenie ma odpowiadać za nasze czyny? Oto takim: społeczność, w którój przyszliśmy na świat, dała nam gotowe już pojęcia etyczne, prawne, religijne, zaszczepione w domu, w szkole, przez literaturę, obcowanie itd. Społeczność zatém winna, jeżeli postępując według tych norm, błądzimy, i na nią spada odpowiedzialność, Nazwijmy takie stanowisko etyki i prawa względem człowieka społecznèm, albo jak inni nazywają, socyalnèm.

Ileż jest prawdy w obu poglądach? Jestże prawdą, że człowiek wszystko może z siebie zrobić, byle chciał? Czy téż, że człowiek to tylko robi, do czego otoczenie go znagla?

Nikomu, kto się głębiéj zastanawiał nad człowiekiem, chociażby tylko nad sobą samym, nie przyjdzie do głowy dzisiaj utrzymywać, że może z siebie zrobić, co mu się podoba: dyabła lub anioła; przeciwnie, nawet powstanie téj chęci, tego p o d o b a s i ę, zależne jest od przyrodzonego temperamentu. W jednym człowieku zjawia się samorzutnie reakcya przeciw pewnemu uczynkowi, np. nałogowi; w drugim pomimo zachęty i usiłowania do reakcyi przyjść nie może, lub jeżeli przychodzi, wnet następuje omdlenie, wola się rwie, niby z piasku kręcony biczyk. Nie wszystko tedy możemy z siebie zrobić; tysiące przeszkód leżących w nas i za nami, hamują rozpęd woli naszéj. Czujemy przecież mimo to wszystko, że nie jesteśmy podobni do piłki, rzucanéj rękoma swawolników, lecz raczéj do pewnego przyrodzonego czynnika w szeregu innych takichże czynników, w têm jednak różnego od nich, że działa świadomie. Wola nasza nietylko odbiéra potrącenia, że tak nazwę, od zewnętrznych okoliczności, pobudek, ale i sama stanowi pobudkę czynną, skłaniającą do działania innych, będącą ogniwem w nieskończonym łańcuchu przyczyn i skutków, a têmsamêm i na niéj ciąży pewien ułamek odpowiedzialności za czyny dokonane. To tylko jest pewne, że procent odpowiedzialności ciążącéj na jednostce ludzkiéj niższym się zdaje w teoryi dzisiejszéj, niż był jeszcze przed półwiekiem. Zupełne uwolnienie człowieka od odpowiedzialności, tj. zredukowanie go do bezwiednego kółka w wielkiéj machinie świata, przeciwi się i temu, co nauka dzisiejsza wié o człowieku, i historyi. Ta ostatnia przecież świadczy, że inicyatywa wychodziła i wychodzi od dzielniejszych jednostek w społeczeństwie; że gdyby inna była konstytucya natury ludzkiéj, gdyby człowiek był właśnie tylko trybem zazębionym o inne tryby, świat ludzki kręciłby się wiecznie po tych samych orbitach, o żadnym postępie naprzód mówićby nie można. Słowem, w rezultacie ostatecznym, tj. w uczynkach ludzkich, jest cząstka samych działaczów i *pro tanto* są oni odpowiedzialni.

Drugą i znacznie większą część odpowiedzialności musi przyjąć, i od wieków przyjmuje na siebie, społeczeństwo. Rzeczywiście, przez swoje prawa, urządzenia, maksymy etyczne, szkołę, religią itd., utworzyło ono niejako atmosferę umysłową i moralną, którą jednostki oddychają. Żeby to jaśniéj wyłożyć, nie mówmy o wszystkich składnikach otoczenia ludzkiego, lecz o jednym tylko np. o wpływie grupy społecznéj na myśli, czyny i całe postępowanie jednostki, należącéj do owéj grupy lub klasy.

Uważamy dzisiaj za rzecz pewną, iż człowiek nigdy na świecie nie żył w odosobnieniu zupełnêm (wyjąwszy chyba pustelników)

lecz w gromadach większych lub mniejszych. Gromady te z czasem ukonstytuowały się w większe społeczeństwa, narody i państwa; powstały wśród nich grupy i klasy mniejsze, wytworzone podziałem pracy i zajęć. Dzisiaj, człowiek rodząc się, już przynosi sobie stan tak zwany cywilny: zapisali go w księgach parafialnych pod rubryką chłopów, mieszczan, lub szlachty; chcąc nie chcąc będzie potém figurował we wszystkich aktach przez całe życie jako chłop, mieszczanin, lub szlachcic. Oprócz tego, ten sam człowiek może należéć czasowo, lub dożywotnio, do klasy urzędniczéj, kupieckiéj, wojskowéj, duchownéj, rolniczéj, rzemieślniczéj itd. Każda z tych klas wyrobiła dla swoich członków pewne wyobrażenia, o obowiązkach, honorze, obyczajności, modzie, o tém wogóle, co komu przystoi, a co go poniża. Człowiek urodzony w pewnéj z tych grup i klas, nim jeszcze dojrzeje i uzdolni się do krytyki wyobrażeń klasowych, już one go wzięły niby w kleszcze, przefiltrowały się do jego duszy, serca, umysłu tak, iż w pewnéj mierze można twierdzić, że przez niego i za niego przemawia i myśli grupa, klasa, do któréj go losy zaregestrowały. Rzeczywiście, począwszy od kroju sukni i formy czapki, aż do utartych sposobów mówienia przy powitaniu, lub pożegnaniu, grupa nie zostawia jednostce swobody. Dzieje się to we wszystkich klasach i stanach społecznych.

Przyjrzyjmy się choćby niewielu szczegółom. Znajdujecie się na jarmarku w Sandomierskiém powiecie, czy Podlaskiém. Rozwieszone czapki, buty, sukmany, uprząż wszystko jednego kroju. W innéj okolicy, o mil kilka czy kilkanaście, znowu to samo, chociaż forma odzieży, obuwia, zaprzęgu, może się trochę różni od formy poprzedniéj i przez to daje znać, że jesteśmy w innych stronach. Niechaj chłopak lub dziewczyna ubiorą się inaczéj, niż reszta ich rówieśników téj okolicy: wyśmieją ich, wyszydzą i tą drogą nagną do poddania się takiéj, a nie innéj formie odzieży. Co tu między włościanami, dzieje się to samo w innych stanach; potęga grupy przejawia się w ubiorze, budownictwie, uprawie roli, zwyczajach i obrzędach weselnych i smutnych. Każda klasa ma swoję moralność, swoje zapatrywanie na honor i cześć. Człowiek należący do niéj musi się poddać najniedorzeczniejszym zwyczajom, jeżeli nie chce być wyśmiany i wzgardzony. Może np. nie płacić należności szewcowi i krawcowi, ale dług karciany, h o n o r o w y, pokryje w ostateczności kradzieżą. Chociaż weksle fałszował, przyjmowany był w salonach swojéj klasy; ale gdy pojedynku odmówił, uznano go za zhańbionego.

Nie ulega tedy wątpliwości, że grupa społeczna, że stan, klasa. profesya, do jakich należymy, siłą prawie narzucają nam swój ubiór,

modę, zwyczaje, obyczaje, sposób myślenia i frazeologią, pod grozą szyderstwa, a nawet wyklęcia. Ażeby się z tych niby pajęczych, a rzeczywiście stalowych sieci i siateczek wywikłać, potrzeba niepośledniéj siły charakteru i odpowiednich warunków, zwłaszcza materyalnéj niezależności; potrzeba wprzód rozumiéć całą obecną nicość tych klasowych i stanowych zwyczajów, przesądów, a potém chcieć i módz pożegnać je politowaniem. Otóż, warunki i okoliczności tak przychylne dla jednostki rzadko, ale przecież się zbiegają i stawią ją w możności przeciwdziałania obyczajom i poglądom grupy, do któréj należy. Reakcya taka bywa połączona z wielu trudnościami i niebezpieczeństwami, jednak lepsze i dzielniejsze jednostki zdobywają się na nią. Jeżeli społeczeństwo, otoczenie oddziaływają na człowieka w dodatnim, lub ujemnym kierunku, to trzeba przyznać, że i on oddziaływa na nie, otwierając innym oczy na błędy w pojmowaniu świata, łamiąc przesądy, modyfikując zwyczaje i obyczaje. Jest to praca powolniejsza, wpływ mniéj wyraźny, pomimo tego przecież pewny: dzieje ludzkie wogóle, a nawet w mniejszym zakresie obserwowane społeczeństwo pokazuje nam takie przykłady akcyi i reakcyi otoczenia na człowieka i jednostki na otoczenie. Nie przyjmując hipotezy o ludziach opatrznościowych, można jednak widzieć, jak jednostki szczęśliwiéj od natury obdarzone i w dogodniejszych dla rozwoju warunkach postawione, dają początkowanie potężnym nieraz instytucyom przemysłowym, filantropijnym, naukowym, i tym sposobem przeciwdziałają stagnacyi, nędzy i ciemnocie. Takich ludzi jaknajwięcéj! Tacy są żywym argumentem, przekonywającym skuteczniéj od logicznych, że i na jednostki przypada część udziału w pomyślności ogólnéj, że i one są odpowiedzialne, że nie samo społeczeństwo tworzy historyą i nie ono tylko ma być pociągane do sądu.

Prawdą jest, że człowiek w stosunku do społeczeństwa ludzkiego wogóle, lub tylko swojego, stanowi siłę drobną i nikłą, że otoczenie ciąży na nim masą nieproporcyonalnie wielką: z tém wszystkiém byłoby błędem utrzymywać, że za czyny swoje nie on sam, lecz otoczenie winno odpowiadać. Nie mówimy nic o następstwach takiego poglądu dla życia społecznego wogóle i dla energii indywidualnéj. Odpowiedzialność za czyny indywidualne rozkłada się na dwie strony: na działacza i na otoczenie. Pierwszy ponosi skutki najbliższe; otoczenie, skutki odleglejsze, ale niemniéj pewne. Począwszy od rodziny, krewnych i znajomych, odczuwających materyalnie i moralnie następstwa złego postępowania swoich spółczłonków, a skończywszy na całym narodzie, który w formie po-

datku na policyą, szpitale, więzienia ponosi rzeczywistą odpowiedzialność za czyny jednostek—widzimy jak solidarnie obie strony—człowiek i otoczenie—są połączone ze sobą, jak jeden i drugie muszą się dzielić owocami własnych błędów.

Nazwaliśmy pogląd na stosunek człowieka do otoczenia społecznego indywidualistycznym wtenczas, gdy całkowitą odpowiedzialność za czyny jednostki składa na nią wyłącznie, a socyalnym wtenczas, gdy za te same czyny społeczeństwo odpowiedzialném czyni. Oba te poglądy wzajem się wyłączają. Są one jednostronne i jako takie do konkretnych stosunków ludzkich, do ludzi żywych, jednostek wprawdzie, ale zawsze w społeczeństwie żyjących, zastosować się nie dadzą. Pomimo nacisku, jaki społeczeństwo na jednostki wywiera, jest przecież w nich samych, pewne poczucie osobistéj odpowiedzialności, poczucie, jak mniemamy, nie mylne, o ile go nie obłąkała sofistyka własnych namiętności, lub sofistycznych teoryi. Pochlebia to bowiem zepsutéj woli, gdy zboczenia swoje od norm prawnych i obyczajowych może upozorować bądź fatalizmem i koniecznością, niby fizyczną, bądź instytucyami społecznemi. Byłoby więc na czasie przypominanie ludziom, że nie cała odpowiedzialność za czyny nasze spada na społeczeństwo, na otoczenie, na zbieg okoliczności; że wola jednostkowa bierze mniéj lub więcéj świadomy udział w uczynkach; że zatém każdy z nas powinien się liczyć z następstwami swoich kroków.

Na co i komu przydatny ten morał? Jako ostrzeżenie, by jednostki ludzkiéj nie topiono w społeczeństwie, by się czuła osobowością i charakterem, nie zaś bezwiednêm i bezmyślném kółkiem w machinie. Być sobą i odpowiadać za siebie: oto hasło zdrowéj etyki; otoczenie, okoliczności, warunki i tym podobne argumenta czasami nas tłómaczą i sprawiedliwie, ale na nich wyłącznie budować teoryi i praktyki niepodobna, gdyż jest to, mówiąc z poetą, *instabilis tellus innabilis unda*. *K.*





FRANCUZI I NIEMCY

PODCZAS WOJNY.

Ukazał się trzeci tom dzieła pod tytułem „Francuzi i Niemcy, czyli wojna z 1870—71 r.“, przez Dicka de Lonlay i jak dwa poprzedzające odrębną zawiera całość: jeden ustęp z olbrzymich zapasów, w jakie poszły ze sobą dwa narody, z których każdy ma pretensyą być pierwszym na świecie i stać naczele cywilizacyi.

Mówiono mi (a wszystkie „mówiono“ biorę i daję z zastrzeżeniem), że autor sam nie wiedział pisząc tom pierwszy, czy przyjdzie koléj na następne. Powodzenie zachęciło go i oto mamy ciąg dalszy. Ta obawa nie jest bezzasadną i nieprawdopodobną, dzieło bowiem napisane z taką drobiazgowością, że pomimo żywotności swéj treści, czytanie onego, dla ogółu, do najbardziéj zajmujących zaliczyć się nie da. Autor opowiada po kolei, który oddział, o któréj godzinie, na jakim punkcie, wystąpił do boju; do jakiego oddziału, pułku, dywizyi należał żołnierz, który się odznaczył; czy był ułanem, dragonem, kirysyerem, artylerzystą itd.; niejednokrotnie téż dowiadujemy się jak wyglądały mundury takiéj a takiéj barwy, z takiemi a takiemi wyłogami i guzami. Słowem, mnóstwo drobiazgów, nudnych dla profana. Pomimo to książka jest bardzo czytaną (1), bo porusza sprawę kamieniem leżącą na francuskiém sercu. Trudno sobie wyobrazić, nie będąc na miejscu, jak żywém jest doznane przed ośmnastu laty upokorzenie, jak ono jątrzy—choć się do tego nie przyznają—i uczucie patryotyzmu podnosi do stanu gorączkowego, które chyba po świetnym odwecie powróci do zwykłéj normy. Ich patryotyzm dziś—to szowinizm.

---

(1) Nawet przedrukowywaną po czasopismach (np. w dzienniku *La Nation*).

Jednak przegrana wyszła na korzyść Francuzom. Lekceważyli dawniéj każdego, kto nie pochodził od Gallów i nie zwał się Frankiem; zasklepiali się w swéj wielkości, którą przeceniali i którą może i teraz przeceniają; ale już nie lekceważą drugich, już się przekonali, że nie posiadają monopolu na wszystko to, co wielkość kraju stanowi. Więc ze skrzętnością i energią sobie właściwą jęli się naprawiania złego. I w tém, bodaj, czy nie najwymowniejszy dowód sił żywotnych tego narodu. Reformując armią, szkoły, wychowanie, rozszerzają zakres wykładów obcych języków, dziejów (1), literatur, wszystkiego, jedném słowém, co daje poznać naród pod względem jego zasobów intelektualnych i materyalnych: przyswajają sobie to, co za dobre lub pożyteczne u innych uznali. I gdy w tym kierunku praca się rozwija z powodzeniem, z drugiéj strony szukają przyczyn swego pogromu, czegoś coby gorycz doznanego upokorzenia osłodzić a ich uniewinnić mogło. Dzieło p. de Lonlay dostarcza takich faktów autentycznych, niezmyślonych, i w tém jego powodzenie a nawet zasługa leży. Francuz czytając o odwadze, poświęceniu się, bohaterstwie rodaka takiém, jakie podziwiał niby wzór niedościgły u starożytnych Greków i Rzymian, podnosi się na duchu, bo widzi, że im sprostał, że jeśli został pokonany, to nie z winy narodu lecz kierowników.

Zaiste heroiczne są epizody w téj wojnie, godne homerowskiego pióra a pędzla Matejki.

Tom I-szy opowiada działania wojenne pod Niederbronn, Wissemburgiem, Froeschwiller, Chalons, Reims, Buzancy, Beaumont, Mouzon, Bazeilles i Sedanem. Tom II-gi pod Sarrebrück, Spickeren, Pont-à-Mousson, Borny i odwrót do Metzu. Cały zaś tom trzeci poświęcony bitwie pod Rezonville, zwanéj także Mars-la-Tur, a zaszłéj pod dowództwem Bazaine'a, d. 16 sierpnia 1870 r.

Od pierwszych kart dzieła nie można się oprzéć gniewowi i oburzeniu, widząc z jaką lekkomyślnością wypowiedziała Francya tę nieszczęsną wojnę, jak ją niedbale i po dyletancku prowadziła. To żołnierze zostali znienacka napadnięci (2), to zabrakło dostate-

---

(1) Jest w uniwersytecie obecnie katedra, wyłącznie poświęcona studyom historyi Prus, a na wykładającego powołano jednego z najzdolniejszych profesorów historyi, p. Lavisse'a. Nietylko uczniowie płci obojéj, lecz publiczność ciśnie się na tę prelekcyę, i sala zawsze pełna po brzegi, tak przedmiot interesuje wszystkich. Dodać potrzeba, że wykład jest znakomity.

(2) Pod Beaumont Francuzi zajęli niekorzystną pozycyą, zaniedbali rekonesansu, i najspokojniéj w świecie jedni czyszczą odzież, drudzy piorą bieliznę, jeść gotują, poją

cznéj ilości pożywienia dla ludzi i koni, to nie stało w bitwie ładunków, nie zajęli dogodnéj pozycyi przez niedbalstwo, nie zapobiegli choć mogli, krokom nieprzyjacielskim, nie poniszczyli za sobą mostów, jedno zaniedbali, drugie prześlepili, słowem, co krok to błąd, omyłka, strata czasu, z czego nieprzyjaciel, wybornie przygotowany, umié korzystać znakomicie.

Cóż z tego, że dokazują cudów waleczności, że bronią po kolei każdego punktu, każdéj piędzi zajętéj pozycyi jak Tytany, że epizody takie, jak szarża kirysyerów (pod wodzą Bonnemains) na armaty lub szarża pod Morsbronn (tysiąca jednego przeciw dziesięciu tysiącom, jeśli się nie mylę) albo opór kilku tyralierów pod Bazeilles, którzy przez długi czas opierają się całemu batalionowi i kładą trupem więcéj niż 5000 (pięć tysięcy wyraźnie) Bawarów — są żywą epopeją — wszędzie muszą ustąpić przed siłą, przed liczbą.

Dla bezstronnego, nieroznamiętnionego polityką widza, ostatni akt dramatu zarysowuje się już od pierwszéj sceny téj tragedyi, od działań pod Wissemburgiem, gdzie dowodzi bohater z pod Malakowa i Magenty, Mac-Mahon. Francuzi walczą bohatersko lecz przegrywają, bo liczebnie znacznie są słabsi od nieprzyjaciela, a ten nieproporcyonalny stosunek w ludziach i działach spotykamy niejednokrotnie. Pod Wissemburgiem naprzykład, na jednym punkcie walczy 5,000 przeciw 24,000. Pod Geissbergiem kilkuset opiera się w zamku 30,000 (a poddaje się dopiéro wtedy, gdy zabrakło nabojów. Niemcy sądzili, że mają do czynienia z równą siłą, to téż ze zdumieniem i upokorzeniem ujrzeli, po poddaniu się, wychodzących 12 oficerów i 450 żołnierzy). Na innym znów punkcie pięciuset żuawów zmusza dziesięć razy do cofnięcia się dziesięciotysięczny oddział i 3,000 kładzie trupem. Pod Woerth walczy 35,00 Francuzów przeciwko 140,000 Prusaków i Bawarów; pod

---

konie, a przecież pogłoski o zbliżaniu się nieprzyjaciół powtarzają się ciągle. Dzierżawca niejaki, Drouin, przychodzi ostrzec gen. Failly, że Niemcy nadciągają i już zajęli jego fermę; dzierżawczyni, pani Constance Burdo, przybiega zdyszana do sztabu z temi samemi wieściami, a po drodze opowiada je wszystkim i ostrzega wszystkich, na co otrzymuje żartobliwą odpowiedź:

— Czemuż nie oczekujecie ich matko tak spokojnie jak my, gotując zupę?

To téż Prusacy nadeszli i zwyciężyli, zrabowali; nie pomogły bohaterskie wysiłki, bo nie było wprzód rozumnego przygotowania się.

Pod Bazeilles (wioska pamiętna tém, że Turenius spędził w niéj swe dzieciństwo) to samo się powtarza. Ludność wysypała się na przyjęcie przybyłych obrońców ojczyzny; wojacy ujęci uprzejmością mieszkańców, improwizują bal i dalejże w tany. A tymczasem pod Beaumont grzmią działa, aż odgłos ich tu słychać, a na horyzoncie widać ogniste błyski przelatujących kul... Toż krwawo się kończy niewczesna hulanka.

Niederwaldem Francuzi mają 48 dział, Niemcy 108. Dopiéro pod Rezonville siły się równoważą. Bazaine dowodzi 110,000 do 115,000 armią i posiada dostateczną ilość zapasów wojennych, ale tu zła wola naczelnika niweczy wszystko.

Wiadomo, że w kierunku Verdun, z Metzu, znajdują się — na odległości mniéj więcéj trzech kilometrów od siebie — wioski Gravelotte, Rezonville, Vionville i Mars-la-Tour. Jest to ważny punkt strategiczny z tego względu, że stąd roschodzą się dwie drogi do Verdun. Napoleon III wyjeżdżając o świcie z Gravelotte, rozkazał Bazaine'owi, by dążył co prędzéj do Verdun (1), dla połączenia się z Mac-Mahonem i wspólnego z nim działania. Ale Bazaine nie myśli wcale ani o spełnieniu cesarskiego rozkazu, ani o spełnieniu swéj powinności wojskowéj. On postanowił cofnąć się do Metzu i wszystkie jego rozporządzenia do tego się ściągają. Rozporządzenia te są fatalne, paraliżują działalność wojska i wodzów i w rezultacie nie pozwalają wyciągnąć wszystkich korzyści z otrzymanego zwycięstwa.

Autor nie waha się nazwać Bazaine'a zdrajcą (są dziś tacy, którzy go bronią) i przytacza fakta, które go piętnują tém ohydném mianem. Już sam początek bitwy oskarża marszałka. Bazaine daje się zejść znienacka nieprzyjacielowi tak, jakby się nie dał zejść pierwszy lepszy roztropny oficerzyna. Wszak mieć się na baczności i rozstawić czaty, gdy wojsko rozłożyło się obozem, toć rzecz elementarna, ale Bazaine o tém wiedzieć nie chce. Nic więc dziwnego, iż nieprzyjaciel skorzystał z karygodnéj nieopatrzności i rozpoczął atak, gdy Francuzi jedni poili konie, drudzy śniadanie przyrządzali lub jedli, a inni chędożyli ubranie. Naturalném następstwem popłoch niezmierny w pierwszéj chwili śród ludzi i koni; ale prędko wszystko powraca do porządku: dowódcy nie tracą głowy, wydają rozkazy z zimną krwią, żołnierze się szykują i rozpoczyna się jedna chyba z najkrwawszych i najzażartszych bitew.

Czytając opis tych bohaterskich zapasów całych pułków i pojedyńczych osób, doznaje się różnorodnych wrażeń: podziwu, uwielbienia, rozrzewnienia, ale nad tém wszystkiém góruje jakieś przygnębiające uczucie, przynajmniéj chwilami... bo zdrada Bazeine'a widna w jego rozporządzeniach, psuje harmonią szlachetnych wysiłków dzielnego wojska, jak owa nuta fałszywa w improwizacyi Jankla, bo wiemy, że tysiące ofiar padną, a śmierć ich nie przy-

---

(1) „Je pars pour Verdun et Châlons... Mettez vous en route pour Verdun le plus tôt possible."

niesie pożytku tym, dla których głowę dali, chyba posłuży za naukę dla potomnych aż „wstanie mściciel ich kości“.

Kto zna charakter narodu francuskiego, odnajdzie go w toku téj bitwy ze wszystkiemi niemal przymiotami i wadami, a dowcip i żartobliwość nie odstępują ich śród najgorętszego ognia.

Gdy na pewnym punkcie coraz bardziéj się wzmagały pociski dział prusko-niemieckich, Francuzi, słysząc świst nadlatującego granatu pochylali się i kładli na końskiéj szyi, a podnosili się gdy chwilowe niebezpieczeństwo minęło. Canrobert widząc powtarzający się ten manewr, odzywa się:

— „Cóż takie pokłony bijecie, moje dzieci, wszak nie jesteśmy na mszy w kościele“.

I nikt potém nie odchylił głowy przed pociskiem kuli.

Kapitan Hulin zimną krwią i jednym frazesem przywodzi do opamiętania się cały oddział. Oddział ów, napierany przez liczniejszy zastęp, zaczyna uciekać i strzelać na chybił trafił. Hulin odzywa się spokojnie i dobrodusznie—jak gdyby szło a jakąś niewinną zabawę malców w cichym zakątku wiejskim.

— „Pierwszego, który strzeli bez potrzeby, wytargam za uszy“.

Wnet żołnierze się opamiętali, sformowali w szeregi i zaczęli walczyć jak należy.

Zimna krew wodzów jest zdumiewająca i najzbawienniéj oddziaływa na wojsko. Gdy jeden z pułków nowozaciężnych, wystawiony na najsilniejszy ogień działowy, zaczął się trwożyć i mieszać, dowódzca Nieger, nie mówiąc słowa, wyjechał na czoło szwadronu i dostawszy papierosa zaczął go palić najspokojniéj, pomalutku, jak gdyby się znajdował bezpieczny w swoim pokoju. Widząc to, żołnierze uspokoili się i jak mur stali przed nieprzyjacielem.

Jakkolwiek ta spokojna odwaga wobec śmierci jest zdumiewająca, znajdujemy w opowiadaniu p. de Lonlay, we wszystkich trzech tomach, fakta zdaje się nieprawdopodobne, tak są nadzwyczajne, a przecież prawdziwe. Oto z nich niektóre.

Porucznik Beaugier, z dziesięciu ludźmi dobréj woli, poszedł przetrząsnąć pewną część lasu Saint-Marcel i został zaskoczony przez kilka oddziałów pruskich. Nie tracąc ducha, rzuca się na nich wołając: „Naprzód! na bagnety!“ Sierżant Labrude i żołnierz Waltar, przy nim będący, powtarzają ten okrzyk, za nimi powtarzają go ich towarzysze śród zarośli, a echo roznosi go wokoło. Prusacy myśląc, że się natknęli na znaczną liczbę wojska, cofają się, w ich szeregach tworzą się luki, Beaugier korzysta z tego i przedziera się do swoich, raniony wprawdzie, lecz nie straciwszy ani jednego z podkomendnych.

Podoficer Jamet stracił lewe oko: „Do celowania potrzebuję tylko prawego oka“, powiada i walczy dalej.

Na jednym punkcie wybito wszystkich kanonierów, służbę i konie przy armatach, które tuż tuż miały wpaść w ręce nieprzyjaciół.

— „Działa! działa!“ — woła z rozpaczą pułkownik Forceville. Wnet oficerowie i żołnierze rzucają się do dział, jedni się w nie zaprzęgają, drudzy je popychają i ciągną pod gradem kul nieprzyjacielskich, aż dosięgają wzgórza, gdzie stały konie zapasowe i ludzie do posługi. Armaty ocalały.

Kwatermistrz Auburtin, siłacz niepospolity, uniesiony zapałem, wypada pierwszy ze swego oddziału na nieprzyjaciela i pierwszego przeciwnika uderza z taką zapamiętałością, że łamie swój pałasz. Chwyta za toporek, którego używał przy pakowaniu bagaży i walczy dalej tą pierwotną bronią, ale rękojeść siekierki się łamie. Więc zdziera kask z głowy, porywa za kitę włosienną i wywijając młynka, tłucze w prawo i w lewo, broni się zażarcie, aż nadbiegli towarzysze tego nowego Samsona i dopomogli do ocalenia się.

Ale nietylko mężnie lecz zajadle walczą; z nienawiścią, która przywodzi na myśl nienawiść Ugolina. Jeden z żołnierzy, którego nazwisko nie dochowało się, raniony naprzód w głowę, pada po krótkiej chwili ze zgruchotaném udem; jednak się podnosi i dostawszy z kieszeni starej, w czerwone kraty chustki, bandażuje sobie nogę. Walka wre straszna, zażarta, on już w niej udziału brać nie może, bo chwile jego policzone. Ale nie! On chce walczyć, chce się przynajmniej pomścić. O kilka kroków leży wypadła mu z rąk strzelba; czołga się ku niej na czworakach; noga zgruchotana broczy krwią ziemię, rana w głowie krwią zalewa oczy i ćmi wzrok, życie uchodzi gwałtownie. Już nieszczęśliwy nie ma siły się podnieść, więc kładzie się bokiem i czatuje. Nieprzyjacielski oddział się zbliża, na czele dowódzca widny po sutych ozdobach munduru. Raniony Francuz ostatniém sił wytężeniem podnosi strzelbę, celuje i pułkownik Kameke pada ze strzaskaną głową.

Anglade został raniony w prawą rękę odłamkiem granatu; gdy mu ją opatrzono i włożono w dwie deszczułki, z zazdrostki od okna oderwane, wsiadł znowu na koń i wziąwszy uzdę w zęby, zaczął znów walczyć na czele swego oddziału. Raniony powtórnie i zostawiony na pobojowisku za nieżywego, ocucił się w nocy i poczołgał w kierunku Metzu. Znaleziony przez swoich i oddany do szpitala, stracił prawą rękę, którą trzeba było amputować, lecz we dwa miesiące stanął znów w szeregach do obrony ojczyzny.

Ból znoszą z wytrwałością, jakiejby dawni stoicy pozazdrościć mogli. Młodziutki żołnierz, podczas bardzo bolesnéj operacyi,

opowiada podtrzymującym go dwóm infirmierom, w jaki sposób został raniony i kończy z humorem: „Ale to nic nie szkodzi, Prusak już tego więcéj nie zrobi, bom mu odpłacił jak należy“. Jeden z grenadyerów, z twarzą poszarpaną przez kule, idzie krokiem pewnym, wsparty na ramieniu towarzysza; naraz ściemnia się mu w oczach i musi usiąść przy drodze. Chirurg zbliża się by opatrzéć ranę, a choć lancetem porze ciało głębiéj, żołnierz nie drgnął, nie wydał jęku. Po skończonéj operacyi odszedł równie pewnym krokiem, a chirurg patrząc ze współczuciem i podziwieniem, rzekł: „ten człowiek za godzinę umrze“.

Dwudziestoletni kwatermistrz Soret został trafiony odłamkiem granatu. Goleń w mgnieniu oka stała się bezkształtną masą, trzymającą się reszty ciała na kilku włóknach mięsnych. Nieszczęśliwy, leżąc na pobojowisku, postanawia sam operować sobie nogę; bierze szablę, ale ta stępiona i wyszczerbiona, ciąć nie chce.—Ktoś przechodzi koło niego; on prosi o pożyczenie noża i na nowo rozpoczyna straszną robotę, również bezskutecznie... Dopiéro na ostatku przypomina sobie, że ma w kieszeni scyzoryk; szuka go i znalazłszy, odcina sobie stopę... Ale nie na tém koniec męczarni. Towarzysze broni rejterowali; ambulanse pruskie nie zabrały wroga, sześć dni przeleżał męczennik na polu bitwy pod jabłonią, pod którą go kula powaliła. By zaspokoić głód i pragnienie jadł jabłka spadłe na ziemię; gdy ich zabrakło, ssał swoją kapotę przemokłą od deszczu, który bezprzestanku padał, ażeby powstrzymać upływ krwi ze skaleczonéj nogi, wygrzebał rękami dołek w rozmokłym gruncie i włożywszy weń okaleczone udo, przykrył ziemią. Dopiéro szóstego dnia wieśniak przypadkiem go znalazł i odstawił do ambulansu w Hagenau. Soret wyleczył się.

Śród tych dowodów hartu iście bohaterskiego znajdujemy mnóstwo szczegółów poświęcenia i dobrego serca. Ten oddaje swego konia zwierzchnikowi w bitwie, mówiąc, że życie wodza potrzebniejsze, niż żołnierza (Fallet). Drugi z narażeniem życia ratuje towarzysza; inny oddaje swą miarkę napoju wrogowi, a odtrąca kosztowny zegarek, który ten mu ofiaruje na zapłatę. Ktoś raniony w głowę i konający—bo mózg wycieka przez głęboką szramę — jeszcze się troska o losy ojczyzny i braci, i podnosząc wzrok gasnący pyta: „czyśmy zwyciężyli?!!“

Obok tych przykładów wzruszających i godnych naśladowania znajdujemy mniéj wzniosłe ale charakterystyczne. Prusak zamierza się do cięcia pałaszem i woła: „Masz, łajdaku Francuzie!“. Zręczny Francuz unika ciosu i odpowiadając: „Masz, świnio pruska“,

zakłuwa go bagnetem (1). Widocznie tradycya kłótni homerowskich bohaterów przechowała się do dziś dnia.

Opowiadając waleczne czyny rodaków, stara się autor być bezstronnym i oddać sprawiedliwość nieprzyjaciołom. Przyznaje im męstwo, karność, wytrwałość i inne przymioty, stanowiące dobrego żołnierza, ale przytacza téż fakty, które brzydki cień rzucają na charakter armii prusko-niemieckiéj.

Pod Rezonville naprzykład, naraz cały jeden oddział piechoty przestaje strzelać i, wraz ze swym kapitanem, podnosi kolby w górę na znak poddania się. Francuzi więc także zaprzestają ognia i porucznik Falabrègue zbliża się by odebrać broń, którą mu Niemiec podaje prawą ręką, gdy tymczasem lewą trzyma za plecami. Zaledwie Falabrègue wyciągnął rękę po szpadę, aliści Niemiec strzelił doń zdradziecko z rewolweru, który chował za sobą. Na widok tego podstępnego morderstwa Francuzi wściekle się rzucają na nikczemnych wrogów i w mgnieniu oka ścielą ich trupem; zdrajca pułkownik pada pierwszy pod niezliczoną liczbę ciosów, gdyż każdy żołnierz chciał pomścić swego wodza.

Tyralierzy francuscy 1-go batalionu, mocno ucierpieli też wskutek podstępu. Rozstawieni byli w winnicach, w dogodnéj pozycyi, gdyż krzaki ich zakrywały; sami zaś wybornie mogli celować. Nie na rękę to było Prusakom, więc zaczęli wołać zbliżając się: „Nie strzelajcie, jesteśmy Francuzami". Wyrazy te były wymówione tak dobrym akcentem, że nie wzbudziły żadnego podejrzenia i Francuzi wyszli z zasadzki. Wtedy dopiero szlachetni Niemcy dali ognia.

Takie i tym podobne podstępy powtórzywszy się niejednokrotnie pod Rezonville (i w innych bitwach) zmusiły wodzów francuskich do wydania rozkazu, żeby nadal nie zważać na oznaki poddania się.

Ale nie dość na tém. Oświeceni „kulturtregerzy" dopuszczali się barbarzyńskich czynów, godnych dzikich zupełnie ludów. Mordowali bezbronnych i chorych: starców i kobiety; rabowali, palili, niszczyli, kradli. Oto kilka przykładów tak z bitwy pod Rezonville jak z innych miejsc, kilka faktów, z kronikarską zwięzłością przytoczonych przez autora, a powtórzonych przezemnie, a któreby warto do jak najszerszéj podać wiadomości, aby wszyscy wiedzieli, czego się można spodziewać od zwycięskich Germanów.

Pułk huzarów dopadł ambulansów francuskich. Lekarz (Berdy) klęczał na ziemi, opatrując rannego; na szczęk broni i tentent

---

(1) Francuzi nad cięcie przekładają pchnięcie, które bardziéj odpowiada ich zwinności i jest niebezpieczniejsze.

kopyt końskich, podnosi głowę, a widząc Prusaka, zamierzającego się szablą, pokazuje mu przepaskę białą z czerwonym krzyżem, którą ma na przedramieniu, jako oznakę swéj misyi. Prusak nie zważa na to i dwukrotném cięciem pałasza zabija bezbronnego doktora.

Inny znów ciął w kark niesionego na noszach porucznika Martin, i nie wiele brakowało by mu odrąbał głowę.

Generał Legrand został literalnie zamordowany podczas bohaterskiéj szarży. Zabito pod nim konia, który padając przywalił sobą i obezwładnił jeźdźca; nadto w upadku tym złamała się szpada i biedny generał został bezbronny. Jakże nie skorzystać z takiéj gratki? Wnet dopadło kilkunastu Niemców i zamordowało bezbronnego, a potém, w dzikiéj radości (zapewne z tak chwalebnéj odwagi) stratowali go kopytami swych koni.

Pod Wissemburgiem Niemcy „dopuszczali się takich okropności, które by zniesławiły Germanią, gdyby cała historya Niemiec nie wzbudzała dreszczu oburzenia“ (1).

W pewnym domu leżał raniony porucznik Vuillemin z pięciu, czy sześciu zuawami. Bawarzy pomordowali chorych i zaczęli się pastwić nad porucznikiem, włócząc go ze złamaną nogą z mieszkania na dziedziniec, gdzie go chciano rozstrzelać bez sądu. Szczęściem nadszedł doktór i ocalił go.

W innym domu wyrzucono przez okno trzech zuawów, którzy się tam schronili.

W Gunstett biedni wieśniacy pochowali się ze strachu do piwnicy. Zwycięźcy, po bitwie, zaczęli strzelać do nich przez lufty, aby zmusić ich do wyjścia, a gdy nieszczęśliwi wyszli, pomordowali ich na progu domów.

W Gunstett téż rozstrzelano dwóch księży, którzy poszli do francuskiego obozu z religijną pociechą, Niemcy zaś by usprawiedliwić swe barbarzyństwo, oczernili ich, że są szpiegami.

Pod Reichshoffen pomordowano chorych, leżących na noszach.

W inném miejscu dwa szwadrony wirtemberskie napadły na urzędników eskortujących kasę w chwili, gdy ci poili konie, a choć się tłómaczyli, że nie należą do walczących, Wirtemberczycy dali folgę szlachetnemu swemu męstwu, i biedni urzędnicy pewno by nie uniknęli śmierci, gdyby wóz ładowny złotem, (około 400000 fr.) nie ściągnął uwagi zwycięźców i bohaterskiego zapału w inną nie odwrócił stronę.

(1) „Alors ont lieu des scènes d'horreur qui suffiraient pour déshonorer l'Allemagne; mais toute l'histoire d'Allemagne fait trembler d'indignation“. D. de L.

Również nieludzko obchodzą się z krajem, bydłem, budowlami. Nic dla nich szanownego, lub świętego. Palą wsi i zasiewy, rabują domy, znieważają kobiety.

W Marienthal, koło Hagenau, był posąg N. Panny od wieków czczony przez ludność. Niemcy obrzucili go błotem, ubrali w słomiany kapelusz a w ręce włożyli miotłę, w końcu pokiereszowali szablami.

W Dienlonard domagali się brutalnie żywności, a wyważając drzwi i okna zabierali wszystko, co się im podobało, czego zaś zabrać nie mogli, to niszczyli. W Faulquemont nie dość że porabowali domy ale pozabijali bydło dla przyjemności zabijania, bo mięso rzucali w błoto, lub zakopywali w ziemi.

W Rémilly staruszek ksiądz, widząc plondrującego Prusaka, odzywa się doń ze łzami.

— Bierz wszystko, tylko zostaw mi ten kielich, który jest dla mnie relikwią. To jedyna pamiątka po stryju moim, świętym kapłanie. Na miłość boską nie profanuj rzeczy tak drogiéj dla mnie.

W odpowiedzi Prusak zgniótł kielich i włożył do kieszeni.

Autor nie waha się powiedziéć bez ogródki, że Niemcy kradną i słowa swoje popiera faktami.

Wzięto do niewoli niemieckiego kapitana dragonów Henryka von Marcoll, który umarł we dwa dni z ran otrzymanych. W jego pularesie znaleziono po śmierci następującą notatkę: „Złożono w X. kaszmirowy szal, zabrany w pałacu X. (Francya) i kilka pierścionków z brylantami, tegoż pochodzenia, wszystko to dla mojéj narzeczonéj".

Gdzie tylko się stali panami położenia, obchodzili się nieludzko z mieszkańcami: w Beaumont naprzykład, od 30 sierpnia do 4 września zabronili przystępu do studzien, przy których postawili straże. Skonfiskowali wszelką żywność, tak, że lekarze, którzy zajęli na szpital dom po zakonnicach, karmili swych chorych resztkami sucharów i skórek od chleba. Skrzętne siostry zbieraly te okruchy dla karmienia swego drobiu.

Pewnego wieśniaka, który błędną pokazał drogę, tak zbili, że we dwa dni umarł.

Dzielnie broniące się Bazeilles wywołuje takie pastwienie się, jakiego chyba „w czasach barbarzyńskich" trzeba szukać, powiada autor, co potwierdzają obcokrajowcy: korespondent *Daily Telegraph* powiada: „Bóg mi świadkiem, że nie widziałem nigdy tak okrutnego postępowania, jak to, którego doznawali Francuzi wzięci do niewoli.

Zdobywszy Bazeilles, spalili je ze szczętem; Bawarzy z pochodniami i naftą przebiegali od domu do domu, podpalając. Garstka Francuzów dzielnie broniących się w jakiejś kamienicy poddała się, wystrzelawszy wszystkie ładunki, pod warunkiem ocalenia życia. Bawarzy przyrzekli, lecz zaledwie Francuzi zeszli, otoczyli ich i rozstrzelali.

Dwóch artylerzystów jeńców zabili kolbami, a potém pastwili się nad trupami, rozbijając im głowy o mur.

Biednego idyotę, Baptiste Henry, spalili żywcem na kupie słomy; oberżystę, który nie dość prędko podał wino, zarąbali szablami; 68 letniego starca zatłukli kolbami w obecności jego żony, która z przestrachu zachorowała i umarła. Biednego głuchego, który się z nimi rozmówić nie mógł, zamordowano; niejakiemu Lacroix ucięto obie ręce, a potém żywcem spalono na słomie. Zamek w Bazeilles spalono wraz z rannymi pomimo próśb i błagania rządczyni, aby nad bezbronnymi miano litość. Nad kobietami pastwiono się w najohydniejszy sposób: jednę, naprzykład,—poszczuto psami, zapaliwszy wprzód na niéj odzież, inną...

Na tém poprzestać można: daléj okrucieństwo i podłość nie idą... Chyba to dodać, że bawili się jeszcze w dowcip: pomordowanym w Bazeilles powkładali wieńce na głowy a kwiaty w usta i na zgliszczach wesoło „hura“ zawołali.

O kapitulacyi autor się nie rozpisuje, tłómacząc się, że sił na to nie ma, i w krótkości tylko powiada, że widok miał przerażający: brak żywności, brak pomieszczenia, rannych mnóstwo, 15.000 mniéj więcéj, budowle publiczne, kościoły zamienione na szpitale.

Na wieść o poddaniu się taka rozpacz ogarnęła żołnierzy, iż gotowi byli dopuścić się jakiegoś szaleństwa. Broń swą połamali, zniszczyli i rzucili do Mozy. Sztandary z rozkazu wyższego zostały częścią popalone, częścią przechowane z rozrzewniającém poświęceniem się, tak że ani jeden nie wpadł w ręce nieprzyjacielskie.

Z nieszczęśliwymi jeńcami obchodzono się z wyrachowaném barbarzyństwem: przez dwa dni nie dano im jeść, aby osłabić i niezdatnymi uczynić do buntu; trzymano ich na chłodzie i dészczu przez co choroby się wkradły; bito do krwi, obierano z rzeczy kosztowniejszych. A gdy ludność francuska, wzruszona niedolą współbraci, stawiała na drodze przechodzących jadło i napój, to zwycięzcy kopnięciem nogi wywracali naczynie.

Że nienawiść Niemców ku Francuzom była ogromna, niejednokrotnie szczególne nawet mieli dowody.

Gdy noc położyła koniec morderczéj walce pod Rezonville zaczęto na pobojowisku zbierać rannych. Pewien Francuz znalazł

młodziutkiego Niemca straszliwie ranionego. Głowę miał przeciętą od szabli, ramie prawe strzaskane od kuli, rękę lewą pokiereszowaną bronią białą, udo zgruchotane armatnim pociskiem. Nieszczęśliwy należał widać do wyższéj, a przynajmniéj do bardzo zamożnéj sfery towarzyskiéj, o ile z powierzchownych oznak sądzić można. Ubranie jego było wytworne, mundur z przedniego sukna, bielizna z batystu, spinki kosztowne, obuwie eleganckie, rękawiczki jasne jak na bal. Z niewymowném cierpieniem na twarzy, ale bez jęku, leżał młody Niemiec, śledząc natężonym wzrokiem ruchy Francuza. Ten zbiżył się doń ze współczuciem i pomocą a przychylnemi słowy, lecz milczenie otrzymał w odpowiedzi. Nie zrażając się, podłożył mu płaszcz pod głowę, a do ust przybliżył miarkę z napojem, lecz raniony, cisnąwszy nań wzrokiem pełnym nienawiści, odtrącił miarkę tak gniewnie, że wypadła z rąk usłużnych i potoczyła się o kilka kroków.

Nic więc dziwnego, że przy takich uczuciach zawziętości walka była zapamiętała; że w wąwozie Gorze znaleziono całe szeregi trupów stojące obok siebie, nie leżące na ziemi, które śród zażartéj walki w ścieśnionych kolumnach śmierć znalazły; że krew literalnie ciekła strumieniem. Gdy noc nadeszła i zabroniono zapalać ognie, jeden z oficerów, nazwiskiem Dubois, posłał żołnierza po wodę. Żołnierz poszedł do lasu, gdzie były źródła i przyniósł pełną miarkę. Dubois zbliżył chciwie czaszę do ust, gdy naraz uderzyła go woń jakaś ckliwa, dziwna. Potarł zapałkę i patrzy. Miarka była krwią napełniona. Żołnierz myślał, że zaczerpnął wody ze zbiornika, a to była kałuża posoki!

Gdy się przeczyta to wszystko i odtworzy obraz tych nadludzkich niemal wysiłków, zmarnowanych przez Bazaine'a, pytamy siebie, jest li odpowiednia kara na niego i podobnych jemu?

Ponieważ pod Rezonville Francuzi utrzymali się na swych stanowiskach, a Prusacy, których celem było przeciąć im drogę do Verdun, nie dokazali tego, więc zostali pokonani; zwycięstwo wypadło na stronę Francyi. Duch wojska był wyborny, należało więc (zdaniem autora i wielu innych) skorzystać z dobrego usposobienia żołnierzy, z odniesionych korzyści jako téż z przygnębienia i upadku na duchu wroga, któremu posiłki nie nadeszły; należało nazajutrz powtórnie wydać bitwę i zgnieść ze szczętem. Niemcy przyznają się, że oczekiwali tego i niepokoili się, bo w pierwszéj połowie dnia (17 sierpnia) wątpili, czy bez świeżych posiłków zdołają się oprzéć.

Powiadają, że w dniu, w którym Metz kapitulował, spytał się pułkownik von Burg generała francuskiego de la Jaille: „Dla czego-

ście nas nie atakowali w dniu 17 sierpnia? Król pruski, który wieczorem (16 sierp.) przyjechał na pole bitwy, rozkazał, aby w razie zaczepnych kroków z waszéj strony, wojsko cofnęło się po za Mozę, pod osłoną tylnéj straży, która naturalnie poświęcona na zgubę została. Potém wojsko miało pośpiesznym marszem opuścić ziemię francuską, a zająć na granicy te pozycye, które zajmowało w chwili wypowiedzenia wojny. Już w nocy rozpoczął się odwrót bagażów i ambulansów. Wyobraźcież sobie nasze zdziwienie i radość, gdyśmy spostrzegli, że wojsko wasze cofa się do Metzu.

Katarzyna z Zygmuntowiczów
Opacka.





ZŁODZIEJ.

I.

Tego dnia stara komornica Rajowa, dłużéj trochę spała, niż zazwyczaj. Czuła się niezdrową nieco; coś jakby ją gniotło w boku i sił nie miała. Gdy zwlekła się wreszcie z trudem z łóżka, słońce już wyszło z czerwieni i uszedłszy spory kawał po niebie, błyszczało całe złote.

Rajowa wyszła na podwórze, aby uzbierać trochę drewek na ogień, a przytém i gęś zobaczyć należy; wzięła wychudłą swoją ręką garsteczkę zboża z małego woreczka, stojącego w kącie, aby posypać ulubienicy.

Sądziła że ujrzy swoję gęś poważnie przechadzającą się po podwórzu, zdala od gęsi gospodarzowych. Ale jéj tam nie było.

„Czyżby i ona zaspała", pomyślała Rajowa, podchodząc do malutkiéj budki, staremi rękami przez nią z chrustu uplecionéj i gałęziami nakrytéj. Budka ta jako maleńka przystawka dotykała obory gospodarza. Było to pomieszkanie gęsi na lato, przez całą zimę bowiem gęś mieszkała w izbie razem z gospodynią.

Rajowa otworzyła małe drzwiczki sznurkami uwiązane. Spojrzała—i tam gęsi nie było.

„O mój Boże"—szepnęła z niepokojem. I nie zważając ani na starość, ani na niezdrowie, zaczęła szybko obchodzić całe podwórze w około domu i budynków gospodarczych, zaglądając w każdy kąt. Wybiegła potém na drogę, spojrzała w jedną stronę, w drugą, na polanie nie widać jéj nigdzie.

„Oj! czyżby mi ją ukradli" pomyślała z jękiem prawie, nie chcąc uwierzyć w to straszne przypuszczenie.

Weszła zapytać się do izby gospodarza. Gospodyni stała przy kominie, córka jéj skrobała kartofle. Żadna nie widziała dziś gęsi od rana.

— Czyby mi ją ukradli—rzekła Rajowa do kobiet.

— A szukaliśta dobrze?—zapytała gospodyni.

— Juści, obszukałam wszędy.

— I nima?

— Nima?

— To nikt, ino ten z Biały Góry wam ją zabrał, bo i któżby.

Rajowa wyszła, chwiejąc się. „Ukradli mi ją niebogiéj, ukradli“ myślała z rozpaczą. Raz jeszcze poszła na podwórze, obejrzała stodołę, chlewy, oborę. „Tych nie wzięli—pomyślała, patrząc na gęsi gospodarza—biédnemu zawdy taka dola“.

Weszła wreszcie do swojéj izby, usiadła na łóżku, oparła głowę na dłoniach i zaczęła płakać.

„A może *on* ma jeszcze moją gęś“, przyszło jéj nagle do głowy.

Wstała, utarła fartuchem nos i oczy, wydobyła z brudnéj szmaty, ukrytéj za piecem, dziesiątkę miedzianą, zaszła do gospodyni, aby kupić pięć jajek i owinąwszy je w czerwoną chusteczkę, z energią puściła się w drogę.

II.

O wiorstę ode wsi, na pagórku dosyć wysokim, niedawno jeszcze pokrytym lasem, a późniéj na parcele puszczonym, wznosiły się trzy mizerne chałupy.

Miejscowość tę nazywano Białą Górą, ztąd zapewne, że kiedyś rosło tu najwięcéj brzóz o białéj korze.

Jednę z tych chałup zajmował biedny żydek, handlujący, czém się dało. W drugiéj mieszkał były rataj dworski, w trzeciéj zaś Jędrzej Skręt, znany na okolicę złodziej, którego téż powszechnie nazywano złodziejem z Białéj Góry. Każdy z nich miał po trzy morgi gruntu, jeden rataj wszakże tylko, do pracy w polu od dziecka zaprawiony, potrafił na takim skrawku gruntu wyżyć z całą rodziną. Żydek dopomagał sobie handlem, Skręt—kradzieżą.

Przez długi czas będąc furmanem, nawykł do lekkiego chleba. Wypędzony kilkanaście razy ze służby za drobne kradzieże (nawet koniom owies odkradał), zyskał sobie na całą okolicę haniebne imię i w końcu u Żydów nawet miejsca znaléść nie mógł. Ożenił się wtedy z dziéwką dworską, niezłą dziewczyną, lepszego wartą losu, i za wiano jéj, na które składała zasługę kilkoletniéj służby, kupił ten kawałek ziemi.

Włościanie krzywém okiem na niego patrzyli. Wszakże i obawiali się go nieco. Nikt téż otwarcie przeciw niemu nie występował,

w obawie zemsty, choć i najmniejsze dziecko we wsi wiedziało, że to jest złodziej.

Zresztą nie był on zbyt szkodliwym. Z bandami koniokradów nie miał nic wspólnego, a jeżeli i ukradł co, to drobnostkę jaką, kurę, kaczkę, gęś najwyżéj.

Do niego to szła Rajowa z iskierką nadziei w sercu. Może nie sprzedał jeszcze gęsi, może da się uprosić, ubłagać.

Toć ta gęś—jedyny to był jéj dobytek. Ona dawała biédnéj komornicy woreczek pierza co rok, ona wychowywała co lato dowolne gąsięta, za które w mieście płacono sporo pieniędzy. Dzięki téj gęsi, mogła opłacić i komorne i dzierżawę trzech zagonów pod kartofle, które ją od roku do roku wyżywiały. Dzięki téj gęsi, dwa razy na rok, w uroczyste święta, mogła postawić na swoim stole kwaterkę wódki i funt chleba.

A jak była przywiązaną Rajowa do swego ptaka. Jedyny to żywy duch od lat tylu, który się kołatał po ubogiéj izbie. Rajowa gadała nawet do niéj czasami.

A jaka była piękna, wypasiona. Nikt we wsi nie miał takiéj wielkiéj gęsi. Stara godzinami całemi mogła patrzéć na to białe stworzenie, z giętką szyją, z czarnemi okrągłemi jak paciorki oczami, z czerwonym dziobem i z rozłożystemi łapami.

A jak znała swoją gospodynią. Niech jeno się ukaże na podwórzu, od razu gęś szła do niéj z wyciągniętą naprzód szyją. Umiała nawet, gdy była głodna, pochwycić kieckę Rajowéj w dziób i tarmosić, lub podejść pode drzwi izby i wołać: gę! gę! gę!

„O moja gęś“ wzdychała ciężko Rajowa. Nienawiść dla złodzieja paliła ją, a żal za utraconym dobytkiem gniótł jéj duszę.

Śpieszyła się jak mogła.

III.

Dochodząc do Białej Góry, spostrzegła Skręta, wracającego do domu drogą prowadzącą od miasteczka.

„Sprzedał ją, gęś moję, w mieście, rabuś“. Utraciła do reszty nadzieję, dążąc za wchodzącym do domu złodziejem: w myśli obsypywała go złorzeczeniami i przekleństwami.

Nienawiść ta wszakże, malująca się i w oczach starej i w zaciśniętych ustach, zgasła od razu, gdy Rajowa stanęła na progu izby.

— Pochwalany—rzekła z uprzejmością i pokorą.

— Pochwalany—odpowiedziała jéj Skrętowa.

Rajowa rozwiązała czerwony węzełek i położyła na szafce jajka.

Skręt nie spojrzał dotąd na nią ani razu. Usiadł na stołku przy stole i zapalił fajkę.

Przez długą chwilę wszyscy milczeli. Wreszcie Rajowa przysunęła się do Skręta i podjęła go ramionami za nogi, założone jedna na drugą.

— Czego chceta, — zapytał.

Nie śmiała powiedzićć wprost. Zaczęła narzekać.

— Oj, moi drodzy, jaką ja krzywdę biédna poniosłam. To była chudoba moja jedyna... ta gęś. Miejcie wyrozumienie, że ja biédna komornica, a i pracować już nie mogę ze starości. I w piersiach i w boku mnie boli, coraz więcéj...

Złodziéj zaczął wytrząsać fajkę, choć ją ledwo co zapalił.

— Odczép się kobiéto. Czego chcesz.

Mówił spokojnie, głosem łagodnym, jakby z dobrocią. Rajowa ujęła go znowu za kolana.

— Oddajcie mi moję gęś, moi złoci, moi... Bóg wam za mnie wynagrodzi.

Skręt nakładał znowu fajkę tytoniem.

— Co za gęś! jaką gęś—mówił—cóż to, dalista mi waszą gęś, czy co? Ja żadnéj gęsi nié mam.

— Ja wiem, że nie macie—ciągnęła Rajowa proszącym głosem — to choć zwróćcie, coście za nią wzięli... kupię sobie inną. Miejcie litość, Skręcie nademną. Widzicie, ja taka stara, nie długo i zamrę pewnie. Spomnijcie na waszą matkę. Oddajcie mi te parę złotych. Nie zbogacicie się tém, a ja będę się modlić za was.

— Mówię wam, idźta sobie—odrzekł, puszczając gęste kłęby dymu.—Nie wiem nic o waszéj gęsi.

Rajowa znowu do jego nóg się zgarbiła.

— Moi złociści, moi najdrożsi, moi wy, moi... — tu zbrakło jéj słów odpowiednich — już choć.,. dajcie mi połowę. Widzicie... po dobréj woli... I grzéchu nie będziecie mieli na duszy.

— A to opętana. Mówię wam, idźcie sobie, pókim dobry.

Rajowa nie ustępowała.

— Dajcie mi cobądź, podług waszéj woli... zlitujcie się... toć widzicie, jak mi ciężko na świecie. Sama jestem, stara, opuszczona. Ulitujcie się. Choć co niebądź mi dajcie.

Złodziej odłożył fajkę na stół. Rajowa dostrzegła w jego twarzy wahanie się. Nadzieja odżyła w niéj i nowy potok próśb wyszedł z jéj ust.

Złodziéj wahał się rzeczywiście przez chwilę. Żyd oszukał go na gęsi. Za dawny dług potrącił sobie trzy złote, dał mu zaś ty-

toniu paczkę, kwaterkę wódki i trzy miedziane dziesiątki—wszystkiego.

„Oddać by babie te złotówczynę“—myślał poruszony jéj prośbami „i niechby się odczepiła“. Ale przypomniał sobie, że oprócz téj złotówki, nie było w domu całym ani grosza, a kto wié, jak długo na nową złotówkę czekać przyjdzie. „Przecie jéj ostatniego grosza dać nie mogę“.

Nachmurzył się.

Stara zaczęła płakać. On milczał ciągle. Wtedy nie mogąc się już oprzéć litości, która napełniła serce Skrętowéj, zbliżyła się ona do męża, ostrożnie, z widoczną obawą.

— Słyszysz, Jędruś—odezwała się cichutko.

— Co!—krzyknął szorstko.

— Może by... może byś... dał jéj co... ona taka biédna.

Złodziej się rozłościł wreszcie.

— Idź! psiakrew chorobo! bo cię zwalę.

Wstał, odepchnął zgiętą do jego nóg Rajową, zabrał czapkę i wyszedł. Stara podążyła za nim z prośbą na ustach. Nie mogła wszakże nadążyć, gdyż szedł dużemi krokami. Przystanęła zadyszana.

Odpoczęła przez chwilę, nabrała powietrza w piersi, wreszcie, zgnębiona powlekła się w stronę wsi.

IV.

Od tego dnia myślała tylko o zemście.

Przestała nawet płakać i żałować swojéj gęsi.

„Struję go“—postanowiła.

Gdzieś w piątéj wsi mieszkała znana baba, jak mówiono, czarownica, u któréj można było kupić białego proszku, skutecznego na złych ludzi.

Byłaby już tam poszła, ale do piątéj wsi—to tak daleko na stare nogi. Trudno jéj było się wybrać.

Odkładała tę podróż z dnia na dzień, w postanowieniu swojém nie osłabła wszakże. Przeciwnie, im więcéj myślała, tém bardziéj żal jéj było gęsi, tém bardziéj paliła ją gorączka zemsty. „Bylem jeno miała ten biały proszek. Z zadaniem go nie będzie trudności. Zmieszam z mąką i zaniosę jego kobiecie“. A potém...

Kryminał przyszedł jéj na myśl. Tego się nie obawiała wcale. Nie jeden we wsi go odsiadywał. Przytrafiało się to nawet i zamożnym bardzo gospodarzom. Chwalono sobie wogóle kryminał.

Nie jest więc tam źle. A choćby i było źle—nie długo by tego. Stara czuła śmierć za pasem.

Zachodziła niekiedy na Białą Górę dla utrzymania dobrych stosunków. Skrętowa witała ją chętnie, rada że ma z kim pogadać. Skręta zwykle nie zastawała w domu. Natura wpół furmańska, wpół złodziejska włóczyła go po świecie. Za pokutę by chyba siedział w domu.

Raz wszakże Rajowa zastała go. Siedział przy stole, pił wódkę i zakąsywał serem. Powitał starą uprzejmie. Pierwszy się do niéj odezwał: „Jak się macie“, i poprosił do stołu. Sam był pijany nieco.

Stara była niezmiernie rada poczęstunkowi.

— I cóż—zaczął—żal wam bardzo téj gęsi.

— Yy, co ma być żal—odrzekła stara, ale się spostrzegła—zrazu to mi było żal okrutnie, ale tera, co tam. Do śmierci przecie żałować nie będę jednéj gęsi. Małom to ich miała w życiu.

— Juści, dobrze mówicie. Lubię to. Napijcie się jeszcze.

Rajowa wracała z Białéj Góry dobrze podchmielona. Podśpiéwywała sobie pod nosem. „Oj gorzałeczka miła, oj póki będę żyła, to ją będę piła“.

Tak dawno już nie śpiéwała tego, tak dawno nie miała w ustach dobréj, palącéj wódki. Stanęły jéj w myśli wesela różne, chrzciny i pogrzeby, na które ją proszono, gdy nie była jeszcze starą. Oj! pił wtedy człowiek wódkę, pił. Po tém przypomniała sobie swoje wesele, chrzciny własnych dzieci i śmierć Raja.

Było jéj dobrze, wesoło i nie czuła w sercu tak wielkiéj zawziętości do złodzieja. Nazajutrz jeszcze przez cały dzień było jéj przyjemnie.

Trzeciego dnia wszakże poważnie zastanowiła się nad swoją dolą. Do roboty już jéj nikt nie godził, znikąd nijakiego nie miała dochodu. „Do nowego roku komorne opłacone, ale co ja nieszczęśliwa późniéj pocznę. Przyjdzie mi pod płotem zamrzéć. Zniszczył mnie ten podły.“.

Z upływem czasu powiększała się jéj boleść. Każde zmartwienie, każdy niedostatek odnawiał ranę. „Mój Boże, żebym to miała moję gęś“. Cięższe teraz było dla niéj życie.

V.

Niedziela. Wieś cała świętuje. Nie widać w polu ani człowieka, ani konika. Za to wzdłuż drogi, przy kościele, a potém przy karczmie ruch ludu wielki. Baby ubrane w czyste spódnice,

z kwiecistemi chustkami na ramionach, chłopi w białych sukmanach z czarnemi wyszyciami, a wszyscy, nawet dzieci małe, poobuwani w buty duże, niezgrabne, świecące się od tłuszczu.

Przestały już grać organy w kościele, i teraz oto po wsi odzywa się muzyka. Tu i owdzie przed chatą kupki młodzieży; w jedném miejscu słychać fujarkę, owdzie głośne skrzypki dokoła grają jednę zwrotkę obertasa, a z końca wsi rozlega się umiejętną kierowane ręką granie na harmonii.

Rajowa idzie drogą przez wieś i téj muzyce się przysłuchuje. Ludzie ją mijają, wyprzedzają, dążąc do karczmy. Wokoło wsi po za chatami i sadami, pola dalekie spoczywają w cichéj pogodzie letniego popołudnia. Słońce nalewa na wypukłe zagony swoje blaski, w bruzdach zaś kładą się wąskie paski cienia.

Rajowa mija karczmę. Duży to budynek na wzniesieniu stojący, z obszernym placem przed frontem. Nad drzwiami przybity wisi malowany szyld, a na nim wytryska z butelki ożywcza struga wódki i wpada do dużéj szklenicy. Ludu tu jeszcze nie wiele. Nieszpór tylko co się skończył. Wszakże przez otwarte okno słychać już kilkanaście głosów. W chwili, gdy Rajowa przechodzi obok gościnnie otwartych drzwi, wychodzą z karczmy dwaj młodzi i krzepcy chłopacy, synowie Zimosza, a każdy z nich dwie kwartowe butelki wódki niesie w rękach. „U starego Zimosza dziś chrzciny. Pić będą na zabój“ pomyślała Rajowa.

Nagle myśl jakaś skoczyła jéj do głowy, bo otworzyła oczy i usta, wyprostowała się trochę, cała zaś twarz jéj wyrażała zamyślenie.

Z zamyślenia tego ocknęła się dopiéro przed samemi drzwiami chałupy Skręta. Aż się zadziwiła. Nie postrzegła, kiedy przeszła taki kawał drogi. Ot, jakby same nogi niosły, gdzie chciały.

Weszła. Złodziéj leżał rozwalony na łóżku ze wzrokiem błądzącym po suficie. Żona jego siedziała na zielonym kufrze i wyglądała oknem.

Rajowa usiadła obok niéj i dwie kobiety rozpoczęły półgłosem o babskich rzeczach gawędę. Zrazu mówiły o dzisiejszem kazaniu, o kościele i księdzu, potém o starym Wnuku, któren musi mieć jakąś wielką zbrodnię na sumieniu, bo już od trzech lat ani nogą nie postał w kościele, potém o krowie Misczyka, która zdechła dokumentnie, choć ten rozpowiadał, sprzedając z niéj mięso, że ją dorżnął. Wreszcie rozmowa zeszła na zwykłe narzekanie o biedzie, która ma ten zwyczaj, że się ino biednych ludzi ima.

— Już to bogatemu i żyć i umiérać lepiéj — pochwyciła Rajo-

wa—ot choćby u Zimosza. Chrzciny tam dziś wyprawują, to mówię wam, że tera ju takie są pijane jak bydlęta.

Złodziéj uniósł się na łóżku i oparł głowę na ręku, oparłszy łokieć w poduszkę.

— Byliście tam — zapytał.

— A ino. Ztamtąd idę. Piją aż strach, powiadam wam. Oba Zimoszaki pod stołem leżą, żaden ani ręką nie ruszy. Zimosz i zięć jego to się jeszcze trzymają, ale cięgiem doléwają. Jakem wychodziła, posyłali jeszcze po dwie kwarty, a już wypili najmniéj pięć.

— A baby?

— Baby... jedna młoda, chora jest, z łóżka nie wstaje, a stara pije tak, że ino.

— E! pije?!

— Oj! oj! lepiéj jak chłop. Powiadam wam, że za godzinę trzeźwego ducha nie będzie w całym domu.

Złodziéj wstał i zamyślony zaczął chodzić po izbie. Żona śledziła go z niepokojem w oczach. Rajowa podniosła się z kuferka.

— Adyć ja wam spać przeszkodziłam—rzekła.

— Nie nie, takem ino leżał, nie śpiący. Siadajcie.

— Bóg wam zapłać; ale wieczór już zapada. Pójdę do siebie, bo mi po ciemku nie sporo by było. Ino mrok, tak mnie zara kurza ślepota napada.

— Zjédzcie kawałek wątroby, to wam przejdzie.

— A trzebaby. Ostańcie z Bogiem.

Wyszła.

VI.

Podążała szybko do wsi. W drodze obejrzała się kilkakrotnie za siebie. Najdłuższe zaś spojrzenie w tył, najbaczniéjsze i ostatnie rzuciła, wchodząc do chałupy Zimosza.

Bawiono się tu wesoło. Młodzi, kilku parobków ze wsi, dwaj synowie Zimosza i dwie dziewczyny z sąsiednich domów, zebrani byli w sadzie. Na polance między śliwami mocował się jeden za drugim z krzepką Magdą, która się przechwalała ze swéj siły. Śmiéchy i wykrzykniki nieustające.

Starzy zebrali się w izbie, nie wielkiéj, nizkiéj i pełno tu ludu, gwaru i zapachu wódki. Ciasno i oddychać trudno. Kumy i kumowie nowi i dawniejsi z rąk do rąk podają sobie kieliszek. Zimosz jako gospodarz obchodzi gości wokoło z flaszką wódki.

Nie stary to jeszcze chłop, w sile wieku prawie, średniego wzrostu, ale krępy i znać, że silny; twarz ma wygoloną. Prosi, zachęca i całuje.

Wejścia Rajowéj nikt nie zauważył. Długo stała przy progu. Wreszcie z trudem się wcisnęła pomiędzy zebranych i szarpnęła za fartuch Zimoszową.

Gospodyni zwróciła do niéj swoję twarz rozochoconą, zaczerwienioną, uśmiechniętą.

— Chodźcie ino. Coś wam powiem.

— To gadajcie.

— Nie tu, chodźcie do sieni.

Zimoszowéj trudno było na chwilę bodaj opuścić tak wesołe towarzystwo, wyszła jednak za Rajową, i nachyliła ucha.

Rajowa szeptała jéj coś długo. Gdy zaś już pójść sobie chciała, Zimoszowa zatrzymała ją.

— No, nie napijeta to się z nami?

Pociągnęła starą do izby i poczęstowała wódką.

Stara wyszła w chwili, gdy gospodyni opowiadać zaczęła przyniesioną przez nią ważną nowinę. Przystanęła jednak w sieni i przysłuchiwała się. Zrazu słychać było tylko ten sam gwar głośny, który głuszył słowa. Wprędce wszakże on milknąć począł i po chwili zapanowała zupełna cisza.

Cisza to była jakaś złowroga.

Rajową przeszły mrowia po ciele i lęk zdjął ją jakiś. Przestraszyła się swego czynu.

Przyszła wszakże do siebie, wspomniawszy swoję krzywdę. Wolnym krokiem wróciła do izby.

. . . .

Dobrze stara trafiła, lepiéj, niż myślała może. Zimosz poniósł w swoim życiu ciężką od złodziei stratę. Przed laty skradziono mu parę pięknych koni. Tego ciosu nie mógł zapomnieć i przeboleć dotychczas.

Trzeba być chłopem, dorabiać się ciężką pracą dobytku i stracić tę pracę lat wielu, w krwawym znoju nabytą, w jedną noc, od razu — aby zrozumieć ile dzikiéj, nieludzkiéj, okrutnéj nienawiści wre w duszy chłopskiéj na myśl o złodzieju.

VII.

Rajowa wróciła do siebie.

„Żeby ino przyszedł“ wzdychała. „E! przecie przyjdzie, przyjdzie pewnikiem“ zdawało się jéj.

Usiadła na progu chałupy i przesiedziała tak późno w wieczór. Wreszcie położyła się na łóżko w ubraniu. Okno zostawiła otwarte i wsłuchiwała się w odgłosy ze wsi, które przez nie napływały.

Poleżawszy trochę, wstała, wyszła na drogę i spojrzała w stronę Zimoszowéj zagrody. Ciemności nie rozwidniało żadne światełko.

„Czatują“ pomyślała sobie. Spojrzała na niebo. Noc była ciemna zupełnie. To jéj dodało nadziei. „Przyjdzie pewnikiem“.

Wróciła do łóżka i poleżała trochę. I znowu wstała. Z podwórza zaleciało ją pianie kura. Musi być już północek. Wyszła na drogę. We wsi panowała ciemność i cisza zupełna. Żaden pies się nie odezwał nawet.

Oparła się o płot i czekała długi czas cierpliwie.

Nic — cisza nieprzerwana, niezmącona.

Nagle dały się słyszéć zajadłe szczekania psów. Wsłuchała się. Pochodziły one z tego miejsca, gdzie zagroda Zimosza.

Po chwili rozległ się okrzyk jeden — urwany nagle.

Teraz nie wątpiła już. Szybkim krokiem zdążała do zagrody Zimoszowéj i gdy wreszcie stanęła przy niéj, zadyszana, we wsi powstawał ruch.

Krzyk zaczął się powtarzać raz po raz.

Teraz słyszała go wyraźnie. Był to rozpaczliwy, znany jéj głos złodzieja z Białéj Góry. Słyszała nawet uderzenia jakieś, częste, jakby twardych klepek o ciało.

„To za moję gęś“ myślała z rozkoszą. Krzyk nie ustawał. Wywołał on ruch po wsi i z różnych stron zbiegać się zaczęli ludzie. Zatrzymywali się przed Rajową, przy domu stojącą.

— A co to?

— A złapali złodzieja z Białéj Góry.

— Na gorąco?

— Juści.

— I piorą go?

— A ino.

I nikt nie szedł daléj. Gromadka się zwiększała, gawędziła, sądziła.

— Dobrze mu tak, złodziejowi — to był głos powszechny.

Jakaś litościwa dusza chciała go bronić.

— Co się będzieta wtrącać — krzyknęła większość.

Tymczasem krzyk nie ustawał, słabł tylko, wreszcie zamienił się w jęk bolesny.

— Chyba nie puszczą go żywego — zauważył ktoś.

Jęk ten trwał długo, bardzo długo. „To za moję gęś“ myślała ciągle Rajowa.—„Widzisz, żebyś był mojéj gęsi nie ukradł“.

Nareszcie ucichł jęk zupełnie i tylko słychać było złowrogie uderzenia, które trwały jeszcze ciągle.

Tymczasem gromadka ciekawych zmniejszała się. Ten i ów, dowiedziawszy się o co idzie i przekonawszy się zwłaszcza, że krzyki posłyszane nie są alarmem na pożar, wracał do domu. W końcu kilka tylko ciekawych bab pozostało z Rajową, oczekując końca.

Doczekały się. Ustało bicie i zapanowało długie milczenie.

Wreszcie w sionce chaty ukazało się kilka cieniów. Gdy wyszli na drogę rozeznać można było dwóch ludzi niosących trzeciego. Po chwili wracali tylko sami we dwóch.

Rajowa zbliżyła się do nich.

— Cóż — zapytała szeptem — zabiliście go chyba.

— Kto go ta wié — odrzekł jeden markotno.

— Y! wierz złodziejowi. On tylko udał tak, żeby go nie bić — odrzekł drugi.

-- Ha! może i udał — odpowiedział pierwszy.

. . . .

Ranek okazał wszakże, iż złodziéj nie udawał. Leżał on na drodze, na tém samém miejscu, gdzie go wczoraj rzucili, cały krwią skrzepłą pokryty, z rozłupaną czaszką, z twarzą zmienioną do niepoznania — bez ruchu — bez duszy.

Wincenty Kosiakiewicz.





ŻYWIOŁY ZACHOWAWCZE
I KOMISYA EDUKACYJNA.

(*Przyczynek do dziejów oświaty w Polsce wieku XVIII*).

I.

Liczba jezuitów w Polsce wieku XVIII, stanowisko ich w społeczeństwie i bulla *Dominus ac Redemptor noster* r. 1773.—Większość delegacyi sejmowéj pragnie jezuitów utrzymać kanclerz Młodziejowski skłania ją do uległości woli papieża. — Społeczeństwo polskie ubolewa nad losem jezuitów; oni pozornie znoszą go z rezygnacyą, w rzeczywistości czynią starania o utrzymanie swego zakonu. — Zabiegi chybiają, nuncyusz tłumi głosy niezadowolnienia jezuitów przez ściganie nieprzyjaznych papieżowi pisemek. — Nie mogąc otwarcie, walczą jezuici przeciwko Rzymowi skrycie.—Łuskina przez akcyę swoją w „Gazecie warszawskiéj" obraża papieża, ściąga na siebie szyderstwa pisarzy wolnomyślnych.

Zakon jezuitów w stuleciu XVIII rozrósł się znacznie: w r. 1717 liczył w prowincyi polskiéj towarzyszów (*socios*) 644, w litewskiéj 707, razem 1351; w 1740 miał w pierwszéj 993 (24 kolegia, 7 rezydencyi), w drugiéj 998 (24 kolegia, 8 rezydencyi), ogółem 1991 (1); w lat szesnaście późniéj doszedł do 2261, z których 1145 przypadało na Król. polskie, 1116 na Litwę (2). Podzielony od roku 1756 na prowincye: wielkopolską, małopolską, mazowiecką i litewską w chwili kasaty dosięgnął na obszarze Rzeczypospolitéj liczby 2340 (3). Rozrostowi jego państwo tamy nie kładło: konstytucya z r. 1768 pod karą tysiąca grzywien zabraniała przyjmować do klasztorów młodzieży, niemającéj skończonych lat 24, wyjątek wszakże robiła dla pijarów i jezuitów (4), jako zakonów uczących. Społeczeństwo zasilało go młodzieżą zdatną, częstokroć ludźmi wysokiéj w kraju pozycyi: wstąpili do jezuitów w r. 1763 tacy dygnitarze, jak biskup sufragan płocki Marcin Załuski, kasztelan biecki Miko-

(1) Poszakowski. Kalendarz mniejszy jezuicki prowincyi litewskiéj na r. p 1740.—
(2) Historya zniesienia jezuitów w Polsce i ich zachowanie na Białéj Rusi. II, str. 4.
(3) Gazeta warszawska z 19 marca r. 1774.—(4) *Volumina legum*. VII, 745.

łaj Trzebiński, smoleński Stanisław Burzyński, a w 1772 podkomorzy miński, ex-marszałek trybunału głównego w. ks. lit. Józef Proszyński (1). Stargali już wprawdzie siły w zawodach innych— Trzebiński liczył lat 73, Załuski 64, dwaj ostatni po 62—przez samo jednak stanowisko społeczne niemało zakonowi dodali blasku. Naród zżył się z jezuitami, oni znowu dość dla utrzymania popularności swojéj mieli środków w kościele i szkole. Niezaczepiani, nie potrzebowali się bronić; jedynie z powodu zaatakowania ich na zachodzie ogłosili w r. 1765 przekład broszury niemieckiéj (2), zawierającéj pochlebne dla zakonu opinie papieżów i statystów; drugiéj w 1766 francuskiéj (3), zwalającéj klęski jezuitów na jansenistów, Woltera, Russa, Fréron'a i t. p. Sam Stanisław August, lubo wraz z otoczeniem swojém sympatyi dla zakonów nie żywił, jezuitów jednak, chociaż nienarówni z pijarami i misyonarzami, korzystnie wyróżniał. Poszlakował go wprawdzie przed dworem papieskim w depeszy z 16 czerwca r. 1770 nuncyusz Durini o chęć kasaty jezuitów w celu zagarnięcia ich majątków, nie komunikował przecież tego w formie stanowczéj. Miał słyszéć na własne uszy, jak król sarkania swoje na mnichów zakończył twierdzeniem „że dla wychowania młodzieży bez przesądów wystarczą pijarzy i misyonarze, a w najgorszym razie jezuici" (4).

Wbrew przewidywaniom Durini'ego padł na jezuitów piorun z ręki papieskiéj. Bulla Klemensa XIV *Dominus ac Redemptor noster* z dnia 21 lipca r. 1773 ogłoszona była w Warszawie 8 listopada (5); 12 tegoż miesiąca opublikowana została w Wilnie (6). Wiadomość o niéj doszła do stolicy wtenczas, kiedy delegacya sejmowa na wniosek kasztelana przemęckiego Rafała Gurowskiego, poparty przez biskupa łuckiego Turskiego, uchwalała na sesyi 6 września projekt noty do ambasadora pruskiego w materyi utrzymania w zaborze szkół jezuickich i fundacyi klasztornych (7). W pięć dni późniéj, bo na sesyi 11 września, ten sam kasztelan przemęcki snuł

---

(1) Gazeta warszawska z 20 listopada r. 1790. Kuryer warszawski z 27 sierpnia 1763. — (2) Jezuici w prawdziwey swoiey postaci albo doskonałe uwiadomienie o ich dotychczas sprawowaniu się z niemieckiego na polski język przełożone. Nakładem pewnego NN. prałata do druku podane r. p. 1765. Gdańsk, druk Fryderyka Bartels'a. 8. str. 130.—(3) Wszyscy błądzą czyli sprawa z obydwóch stron niesłuszna, albo sąd obojetny jednyi (*sic*) damy filozofki w teraźnieyszych okolicznościach jezuitów francuskich roku 1762 wydany, a z franc. przetłumaczony w polskim języku, do druku podany od NN. Roku 1766. Gdańsk, 8, str. 119. — (4) Theiner. *Histoire du pontificat de Clément XIV.* Paris 1852, t. I, 443.--(5) Wiadomości warszawskie z 13 listopada r. 1773. — (6) Baliński. Dawna akademja wileńska. Petersburg, 1862. str. 233.—(7) Protokół albo opisanie zaszłych czynności na delegacyi. Sesya 6 września r. 1773.

już na kanwie wiadomości o kasacie jezuitów gorącą przemowę. „Widzę,—prawił—iż za dobro, całemu światu głośne i pożyteczne, już nie *adversas* ale *eversas* Rzymu doznają *sortes*, kiedy bulla powszechnego zakonu skasowania, w zagranicznych już publikowana państwach, a w naszém królestwie co tylko nie ma być ogłoszona. Ale że przez to, nie zewnętrzne złe, lecz wewnętrzne całego królestwa naszego zaczynaćby się miało, należy nam z powodów miłości dobra publicznego sarknąć na takie Rzymu układy, naszéj i przodków naszych woli przeciwne, a co największa, potomkom naszym arcy szkodliwe. Nie powinniśmy się zapatrywać na żądania obcych ministrów zniesienia tego zakonu, pełni gruntownéj nadziei, że prześwietne ministeryum ani imieniem najjaśniejszego króla, nam łaskawie panującego, ani Rzeczypospolitéj nie ogłosi przeciwnéj temu zakonowi woli... Mnie się zdaje, że ponieważ to jest partykularniejsza papieża wola, wolno i nam się przeciwko téj bulli protestować. Wiadomo całemu światu, że Francya nie jednéj, ale wiele ich nie przyjęła. Alboż tak już upośledzone jest Królestwo nasze, że koniecznie te *effata* przyjmować musi?... Utrzymujmy w obrębach dawnych ten zakon i na publikacyą bulli nie zezwalajmy dopóty, aż odbierzem od ojca św. na przełożenie nieodstępnéj naszéj potrzeby utrzymania tego zakonu dokładną i zupełnie nas uspakajającą rezolucyę“... Prosił kasztelan prezesa delegacyi o wyznaczenie z senatu i rycerstwa posłów do nuncyusza „aby téj bulli nie publikował“, oraz do Stanisława Augusta, aby poparł wstrzymanie kasaty aż do reasumpcyi sejmu.

Chwalił Gurowskiego za taką gorliwość prezes Ostrowski „wszyscy prawie Ichmć panowie delegaci wspierali żądanie JW. kasztelana przemęckiego“, jedynie kanclerz w. kor. Młodziejowski zdanie wypowiedział odmienne. „Wniesiona propozycya, — mówił—raczy prześwietna delegacya zważyć, czy się zgodzi z religią. Być albowiem przeciwnym głowie kościoła bożego, zachodzić w dysputę *de validitate bullarum*, wierzę, że nie te są dobrego katolika obowiązki; cokolwiek zatém głowa kościoła bożego postanowi, Jw. Imć ksiądz nuncyusz będzie tak uważny, że tego *sine referentia* biskupów czynić nie zechce“. Wygłaszane na następnych sesyach opinie: marszałka konfederacyi kor. Ponińskiego i Michała Czartoryskiego, żeby biskupi zapytali nuncyusza, dla czego papież w sprawie kasaty nie porozumiał się z Rzecząpospolitą; Biesiekierskiego, żeby zgromadzenie „bez żadnéj zmiany utrzymane było“; posła sieradzkiego Sucheckiego, żeby do zlustrowania majątków zakonu wyznaczyć komisyę, jezuitów zaś przy nauczaniu w szkołach zostawić i nadal; kasztelana przemęckiego i wielu innych delegatów,

żeby rygor bulli wstrzymać do roku;—wszystkie tego rodzaju opinie zwalczał kanclerz Młodziejowski, z zajętego poprzednio stanowiska nie schodząc. „Kilka już obywatelskich głosów dały poznać,—mówił na sesyi 19 listopada — że głowy kościoła katolickiego wyrok na zniesienie *instituti* xx. jezuitów w umysłach ich nie znajduje aprobacyi, owszem wzbudza sprawiedliwą obserwacyą nad tém, że ten wyrok bez zniesienia się wprzód z stanami Rzeczypospolitéj wypadł. Jako duchownego i jako obywatela jest moją powinnością przełożyć prześwietnéj delegacyi, że jeżeli pod wątpliwość to nie podpada, iż do téj głowy kościoła należało zawsze zgromadzenia duchowne aprobować, reguły im przepisywać; do niéj bezwątpienia należy, gdy tego sprawiedliwe znajduje przyczyny, też zgromadzenia znosić i z obowiązków, na nich włożonych, oneż rozwiązywać. Byłoby zatem jedno chcieć krzywdę czynić sposobem myślenia po katolicku, coby było pretendować, żeby zakon rzeczony, już skasowany, w Polsce mógł być zostawiony. Rzecz cała myśli obywatelskich do tego tylko ściągać się roztropnie może, za co ojciec św. nie miał względów na królestwo polskie i jemu wprzód determinacyi swojéj nie otworzył, niżeli do supresyi xx. jezuitów przystąpił. Lecz ta uwaga czucia względności na królestwo polskie tak daleko rozciągać nie może, żebyśmy chcieli przeciwić się wzmiankowanemu wyrokowi". Dowodzenie kanclerza wzmacniał poseł nurski, Jezierski, rzucając przeciwnikom bulli argument: *anathema sit!*

Gdy przed racyami Młodziejowskiego opinie przeciwników zamilkły, podkomorzy gnieźnieński Gurowski wystąpił z projektem, przezornie przewidującym przyszłe zakonu wskrzeszenie. „Ponieważ uczy nas smutne nader doświadczenie, — mówił—że pod słońcem nic nie masz stałego i że to, co się dwudziesto dwiema podobało papieżom i z natchnienia Ducha św. pochwalono jako *sanctum institutum*, jeden go papież prywatną powagą znieść może; więc idąc za instynktem sumienia *protutiori ac probabiliori sententia*, iż znowu być może, że od przyszłych papieżów toż zacne towarzystwa jezusowego ustanowienie, tylu chrześciańskiemi cnotami przez wylanie krwi za wiarę w kościele bożym zaszczycone, podniesione i z świętych popiołów wskrzeszone zostanie; naówczas (który ziść, Boże!) *sub vinculo excommunicationis* też same fundusze oddać im każe;.. jest zdanie moje, aby tych samych funduszów ubezpieczyć powrócenie xx. jezuitom *in casu*, gdyby znowu innemu papieżowi zdało się zakon tak zacny na świecie wskrzesić"... Projekt nie znalazł uznania i upadł, za to wniesiony na sesyi 7 października przez podkanclerzego litew. Chreptowicza, poparty przez kanclerza Młodziejowskiego i biskupa Massalskiego przeszedł zwycięsko. Na se-

syi 14 października uchwalono ostatecznie ustanowienie Komisyi edukacyjnéj i wyznaczenie lustratorów do objęcia pozostałego po jezuitach majątku (1). W taki sposób upadło towarzystwo, liczące w Rzeczypospolitéj przedrozbiorowéj 57 kolegiów, 18 rezydencyi, 63 misyi, razem 138 domów; 1157 księży, 604 braci kleryków, 579 zakonnych, ogółem osób 2340, z których 463 poświęcało się szkole, 209 kaznodziejstwu, 203 misyonarstwu (2). W r. 1773 pozostało Rzeczypospolitéj ex-jezuitów około 1755. Rozporządzenie kanclerskie zabraniało im w przeciągu dwóch miesięcy, licząc od daty ogłoszenia bulli, dotychczasowego miejsca pobytu opuszczać. Że lustratorowie zaleconego od Komisyi edukacyjnéj na utrzymanie ex-jezuitów funduszu wynaleść w krótkim czasie nie mogli,—zobowiązał się kanclerz w. kor. łożyć na ich potrzeby przez miesiąc z własnéj szkatuły (3).

Sam przebieg narad delegacyi zdradzał żywione w narodzie dla jezuitów współczucie. Wprawdzie biskupi ogłosili bullę w swych dyecezyach i do ducha jéj rozkazów stosowali się pilnie; nie okazał się znikąd żaden akt publiczny, któryby można było nazwać oporem; manifestowała się jednak w społeczeństwie sympatya dla upadłego zakonu. Trembecki w „Odzie na ruinę zakonu jezuitów“ podnosił ich tolerancyę, ducha poświęcenia, olbrzymie dla kościoła zasługi i upatrywał w kasacie klęskę powszechną.

„Z jakiéj przyczyny, ojcowie mili,
Ten Ganganelli was gnębi?
Wszakeście władzę jego szerzyli,
Wasz rozum wiary nie ziębi...
Niech jędze chwalą Franciszka z braty,
Mnich ten niewiele spokojny:
Rozdymał ognie do krucyaty,
Stuletniéj a próżnéj wojny;
I Dominika z błyszczącém okiem:
Kto jego słowom nie wierzy,
Niechaj omija świętego bokiem,
Bo z tyłu nożem uderzy...
Synów zaś Ignacego ta sława przed światem:
Tysiąc z nich męczenników, żaden nie był [katem.
Jak ogromnego Atlasa ciemię
Gwiaździste sklepy podźwiga,
Tak Piotrowego kościoła brzemię
Na waszych siłach polega.
Jana z Marcinem gniewy drażnione
Jednę w nim ścianę wywarły;
Cnych Lojolistów barki złączone
Skutecznie resztę podparły.
Chcąc zupełnie wywrócić gmach świątyni [stary,
Trzeba było najpierwéj obalić filary.
Tym końcem, towarzystwu cios zadając [silny,
Ten raz wierzę, Klemensie, żeś jest nieo- [mylny“...

---

(1) Protokół. Sesye: od 11 września do 19 listopada r. 1773. — (2) Gazeta warszawska z 19 marca r. 1774. Odmienne nieco cyfry na tę samę dobę podaje autor „Historyi zniesienia jezuitów“ (II, str. 4—7):

Prow. malop.	608 osób tj.	341 księży,	129 kleryków,	138 braci.
„ wielk.	521 „	284 „	124 „	113 „
„ litew.	643 „	295 „	173 „	175 „
„ mazow.	587 „	257 „	173 „	157 „
Razem	2359 „	1177 „	599 „	583 „

Kolegiów liczy tylko 51, rezydencyi 18, misyi „przeszło“ 60; szkół 66, z tych 23 z wykładem teologii i filozofii, dwie akademie, tyleż seminaryów, 15 konwiktów. — (3) Taż z 12 stycznia r. 1774

Tym samym duchem tchnęły obiegające po kraju wiersze łacińskie, wydane późniéj w przekładzie polskim (1); najdosadniéj zaś może współczucie dla jezuitów i obawy z powodu kasaty wyrażał stary hetman Wacław Rzewuski.

„Gorzkie łzy w niebie gdyby miejsce miały,
Wszystkie tam kraje w łzyby się rozlały;
Poszedłby wylew nagły z pod obłoku.
Nakształt potoku.
Upada zakon, cnotą zaszczycony,
Krwią męczenników tak licznych zbroczony,
Rzymowi ślubem przysięgły, w czas długi
Pełen zasługi.
Oddawszy niebu tylu synów, przecie
Czem sama matka wygnanką na świecie?
Podobnych jeszcze wydałaby z siebie
Tym, co są w niebie.
Trak, China, Japon, tysiączne narody
Świadczą omyci źródłem świętéj wody,
Między licznemi ludów boskich gminy
Licząc swe syny.
Ehej, Jezusa imieniem wsławieni,
Gdzież się będziecie tułać rozproszeni,
Błędni po świecie? straciwszy urzędy
I imię wszędy!
Wy, co mądrości i praw Mistrza świata
Uczycie, zasług taż wasza zapłata?
Takąż wam karę mozół, pełna praca
W nadgrodę zwraca?
Ostygnie wiary gorliwość, strapiona
Młódź płakać będzie, ćwiczeń pozbawiona,
Euterpe z swemi i Apollo smutni
Zapomną lutni.
Ty, co twe czoło troistą koroną
Otaczasz, ojcze święty, bądź obroną,
Podnieś upadły ten zakon na nogi,
Oddal los srogi“ (2).

Utyskiwaniom poetów wtórował żal powszechności; nie obyło się i bez poważniejszych zabiegów ze strony osobistości wpływowych. Kasztelanowa kamieńska, Kossakowska, zwróciła się wprost do Rzymu i w liście z 26 sierpnia r. 1773 do kardynała sekretarza stanu wynurzała boleść, jaką ludzie religijni w Polsce uczuli na wiadomość o bulli. Byli i tacy, co żądali zwrotu funduszów, darowanych niegdy jezuitom przez przodków (3).

Rezygnacya jezuitów wobec bulli papieskiéj była bardzo wątpliwą: współczucia powszechności nie omieszkali zręcznie podsycać i w popularności, jaką zabiegliwością dwóch wieków zdobyli w Polsce, usiłowali szukać dla siebie ratunku. Istotnie, marzyli o ocaleniu i zabiegali tajemnie, chociaż publicznie okazywali pokorne poddanie się twardemu losowi.

Pierwszy głos jezuitów z okazyi kasaty wyszedł przed opublikowaniem bulli, 13 października, z redagowanych przez Łuskinę, a więc jeden z filarów zakonu, „Wiadomości warszawskich“. W formie przetłómaczonego z gazet zagranicznych listu głośnego kaznodziei francuskiego księdza de Neuville zamierzył redaktor „Wiado-

---

(1) Wiersze po zgasłym zakonie jezuickim w Rzymie nayprzód, a potym we wszystkich państwach sławne, teraz na polskie przez Imc. P. Walentego Sowińskiego wytłómaczone w Warszawie d. 25 *Octobris* r. p. 1776, 4⁰ kart nlb. 6. — (2) *Venceslai Rzewuski Pal. Cracov. Supr. Ducis Exer. Reg. Pol. Ode in jacturam Societatis Jesu.* J. W. Wacława Rzewuskiego w. krak. het. w. kor. Oda o upadku zakonu *Soc. Jesu.* 4⁰ kart nlb. 2 (tekst łaciński i polski). — (3) Theiner *l. c.* II, 401.

mości" wyrazić dotkliwość ciosu, jaki spadł na jezuitów i tę rezygnacyę chrześciańską, z jaką gotowi znosić brzemię nieszczęścia. „Już po jezuitach,—pisał ksiądz de Neuville. Bulla na ich zniesienie już jest wydana. Dopuść W. Pan, żebym o téj tragicznéj odmianie, która będzie zadziwiać potomne wieki, mówił do niego po ojcowsku i po przyjacielsku. Nie usłyszysz tu W. M. Pan odemnie najmniejszego słówka, uskarżającego się na ten nasz upadek. Uszanowanie, niczém nieskażone, stolicy apostolskiéj i ojca św., zdanie się zupełne na surową wprawdzie, ale zawsze godną uszanowania wolą najwyższéj Opatrzności, nie pozwala nam szperać w skrytościach jéj sądów. Nie wynurzajmy żalów, nie wydawajmy wzdychania, nie wylewajmy łez naszych, chyba przed Bogiem i w jego świątnicy. Niech się nie odzywa przed ludźmi nasze utrapienie, chyba tylko w milczeniu, spokojności, skromności i posłuszeństwie. Nie zapominajmy ani nauk, ani przykładów pobożności, które winniśmy naszemu zakonowi. Pokażmy to przez nasze postępki, że on był godzien innego losu. Niech mowy i uczynki dzieci usprawiedliwiają matkę. Ten sposób pokazania jéj niewinności jako jest godziwszy i przyzwoitszy, tak bardziéj jéj sławy broni. Żądaliśmy zakonowi naszemu służyć gorliwością i przymiotami naszemi, starajmy się mu teraz przysługiwać samym naszym upadkiem i nieszczęściem. Nie wątpisz, mój najmilszy współbracie, o utrapionym stanie serca i umysłu mojego, zapatrującego się na widok tak haniebnego upadku zgromadzenia naszego, któremu wszystko winienem: cnoty, talenta i sławę moją; mogę mówić, iż co moment wypijam kielich gorzkości i hańby aż do dna samego; ale, rzuciwszy okiem na Jezusa ukrzyżowanego, czyż można na to się uskarżać?" (1). W pięć dni po opublikowaniu bulli w Warszawie ten sam organ ks. Łuskiny następujący podał artykuł: „Wola stolicy apostolskiéj tak tu jest wykonaną, iż użalenie w narodzie nad lepszego losu godnymi; miłość ku współobywatelom, sprawiedliwość oraz względem tych, którzy więcéj niż przez dwa wieki obyczaje i nauki w ojczyźnie szczepili i krzewili, wielkie dały w tych acz trudnych okolicznościach dowody. Zniesionego zakonu osoby (ile rozporządzenie Rzymu dozwala) wszystkie dawne swoje prace dla religii i ojczyzny dotychczas tu, jak mogąc, utrzymują; zwierzchność zaś narodowa tak duchowna jako i świecka wszelkiego dokłada starania, ażeby na dostateczném opatrzeniu tychże pracujących lub pracami starganych osób nie schodziło" (2). Ogłoszone współcześnie wiersze: G. P(ira-

(1) Wiadomości warszawskie z 13 października r. 1773. — (2) Też z 13 listopada r. 1773.

mowicza) „Przy rozstaniu się z połecznością zakonną“ (dat. 5 listopada r. 1773) i bezimiennego (Naruszewicza) „Adieu kochanym jezuitom“ (1), chociaż wyszły z pod pióra członków zniesionego towarzystwa, odznaczały się tonem spokojnym, dalekim od tego krytycyzmu, jakiemu dał folgę w odzie swojéj Trembecki lub Wacław Rzewuski. Wszystko to w połączeniu z obiektywizmem sprawozdań pisma Łuskiny o decyzyach delegacyi sejmowéj względem majątków pojezuickich (2) dowodziłoby, jeżeli nie istotnéj pokory i rezygnacyi, to przynajmniéj wysokiéj lojalności i subordynacyi zakonu, gdyby nie fakt zabiegów tajemnych i nie presya z góry, nakazująca rozgoryczonym milczenie.

Zaraz po nadejściu bulli papieskiéj do stolicy wyprawili jezuici rektora warszawskiego kolegium szlacheckiego, księdza Wyrwicza, do delegacyi sejmowéj z ofertą, jako oddadzą dobrowolnie wszystkie dobra i sumy, cały zgoła majątek, aby tylko breve papieskie, kasujące zakon, nie doprowadzone było do skutku. Decydowali się poprzestać na jakichkolwiek pensyach, gotowi nawet byli zrezygnować z nich zupełnie i egzystencyę swoją powierzyć względności obywateli, aby tylko pozwolono im „utrzymać się tak przy swojém powołaniu, jako i przy swych dawnych, więcéj niż od dwustu lat około zaszczepiania w młodzieży obyczajów i nauk pilnie łożonych pracach“ (3). Propozycye Wyrwicza musiały w niektórych członkach delegacyi zapał dla sprawy jezuitów zaostrzyć: działały niewątpliwie na kasztelana przemęckiego, który z taką stanowczością występował przeciwko kasacie; na posła sieradzkiego, który wołał: „niech nie mają ani sukni, ani imienia jezuickiego, byle szkół uczyli“ (4); na innych wreszcie, którzy natychmiastowemu a ścisłemu wykonaniu bulli byli przeciwni. Kanclerz Młodziejowski do układów nie dopuścił, nuncyusz zaś, arcybiskup bejrucki Józef Garampi, przedsięwziął środki ku zatamowaniu wzbierających dla zakonu sympatyi. Kiedy zaczęły wychodzić z pod prasy nieprzychylne bulli papieskiéj głosy prozą i wierszem, zaniósł Garampi 9 listopada r. 1773 skargę do króla i w przeciągu dni pięciu zadośćuczynienie otrzymał (5). Stąd początkowa wstrzemięźliwość organu

(1) Oba w *Zabawach przyjemnych i pożytecznych* t. VIII, część 2. Inny wiersz Naruszewicza „Na ruinę jezuitów“ wyszedł osobno. (2) Wiadomości warszawskie z 24 listopada r. 1773. — (3) Ofiara ex-jezuitów z własnych swych osób dla Rzeczypospolitey uczyniona roku 1790. Historya zniesienia jezuitów. II, 33. — (4) Protokół. Sesya 13 października r. 1773. — (5) Theiner *l. c.* II. 401. *Parmi ces tristes écrits on distingue principalement, à cause de son fanatisme outré, un pamphlet intitulé: „Sur la chute des jésuites“.* Nie znając tytułu oryginalnego owego pamfletu, nie możemy odgadnąć jego autora. Być może, że Garampi przetłómaczył w ten sposób tytuł ody Trembeckiego lub poematu Naruszewicza „Na ruinę jezuitów“.

Łuskiny w sądach o kasacie zakonu; stąd téż uderzająca szczupłość publikacyi z r. 1773 w sprawie tak ważnéj, całą obchodzącéj powszechność.

Po klęsce w delegacyi, z wyjątkiem memoryału, podanego na początku roku 1774 królowi z prośbą o zapewnienie pensyi (1), nie wystąpili ex-jezuici zbiorowo a publicznie z żadnym w swéj sprawie aktem aż do sejmu wielkiego. Wychodziły wprawdzie z pod pióra energiczniejszych broszury (2): jedne z nich przecież, przepełnione utyskiwaniem na nieszczęście, zresztą lojalne, sfer interesowanych obrażać nie mogły; inne znowu, wymierzone przeciwko kuryi, ścigane były przez nuncyusza i celu chybiały. Ogłoszonych w r. 1777 w przekładzie polskim w Warszawie: Pallafox'a Mowa ciekawa kardynała przed oycem św. Piusem VI w zgromadzeniu św. obrządków i Ricci'ego Uwagi przeszłego zakonu Soc. Jesu generała skutkiem skargi następcy Garampi'ego, Archetti'ego, nie wolno było z rozkazu króla i Rady nieustającéj nigdzie w krajach Rzeczypospolitéj przedrukowywać, ani rozpowszechniać, podobnie jak paszkwilów i niedowiedzionych a złośliwych względem kogokolwiek zarzutów (3). Wobec takiéj sfer rządzących czujności musieli się ex-jezuici ograniczyć na agitacyi prywatnéj lub, co najwięcéj, na fortelnych podjazdach, w których w wysokim celował stopniu zacięty i niezmordowany Łuskina. W każdym niemal numerze swéj gazety przy lada okazyi przypominał zasługi zakonu i wyrządzoną mu krzywdę; sarkał na sprawców upadku i wrogów, a wielbił przyjaciół. Zwłaszcza obrona rebelizujących braci w krajach króla pruskiego i na Białéj Rusi o niemałéj świadczy ex-rektora odwadze.

Fryderyk II, powodowany względami politycznemi, postanowił w państwach swoich jezuitów utrzymać. Ex-prowincyał jezuitów na Śląsku, ulegając namowom rządu, podjął się wykonania projektu: zamierzył zgromadzić ojców z całego państwa pruskiego, ogłosić wbrew bulli papieskiéj niczém nienaruszoną egzystencyę towarzystwa i w miejsce uwięzionego w zamku św. Anioła jenerała zakonu, Ricci, obrać jego zastępcę. Zwierzył się z tém najprzód rektorowi kolegium w Brunsbergu i prosił, aby o całym planie za-

(1) Wydrukowany w supl. do *Gazety warszawskiej* z 4 maja r. 1774. — (2) Były to same przekłady: w r. 1773 Beaumont'a *List do oyca św. Klemensa XIV z okoliczności breve kasującego S. J.* (dwie edycye); 1774 Klemensa XIV *Odwołanie własnego listu znoszącego zakon jezuicki*; 1775 Ricci'ego *Oświadczenie o niewinności zakonu S. Jesu* (drukowane także w *Gazecie warszawskiej* z 3 stycznia 1776) i *Memoryal podany od XX. jezuitów paryskich królowi Imci francuskiemu* (Bez m. i r. 4° kartka). — (3) Gazeta warszawska z 26 marca r. 1777.

wiadomił nietylko jezuitów w Prusach zachodnich, lecz także przebywających w Polsce i Rosyi i aby udzielił mu rady względem uskutecznienia zamiaru. Zapewniał, że działa z polecenia ministra sekretarza stanu pruskiego i za wiedzą samego króla; do tego dodawał, że znajdzie się biskup—warmiński, Ignacy Krasicki, który całą sprawę weźmie na siebie, papież zaś, zaskoczony wypadkami, będzie musiał dokonanemu faktowi udzielić sankcyi. Krasicki, gdy się rektor brunsberski zwrócił do niego po informacye, nic stanowczego odpowiedzieć nie umiał. Skutkiem tego nietylko rektor udziału w spisku odmówił, ale nawet listem z 13 listopada r. 1773 zapewnił nuncyusza w Warszawie, że się z całą uległością wraz z kolegium swojém dekretowi kasaty poddaje. Pomimo tego jezuici śląscy i pruscy przetrwali w regule zakonnéj do r. 1780, tj. do czasu, kiedy Fryderyk II na sekularyzacyę przyzwolił (1).

Pod panowanie znowu ruskie przeszło w r. 1773 sześć kolegiów jezuickich i tyleż misyi. Gdy wyszła bulla Klemensa XIV, prowincyał mazowiecki, Kazimierz Sobolewski, pod którego zarządem owe kolegia i misye zostawały, widząc, że delegacya dekret papieski przyjmuje, a nie wiedząc, jak się wobec niego Cesarzowa Katarzyna II zachowa, mianował rektora połockiego, Stanisława Czerniewicza, swoim na Białéj Rusi zastępcą. Czerniewicz wraz z astronomem Lenkiewiczem i wymownym kaznodzieją Kantembryngiem udali się do Petersburga, otrzymali posłuchanie i pozyskali zapewnienie imperatorowéj, że mogą bez obrazy papieża przy regule zakonnéj pozostać i nadal. Nie śmiał Czerniewicz w przeciągu lat sześciu przyjmować nowicyuszów, aż otrzymał w r. 1779 pozwolenie ówczesnego biskupa białoruskiego, Bohusza Siestrzencewicza. Za ukazem Katarzyny II zgromadzili się w r. 1782 jezuici białoruscy do kolegium połockiego na kongregacyę i Czerniewicza, dotychczasowego viceprowincyała, obrali na wikaryusza generalnego. W lipcu r. 1785 Czerniewicz umarł, miejsce jego zajął rektor kolegium połockiego i pierwszy asystent, ks. Gabryel Lenkiewicz (2).

Chociaż zachowanie się jezuitów śląskich i białoruskich miało w istocie cechy rokoszu, to przecież papież, pomimo nalegań dworu hiszpańskiego, obawiając się skandalu, środków stanowczych użyć względem nich nie śmiał. Nuncyusz Garampi w depeszy z 3 listopada r. 1773 do kardynała sekretarza stanu wyraził zdanie, że byłoby niebezpieczeństwem zmuszać jezuitów do posłuszeństwa Rzymowi przez groźby, kary kanoniczne lub ogłoszenie ich za bun-

---

(1) Theiner *l. c.* II, 495. Historya zniesienia jezuitów. II, str. 148. — (2) Gazeta warszawska z 13 sierpnia i 2 listopada r. 1785.

towników. Mogliby się znaleść pomiędzy nimi zuchwalcy, którzy, nie zważając na prawo kościelne, gotowiby wznowić stare zatargi, już to stawiając władzę biskupów narówni z papieską, już to przyznając, że rozkazy kuryi, niesankcyonowane przez władzę świecką, znaczenia nie mają. Zdaje mi się przeto, pisał nuncyusz, że dopóki nie znajdziemy warunków do działania dogodnych, wypada nam pobłażać i milczéć, jak gdyby ojciec święty zostawiał rokoszanom czas do namysłu lub nielegalną ich egzystencyę powierzał losowi (1).

Przewidywania nuncysza nie były płonne: jezuici zarówno śląscy, jak białoruscy nie omieszkali na usprawiedliwienie swoje zakwestyonować prawności bulli i wyzyskać teoryi o stosunku władzy duchownéj do świeckiéj. „Alboż to — dowodzili białoruscy w broszurze, ogłoszonéj na swą obronę (2), — dekret, do karności kościelnéj należący, równie jak prawidło wiary obowiązuje kogo? Azaż niema różnicy między bullą np. *Unigenitus*, decydującą w materyi, należącéj do wiary i między bullą *Apostolicum*, która zakon jezuicki potwierdza? między bullą *Coenae* i bullami, które ustanawiają święta, posty i tym podobne rzeczy? Azaż prawo zbyt ciężkie, niepożyteczne, szkodliwe, na fałszu zasadzone, nieobwieszczone urzędownie, prawom ludzkości i boskim przykazaniom przeciwne równie na sumieniu obowiązuje, jako prawo pożyteczne, potrzebne, łatwe, na prawdzie ugruntowane i należycie ogłoszone, które się z przyrodzonym i boskim prawem zgadza zupełnie?... Jezuici białoruscy tyle, nie więcéj, wiedzą o zniesieniu zakonu swego, ile się im dało słyszéć z pospolitych wieści; nie widzą breve na zgubę ich wydanego, chyba tylko w gazecie, która bez pochyby niema tyle autentycznéj powagi, wiele jéj ma uroczyste obwieszczenie czy to prawa, czy jakiego dekretu. Czytają w jednym liście okolnym, że jest zlecono biskupom obwieścić, ogłosić i wykonać dekret papieski: w tém odbierają od książęcia biskupa wileńskiego, pod którego jurysdykcyą Ruś Biała zostawała naówczas, list z wyraźnym rozkazem, aby póty się w stanie swym zachowali, póki inna od niego dyspozycya nie zajdzie. Nie zaszła zaś żadna. Czytają w samem-że breve, że się nie ma dawać wiara, jedno kopiom tegoż dekretu, któreby miały pieczęć jakiéj osoby autoryzowanéj godnością kościelną. Wiedzą, że w Rzymie nawet toż breve wykonane było sposobem bardziéj żołnierskim, aniżeli prawnym, bez promulgaty legalnéj;

(1) Theiner *l. c.* II. 408. — (2) List do Imci pana adwokata N. N. autora uwag nad historyą pierwszego wieku XX. Serwitów i Bonifratelów dla objaśnienia historyi ocalonych jezuitów na Białéj Rusi. 1784. 8⁰, bez m. stron 76. Na końcu: „z Kapraroli d. 26 lipca 1780.“

a zatém mniemają, iż póty, pókiby biskup prawnie ich nie sekularyzował lub pókiby nie była im pokazana jaka kopia autentyczna tegoż breve, nietylko mogą, ale też obowiązanymi są trwać w swojéj profesyi... Zniesienie na Białéj Rusi jezuitów nie mogło się do skutku przywieść bez przyzwolenia imperatorowéj nietylko dla tego, iż tego wyciąga prawo pospolite, dobry rząd i zwyczaj powszechny; ale też z téj przyczyny, że to była wyraźna myśl Klemensa XIV, który w témże swojem breve wzywa panów chrześciańskich do przyzwolenia na egzekucyę. Biskup na Białéj Rusi, jako to uczynili wszyscy inni biskupi, prosi o imperatorski konsens na to: monarchini, nie daje mu go, a tak egzekucya zawieszoną została. Idą i przychodzą listy z Rzymu na Ruś, a z Rusi do Rzymu, lecz nie przynoszą téj sprawie końca. Jezuici czekają na los, mający wypaść im od zwierzchności kościelnéj i monarchicznéj i nie przestają służyć krajowi, jak zawsze"...

Łuskina rokoszanom przyklaskiwał, Fryderyka II i Katarzynę uwielbiał. Z Czerniewiczem i towarzyszami podczas bytności ich w Petersburgu utrzymywał korespondencyę; zawiadomienia w liście z 28 stycznia r. 1774 decyzyi imperatorowéj nie omieszkał opublikować w gazecie. „Mamy pewną wiadomość,—pisał (1) iż wielka monarchini nietylko chce w dawnym stanie zatrzymać jezuitów, za kordonem rosyjskim zostających, ale też dała im przywiléj, ręką własną podpisany i w senacie legalizowany, przez który wszystkie ich generalnie dobra, w swojem teraz państwie znajdujące się, od wszystkich podatków na zawsze łaskawie uwolniła, czego żaden jeszcze dotychczas otrzymać nie mógł". Cieszył go fakt otwarcia nowicyatu jezuickiego w Połocku, radował i liczny do niego napływ młodzieży. Tym, którzy oskarżali Czerniewicza o bunt, uszczypliwości nie szczędził; w końcu zuchwały w sprawie braci białoruskich wydrukował artykuł. Podobnie jak L i s t d o I m c i p a n a a d w o k a t a zaprzeczał Łuskina, aby Czerniewicz był papieżowi nieposłusznym: wiedział on, że bulla *Dominus ac Redemptor* nie ma na względzie ani dogmatów, ani etyki, lecz dotyczy jedynie karności. Tego zaś rodzaju rozporządzenia papieskie po wielekroć nie były uznawane przez ludzi bogobojnych, a nawet świętych. Opierał się św. Paweł apostoł najpierwszemu papieżowi Piotrowi, ś. Polikarp nie słuchał rozporządzeń papieża Aniceta w kwestyi czasu obchodzenia świąt wielkanocnych. Ś. Ireneusz ganił ś. Wiktora papieża za postępowanie z Polikratesem i innymi biskupami azyatyckimi. Ś. Augustyn nie uznawał kanonów sardyceńskich. Ś. Hilary

(1) Gazeta warszawska z 5 marca r. 1774.

biskup arelateński wbrew rozkazom i groźbom ś. Lerna papieża nie chciał pewnego biskupa przyjąć do swojéj społeczności; ś. Bernard bronił sprawy Adalberona arcybiskupa trewirskiego przeciwko rozporządzeniom papieża Innocentego II; ś. Ludwik król francuski nie chciał się skłonić, aby odwołać sankcyę pragmatyczną; kościół francuski uchylił bullę Juliusza II *Execrabilis*, dekretalia Mikołaja I, tudzież wiele innych konstytucyi i praw, nawet stanowionych na koncyliach, lecz nienależących do wiary. Ś. Filip Benicius, fundator serwitów, opierał się kasacie swego zakonu przez papieża Innocentego V. Nie uznał kasaty bonifratelów przez papieża Klemensa VIII król hiszpański Filip II; do zakonu tego należał aż do śmierci sławny Jan Pecador, przez Klemensa XIV zaliczony do błogosławionych. S. Józef Kalasanty bronił się przeciwko rozporządzeniu Innocentego X, kasującemu piarów, namawiał do oporu teologów i kanonistów, wpływał na monarchów, przez co Władysław IV bulli nie przyjął... „Ani Klemens XIV-konkludował Łuskina— większą miał moc nad Innocentego V i nad Klemensa VIII, ani monarchini rosyjska powinna być posłuszniejsza papieżom, niżeli im posłuszni byli Filip II król hiszpański, Władysław IV król polski i sam ś. Ludwik król francuski; ani też do większego posłuszeństwa ku Rzymowi był obowiązany vice-prowincyał jezuicki, aniżeli święci... Zwłaszcza, że takie i tym podobne ustawy po wszystkich, nawet katolickich państwach póty mocy nie mają, póki zezwolenia od panujących w kraju, czy z dawna aż podziś dzień zwykłego *exequatur* nie otrzymają". Usprawiedliwia też zarówno Czerniewicza, jak Katarzynę ta, zdaniem Łuskiny, okoliczność, że bulli z 21 lipca nie wydał Klemens XIV *motu proprio*, lecz na żądanie niektórych dworów; że nie nakazuje monarchom, aby ją przyjęli, lecz tylko prosi... Wogóle fakt utrzymania jezuitów na Białéj Rusi i napływ do nowicyatu połockiego młodzieży krajowéj i obcéj Czerniewiczowi i współdziałaczom jego przynosi zaszczyt „a najbardziéj czyni honor monarchini rosyjskiéj, że się tak dobrze na zakonie poznała, choć go u siebie przez kilka ledwo przedtém miała miesięcy" (1).

Przycinał Łuskina przy każdéj sposobności nieprzyjaciołom jezuitów umarłym i żywym. Wspominając o Klemensie XIV, zawsze wytykał mu habit franciszkański, jakby chciał przez to utrwalić w czytelniku mniemanie, że kasata była wynikiem rywalizacyi zakonnéj. Złorzeczył autorom, którzy pisali przeciwko jezuitom, jak Piotr Quesnel Benard i Józef de Scabia (2); szczególniejszą miał jednak predylekcyę do znęcania się nad margrabią Pomba-

(1) Gazeta warszawska z 13 sierpnia r. 1785. — (2) Taż z 26 marca r. 1774.

lem (1). Początkowe kłopoty rządzących, wywołane przez kasatę, podnosił Łuskina z tryumfem. „Skasowanie—pisał—tyle razem chorągwi trudniejsze, niżeli się na początku zdawało; dłuższych i dostalszych rad potrzebuje; przeto ułożenie na miejsce starych od dwóch i dalej wieków żołnierzy nowych (daj Boże pożyteczniejszych i profitowniejszych, jak nam obiecują) rekrutów na dalszy jeszcze czas odłożone być musiało". Z okazyi trudności w obmyśleniu na razie funduszu na utrzymanie ex-jezuitów wołał: „większa jest rzecz gmach jaki, gwałtownem trzęsieniem ziemi z fundamentów do szczątku wzruszony i walący się aby na jeden moment utrzymać, aniżeli go chociażby największym nakładem z gruntu przez lat niewiem wiele budować" (2). Nawet koń z byłego folwarku jezuickiego, zabłąkany w mieście, daje Łuskinie asumpt do refleksyi: „rozumiał podobno, że po skasowaniu dawnych owego miejsca rządców wolno już mu co chcąc czynić i po całej Warszawie dzień i noc samopas biegać" (3). Nie wahał się Łuskina zaczepiać wprost kuryi. Z powodu grabieży, dokonywanej w Rzeczypospolitej na majątkach po-jezuickich przez biskupów i świeckich, nie szczędził w gazecie przycinków nuncyuszowi i wyższemu duchowieństwu rzymskiemu. Z opowieści o prałatach z nad Tybru, rzucających się na bogactwa zakonu, wyprowadzał wniosek, że raczej chwalić, niż ganić wypada tych w Rzeczypospolitej, którzy idą za przykładem z góry. Garampi, oburzony, zaniósł skargę do króla: sprawa oparła się o papieża, który listem kardynała Corsini z 22 czerwca r. 1774 tłómaczył nuncyuszowi, że sreber kościołów jezuickich nie tknięto, majątki zaś obrócone zostały na cele dobroczynności publicznej (4). Do artykułów, tłómaczonych z gazet zagranicznych, o ile były w związku z kasatą zakonu, dodawał komentarze, złośliwie dotykające kuryę. W numerze 56 gazety z 13 lipca r. 1774 w takiej formie przedrukował korespondencyę, datowaną z Lejdy:

„Listy z Kolonii donoszą, iż w całych tamecznych niemieckiego kraju okolicach rzeczy przeciwko jezuitom, świątobliwie rozpoczęte, bardzo dotychczas oporem i niestatecznie idą. Po wielu miejscach suknie tylko odmienili i nazwisko; ale w tychże domach swych siedzą i wszystkie urzędy tak w kościele, jako

---

(1) Gazeta warszawska z 17, 27 listopada i 1 grudnia r. 1779. Wtórowała jéj *Gazeta grodzieńska* z 2 i 9 grudnia r. 1779. W tym samym duchu oceniła go wydana w r. 1784 w Warszawie broszura: *Anecdotes du ministère de Seb. Jos. Carvalho Conte d'Oyeras Marquis de Pombal.* — (2) Gazeta warszawska z 12 stycznia r. 1774.—(3) Taż z 1 listopada r. 1775. — (4) Thelner l. c. II, 503.

i w szkołach sprawują, nawet dobra swoje trzymają. W Ratysbonie ledwo przecie w przeszłym miesiącu suknie im zakonne odebrano: ale tamże siedzą, gdzie i przedtem i teżsame urzędy przy nich zostawiono. Dom ich tenże, w którym mieszkają, nazwany był św. Pawła: teraz mówią, że się już nazywa św. Jerzego. Lękać się trzeba, kiedy tych ichmościów wsadzili na konia i dzidę im jeszcze w rękę dali.

Dzida św. Jerzego nikomu nie jest straszną, tylko smokowi (1).

Tychże księży już się byli szczęśliwie w Moguncyi pozbyli; a oto znowu z wielkiemi ich honorami do dawnego mieszkania i urzędów powrócili. Mogąż to czynić ludzie w tym naszym wieku tak nader oświeconym?

Zbyteczne światło niejedne słabe oczy oślepiło.

Jezuici już byli, chwała Bogu, z Moguncyi wygnani; komisya na wszystkich niepotrzebnych mnichów i innych jakichkolwiek zakonników była chwalebnie postanowiona. Jednego męża śmierć wszystkie te tak pożyteczne dzieła zepsowała. Wielki Emeryku baronie de Breindenback-Burrescheim, gdzie jesteś?

Już na tamtym świecie! Ale czekają tam i na kogóś, któremu wszyscy mnisi, zapomniawszy na urazę, gotowi z krzyżem darmo asystować.

Naostatek wszyscy ostępem na tychże księży już poszli; już ostatni piorun w nich uderzył; już imienia ich na świecie nie masz; a oni jeszcze na świecie są. Rzucaj na łeb kota choćby z wysokiéj gałki watykańskiéj, przecie on na nogach zawsze stoi.

Nie płoszajmy bardzo tego kota, żeby znowu na tęż gałkę od strachu nie wskoczył.“

Sarkastyczne komentarze obraziły nuncyusza: w numerze z 30 lipca wydrukował Łuskina rodzaj zadośćuczynienia, lecz w formie drwiącéj. „Gazeta tutejsza — tłómaczył się — nic bardziéj nie pragnęła, jak żeby najmniejszéj przyczyny do urazy nikomu nie dała; z wielkim nieukontentowaniem uwiadomiona jest, że artykuł lejdejski pod liczbą 56 o ex-jezuitach stał się przyczyną do urazy wysokim niektórym osobom. Przełożony nad gazetą jak najpilniejsze w téj mierze w szperaniu między swojemi do drukowania tego dzieła należącemi uczynił kroki. To jest pospolite dla ludzi nieszczęście, że jeżeli trudno wszystkim dogodzić, jeszcze trudniéj wszystkich dopilnować. Najpilniejsze téż badanie niezawsze wszystko

(1) Ustępy czcionkami odmiennemi są dodatkami Łuskiny.

wyszperać może: bywa na świecie, że grzech jest, a grzesznika nie masz".

Członkowie zakonu byli dla niego wcieleniem cnót, gorejącą pochodnią prawdy. Dla uświetnienia swego zakonu podnosił projekt kanonizacyi wygnanego z Hiszpanii braciszka jezuickiego Maryana Rodriquez, wydrukował *elogium* jego po łacinie i po polsku i do gazety dołączył gratis (1). „Fest" św. Ignacego Lojoli w kościele pojezuickim, popis szkolny w konwikcie nowo-miejskim—wszystko Łuskina na honor zakonu, a ku hańbie nieprzyjaciół jego umiał obrócić. Za to dobroczyńców zakonu pod niebiosa wynosił. Sapieże za przychylną na sejmie z r. 1786 wzmiankę o jezuitach zapewniał w imieniu braci wdzięczność wieczną (2). Gniewało Łuskinę, gdy kto kolegów jego białoruskich ex-jezuitami nazywał: „jeżeli ci księża—pisał—sukien nie odmienili, po co ich ex-jezuitami mianować?". W przyszłość zakonu wierzył. Wspominając o Riccim, jako ostatnim generale, do wyrazu „ostatni" dodawał „tą razą" (3). O wskrzeszeniu jezuitów, czyli—jak się wyrażał—o powrocie kota na gałkę watykańską, rozwodził się w artykułach polemicznych nie bez dowcipu. Wyszła w r. 1775 w drukarni Mitzlerowskiéj broszura (4), przedstawiająca purpuratów rzymskich, przesiewających w Watykanie różne zakony. *Pars subtilissima fugit* — jezuici najpierwsi wypadają przez sito. „Jeżeli *pars subtilissima*, — zauważył Łuskina — to nie mogła cała z sita na ziemię upaść, ale coś, po powietrzu tym czasem rozleciawszy, znowu nazad do sita, po części przynajmniéj, wpadać musi" (5): Kasata jezuitów wprawiła Łuskinę w rodzaj obłędu. Śmieli się téż z niego koledzy umiarkowańsi, a przeciwnicy niemiłosiernie drwili. Ex-jezuita również, ale innego odlewu, Świtkowski, skarżył się w r. 1783 na „Gazetę warszawską", że „przez lat dziesięć prawie nudziła nieskończonym jezuitów wskrzeszaniem, a Pombala potępianiem" (6). Dobrze starego ex-rektora kolegium warszawskiego scharakteryzował Węgierski:

„Pełny śmiesznych konceptów pocieszny Łuskina
Fanatyzmu nam jeszcze czasy przypomina.
Za to, że jezuitów wyrokiem obala,
Zły na Ganganellego, szkaluje Pombala

---

(1) Gazeta warszawska z 31 grudnia r. 1785. — (2) Taż z 1 listopada r. 1786. — (3) Taż z 13 sierpnia r. 1785. — (4) Wizerunek symboliczny jezuitów z innemi wraz zakonnikami, 4-o, arkusz, egzemplarz gr. 15. Wierszem łacińskim i polskim. — (5) Gazeta warszawska z 25 października r. 1775. — (6) Pamiętnik polit. y hist. z r. 1783, t. II, str. 219.

I, będąc w ostrzeżeniu każdéj wady pilnym,
Powiada, że choć papież, Klemens był omylnym"...

Poeta bezimienny (prawdopodobnie również Węgierski) w wierszu „Przestroga przyjacielska do księdza Łuskiny jezuity z okazyi warszawskiéj" (1) potężną sprawił mu chłostę:

„A mnie dyabli do tego, że na Białéj Rusi
Nowicyat jezuitów otworzon być musi;
Czemuś tego nie dodał, że poseł hiszpański
Zaniósł o to manifest pod tron watykański...
Straszliwie mnie obchodzi interes Pombala,
Na którego twa zemsta zodyak obala...
Że *hannel* po hebrajsku znaczy obrzezany,
Kot z watykańskiéj gałki zleciał, a bez rany...
Pozwalam: wielu takich twego zgromadzenia,
Co mają wielką krzywdę z zakonu zgaszenia...
Ty, powiédz, jaką krzywdę masz z takiéj odmiany?
Nie fryzujesz się dłużéj, nie nosisz sutany,
Intratki znacznie większe, niż wprzódy posiadasz,
Winko stare zapijasz i przysmaki jadasz.
Dąsać się, gniewać, płakać ty nie masz racyi,
Nie przeszkadza-ć odprawiać nikt kontemplacyi;
Możesz stawać o piątéj, koronki odmawiać
I ćwiczenia zakonne z fervorem odprawiać.
Rzym ci tego nie broni, czyń, co twoja wola:
Męcz się jako Alojzy, Kostka i Lojola...
Jeśli pragniesz zakonnym życie skończyć synem,
Zostań dominikanem albo bernardynem...
Lecz, gdyś katolik, szanuj wyroki kościoła
I wolę namiestnika Piotra apostoła.
Wszakże go nieomylnym głosiliście zawsze:
Za cóż zdrożny, gdy zdanie wydał niełaskawsze?...
Cóż wskórasz, choć ten zakon jezuicki wrócą?
Rozumiesz, że się skarby rozdane powrócą?
Nie tento wiek, Łuskino: świat był głupi wtedy,
Kiedyście korzystali z ciemności i biedy"...

Łajano Łuskinę, występował bowiem zaczepnie i sarkazmowi swemu folgował bez granic; ogółu ex-jezuitów nie poruszano, rzadki przynajmniéj go targnął. Przyznać należy, że jeżeli nuncyusz i król z Radą nieustającą ex-jezuitów i ich przyjaciół trzymali na wodzy, to z drugiéj strony wolnomyślna część społeczeństwa, lubo niekrępowana niczém, daleką była od nadużywania swobody słowa ku szkodzie bezbronnych. W okresie czasu pomiędzy r. 1773 a 1790 jedna zaledwie ważniejsza wyszła książeczka—P r z e w o-

(1) Pisma Węgierskiego. Lwów, 1882, str. LXVII.

dnik czyli skryte rządy jezuitów (bez m. 1784, 8, str. 65), wymierzona przeciwko synom Lojoli. Były to w szatę polską przebrane głośne *Monita secreta Societatis Jesu* Zahorowskiego, ścigane w XVII stuleciu przez biskupów, wniesione w r. 1616 na index. Odsłaniały w działalności jezuitów intrygę, podstęp, nadużycie konfesyonału, podkopywanie znaczenia duchowieństwa świeckiego i mnichów, wogóle nieprzebieranie w środkach dla zapewnienia zakonowi potęgi materyalnéj i wpływu.

Chociaż cisza publicystyczna, zalegająca w stosunku przewodniczącéj warstwy narodu do ex-jezuitów, przerywana bywała rzadko, nie idzie zatém, żeby pomiędzy stronami nie zachodziły kolizye. Kasata zdezorganizowała zakon, lecz nie mogła unicestwić systemu jego w działaniu i wpływie jednostek. Przez owe jednostki stanął właśnie system jezuicki w kolizyi z zasadami, przewodniczącemi państwu przy organizacyi szkolnictwa. Kolizya nieunikniona była tém bardziéj, że Komisya edukacyjna, nie mając sił świeckich, zaprosić musiała ex-jezuitów do szkoły. Sprzymierzeńcem ex-jezuitów była oczywiście warstwa społeczna, wychowana pod ich kierunkiem i sympatyzująca z nimi — niełatwa do pogodzenia się z nowym rzeczy porządkiem. Komplikowało to sprawę i niemałą dla państwa stanowiło zawadę.

(*D. c. n.*) *Władysław Smoleński.*





ALMANZOR

TRAGEDYA W PIĘCIU AKTACH

(Z DZIEJÓW HISZPANII).

AKT CZWARTY.

Pole pod Calat-Nassur (1). W mgle oddalenia sinieją góry Biskajskie i lśniące fale Duero. Z lewéj strony, w dalekiéj perspektywie, widać namioty Saraceńskie. Po prawéj wspaniały namiot Almanzora ze złotym półksiężycem u szczytu, bliżéj widoczny w połowie tylko namiot Nuradyna. Oba otwarte—wnętrza wspaniale, żołnierskie łoża w namiotach.—Noc—cisza.—Na ciemnym lazurze nieba migocą gwiazdy, nad górami kometa, koło namiotu króla stoją na straży Ali i Dyl. Lewą stroną wchodzą: Nuradyn i Amina w stroju giermka.

Nuradyn (*wprowadzając Aminę*).

Śpiesz do namiotu, mój giermku niewieści,
Ja cię ukryję przed królewskim wzrokiem—
Lecz hełm zrzuć z czoła! niech mi zaszeleści
Jedwabny włos twój i złota potokiem
Po szyi spłynie; niech wśród fal tych słońca,
Jak piana morska błyśnie pierś twa drżąca.——
Dziś chwila mego tryumfu i chwały
I dzień nagrody mój posągu biały!
Amino—do mnie!.. Na żołnierskie łoże
Tkanin damaszku rzuciłem kobierce,
Na miękkich puchach twoje ciało złożę
I sercem drżącém uderzę ci w serce!

Amina. Poszłam za tobą, bo już mnie pragnienie
Pieszczot i noce bezsenne—zmęczyły...
Krwią podrażnioną wytężone żyły
Na białe lica rzucały płomienie,

---

(1) *Calat* po arabsku znaczy—zamek, *Nasur*=orzeł, co razem ma znaczenie, orli zamek, czyli szczyt orla.

I żądzą drżąca pierś wołała ciebie,
I byłam trwożna o zamiarów skutek...
Trwogi zdwoiła ta gwiazda na niebie
I zrozumiałam, co jest strach i smutek.
Na czoło wzięłam hełm, zmieniłam stroje,
Andaluzyjski rumak mknął jak strzała—
Miłość mię wiodła a tęsknota gnała—

Nuradyn (*porywając ją*).
Więc dziś, Amino?

Amina. Tylko—usta moje!

Nuradyn. Płomienie—palcie!..

(Całuje ją).

Amina. Kocham cię—masz słowo!
Nektaru czara do twych się ust chyli—
Wysączysz słodycz wszystko do dna... w chwili
Gdy u twych ramion zawisnę—królową!

Nuradyn (*szybko*). Almanzor!

(Almanzor pokazuje się w głębi, idąc krokiem powolnym.—Nuradyn uprowadza Aminę do swojego namiotu a sam idzie przeciw królowi. Amina staje na progu namiotu, z zaciśniętemi pięściami, patrząc w stronę zbliżającego się króla).

Amina. Dumny królu! niespełniony
Zamiar znów przygnał cię w mury stolicy—
Myślałam, że mię utulisz ramiony
I czoło oprzesz o pierś niewolnicy
Kochanéj niegdyś i zapomnisz troski,
Z ust moich ciepłych pijąc napój boski.
Bo mi się zdało, że losu zrządzeniem
Pożądań moich upada budowa:
Ty byłeś siłą zawsze—tamten cieniem,
Który przed słońcem marną postać chowa.
Więc wyciągnęłam znowu ręce obie,
Nad cień przenosząc kalifów dyadem.— —
Spojrzałeś na mnie czołem dumném, bladem,
A ja gorące niosłam usta tobie.
Tryumfy, sława, zdobycie pół ziemi
Stały się twoją prześladowczą marą...
Stój—pyszny władco! ściegami skośnemi
Złośliwy pająk snuje swą nić szarą.—
Czy cię nie trwoży ta grobowa cisza
Zastępów licznych, pełna dzikiéj grozy?..
Z proroctwem zguby, w łachmanach derwisza,
Żołnierzy twoich przebiegłam obozy,

Zachwiałam ducha... resztę—on dokona!
(Wchodzi do namiotu, zaciągając płótna).

Nuradyn (*podchodząc do króla*).
Wasza królewska mość nieumęczona,
A czas już spocząć. Nie zaznałeś trzy dni
Snu—to niedobrze! Wkrótce się rozwidni
I po raz wtóry uderzym w pałasze...
Wracasz z obozów—jakie wojska nasze?

Almanzor. Śpią—czaty tylko czuwają na straży
I w ciszy nocnéj dzwonią krótkie hasła...
Na niebladnącéj jednak wojsk mych twarzy
Usiadł niepokój. Czy gwiazda zagasła
Powodzeń moich, że trwogą brzemienne
Nieulęknionych dotąd piersi dyszą?

Nuradyn. Miały źle wypaść wróżby przedwojenne — —
Na tym komety ogonie sny wiszą
Niedobrych przeczuć.

Almanzor. Przesąd i nic więcéj!

Nuradyn. A jednak wojsk twych dwakroć sto tysięcy
W twarz onéj gwiazdy pogląda ze drżeniem.

Almanzor. Zły derwisz trącił w strunę wróżby smutnéj—

Nuradyn. W proroctwo klęski.

Almanzor (*stojąc*). Czy to przeznaczenie
Mojém dziś? Kłamstwo!—Nigdy tak okrutnéj
Nie czułem siły w sobie—wstręt tygrysi
Do krwi mam dzisiaj! To plunięcie giaurów
Jak żar mi pali twarz i ogniem piecze
Czoło i dławi tu... Na jasne miecze!
Nie zabyć tego mi nigdy!.. Grom wisi
Tam—i pioruny nie w obozy Maurów
Padną. Iberya cała w mojéj mocy
Dziś albo nigdy!—O!—miń prędzéj nocy!—
Z pierwszym połyskiem rumianego świtu,
Z grzmotem méj piersi popłynie wojsk burza— —
Tak! gwiazda moja dobiega do szczytu,
Złotych nadziei rozwinięta róża!
(Zwraca się ku namiotom).
Śpijcie żołnierze i krzepcie się ciałem,
Ja was obudzę i podniosę duchem—
Zwyciężać, króla waszego udziałem,
Ciskać pioruny nie dzwonić łańcuchem.

Nuradyn. Rad jestem, królu, żeś pełen nadziei

Jak ja;—że jesteś swych tryumfów pewien
Jak ja! Pomyślność, gdy raz się w kolei
Z drogi nie schodzi: liche drzazgi drewien
Rozpędzonego koła nie wstrzymają,—
Mogą się jeżyć, bo siły nie znają,
Która je łamie. W potężnéj twéj dłoni
Sancho kastylski już zębami dzwoni
Zgromiony wczora. Ja—nie dzielę trwogi,
Która wśród tłumów brzęczy nieco głośno.
Wysłani gońce wnet powrócą z drogi
I wiem, że wieść nam przyniosą radosną
O siłach wrogów. Jak długa, szeroka
Kastylska ziemia u twoich stóp leży — —
Liche rozbitki błądzą u rubieży,
Które dobijesz jednym ruchem oka.
Nowe rycerstwo nie dojdzie do celu—
Późno mu będzie! królik zaś Leonu
Ma za plecyma hrabiego Urgelu,
Który do jego uśmiecha się tronu;
A jak słyszałem, już pan Barcelony
W kraje Asturyi rozpuścił zagony.

Almanzor. Bezecni! szarpią swe ścierwa w kawały,
Wietrząc padlinę jak wstrętne szakale—
Groźnego morza rozlewają fale,
Oni brzeg kopią miasto sypać wały.

Nuradyn. A jaka pycha! Pomnisz te wyrazy,
Jakiemi hrabia przemówił do ciebie?

Almanzor. Milcz! jam niezdolny słuchać ich dwa razy.—

Nuradyn. Jakby był tobą, taki pewny siebie!

(Uderza trąbka).

Almanzor. Wróciły zwiady! (*siada na kamieniu*).

Nuradyn (*d. s.*) I ja wiem, co niosą.—
Niezwyciężony! może twarz ci zbladnie
Choć raz przynajmniéj. Jak podcięty kosą
Kwiat pełen siły upada—szkaradnie
Ty się zachwiejesz!.. Niebo się twe chmurzy—
Spełnienie snów mych zobaczę nakoniec — —
Piorun mam w ręku—czekam tylko burzy,
By cię z powierzchni ziemi zwiało—!

Ali (*podchodząc parę kroków*). Goniec!

(Wchodzi Goniec, Ali wraca na stanowisko).

Nuradyn. Jakie są wieści? mów—a prawdę szczerą!

Goniec. Hrabia Kastylii zebrał rozgromione
Wczora swe pułki i brzegiem Duero
Pośpiesznym marszem podąża w tę stronę.
Wojsko grzmi pieśnią jakby dzień wiktoryi
Przy niem był.
Almanzor. Dzień on wczorajszy?
Goniec. Schwytano
Dwóch giaurów—od nich wiém, że jutro staną
W górach Biskajskich, na równinach Soryi.
Almanzor. Idź!
(Goniec wychodzi).
Nuradyn. Hrabia jeszcze chce z nami się mierzyć —
Szalony pomysł! jednak nie bez wagi — —
To bohaterstwo nie małe—miecz nagi
Przeciw nam znów wieść!
Almanzor. Czerwona w nim płynie
Krew.—Lubię taką! ale ma w wyborze
Śmierć, lub niewolę. Szczęśliwy, kto ginie
Na polu walki, gdy zostać nie może
Zwycięzcą —
(Trąba uderza).
Ali (*j. w.*) Drugi goniec—
(Goniec wchodzi).
Almanzor. Jakie wieści?
Goniec. Złe —
Almanzor (*marszcząc brwi*).
O to pytam?
Goniec. Liczne Basków plemię
Z rycerstwem swojém wiedzie król Nawarry.
Jak zajrzéć okiem, okoliło ziemię
Mrowie żelazne, że ledwo je zmieści
Obszar pustyni. Widziałem sztandary
Hrabi Urgelu—ściśniętym szeregiem,
Niby mur kuty z żelaza i śpiżu,
Z prorokiem swoim rozpiętym na krzyżu,
Szły ławą jedną prawym rzeki brzegiem.
A kędy przeszły tych zastępów roty,
Jedno źdźbło trawy, jeden kwiat cykoryi
Głowy nie podniósł. Rozbili namioty
W górach Biskajskich, na równinach Soryi.
Nuradyn. A!.. teraz wiem już — —
Almanzor. Co?

Nuradyn. Dziś na okopy
Obozów wszedłem. Granitowe wierzchy
Świeciły w słońcu, nagle—ciche zmierzchy
Zaczęły padać na Biskajów stopy.
Rozwarłem oczy: był jeszcze dzień biały,
Tonęły w świetle gór innych podnóża,
Więc pomyślałem: chmura się wynurza
I zaczepiona o szczerbate skały
Stanęła... a to — —
Almanzor. A to—co?
Nuradyn. Nic złego!
Lecz niespodzianka to zawsze nie miła
Dla nas. Szarańcza zgłodniała ruszyła
Na żer z leż swoich.
Almanzor. Jestżeś pewny tego?
Nuradyn. Muszę zasłonę usunąć ci z oczu — —
(Wskazuje ręką w dal).
To nie ogniska kastylskich pasterzy,
Hen—tam, daleko—w szafirów przezroczu
Siadły na górach!.. To długi wąż leży
Strażniczych świateł.
Almanzor (*wstając*). Gdzie?
Nuradyn. Za nurtem rzeki—
Almanzor. Tak!
Nuradyn. Darmo senne przecieram powieki—
Ognie!..
Almanzor (*do gońca*). Idź!
(Goniec wychodzi).
Nuradyn (*n. s.*) Głos ci nie dobrze zadzwonił
Jak przeciągnięta mandoliny struna — —
(Do króla).
Co o tém—myślisz?
Almanzor. Czy chcesz—do pioruna!
Bym tylko zbiegów wojsk kastylskich gonił?..
Zobaczą jutro wśród bojów zamieci
Czy się ulęknę ich pozornéj siły—
Miast jednéj będą mieli dwie mogiły,
Użyźnią piaski swych ziemi..
(Daje się słyszéć trąba).
Ali (*j. w.*) Goniec trzeci!
(Wchodzi Goniec).
Nuradyn (*zbliżając się*).
A—to zuch znany!.. Zbliż się przyjacielu—

Donosisz pewnie, co już wpierw donieśli,
Że król Abarca i hrabia Urgelu
Z letargicznego snu nakoniec wskrześli;
Że nieprzejrzane ruszyło mrowisko
Basków orężnych w żelazne topory;
Że zbrojne pułki, jak z mogił upiory,
Wyrzuca ziemia i są już tu, blisko
Na bój gotowi—czy nie tak?

Goniec. W téj chwili
Z ponocnych wypraw wieść nową przynoszę.

Nuradyn. A! liche resztki zebrał pan Kastylii—
Wiem!

Goniec. Nowi ludzie i siły —

Nuradyn (*niby zdziwiony*). No—proszę!

Almanzor. Mów—byle krótko, bo ta noc bezsenna
Jak błyskawica minie a chwil parę
Snu mi potrzeba. Szybko gwiazda dzienna
Rozpędzi mroki nocne, cienie szare...
Mów—co ze zwiadów niesiesz mi ——

Goniec. Wódz znany
Wojsk Asturyjskich, opiekun młodego
Króla, Gonzales—jak potok wezbrany
Z gór się posuwa podwójném ramieniem.
Pułki Galicyi czoła wojska strzegą
Kędy młodzieńczy król dzwoni strzemieniem
I mieczem błyska. Rozwiane w motyle
Tęcze proporców trzepocą do słońca.—
W poprzek szeregów ubiegłem trzy mile,
Lecz nie dojrzałem początku ni końca.
W pomoc im przybył hrabia Barcelony
I Aragonu pan z zastępy swemi—
Płyną wojsk krocie aż wnętrze drży ziemi
I dzwonią tarcze stalowe jak dzwony.
Tak idą, nakształt ruchomego muru,
Ławicą jedną, pośród trąb łoskotu;—
Tętnią kopyta, jak gdyby do wtóru
Grało im echo wieczystego grzmotu.
Ukarz mię, królu! lecz ten widok grozy
Wiele miał w sobie; że pewni wiktoryi,
Pieśni ich mówią. Rozbili obozy
W górach Biskajskich, na dolinach Soryi!

Almanzor (*podnosi się*).

Cała Hiszpania przeciwko mnie staje—
Jéj króle dążą na swoich wojsk czele...
Olbrzymem jestem! przeważyć mnie, wiele
Ciężaru trzeba—wszystkiéj ziemi kraje
Na szalę rzucić.—Tegom chciał! niech biją
W tryumf przedwczesny, w pancerze pierś kryją—
Ogniste słońce z zejściem swém nie zwlecze:
Zmilkną ich piersi i rozprysną miecze.
Idź!.. dzień jutrzejszy nasz!..

(Goniec wychodzi).

(Almanzor postępuje ku obozom — zatrzymuje się powoli i w dół patrzy. Chwila milczenia — — —).

Tam pieśni dzwonią— —
A taka cisza w wojsk moich namiotach...
Tego nie było nigdy — nigdy — nigdy...!
Czemu nie mogę jedną ująć dłonią
Mieczów sześdziesiąt? w ich ciała się wcielić,
Swego pół serca oddać, krwi udzielić
I na ich duszach zagrać jak na grzmotach
Piorunem burzy—zdrętwiałych ocucić
Z snów nierycerskich i w dym i w krew rzucić!?—
Nic!.. długi pochód ich znużył, Derwisza
Nie dobra wróżba przygniotła—ztąd cisza;
Lecz jutro skoczą w bój jak lwy Sahary,
Jak gnane wichrem fale morza ruszą.
Zwyciężą! choćby nie chcieli, to muszą
Dać mi zwycięstwo. Arabów sztandary
Nie znają drogi w tył.—To Nilu fale
W chwili wylewu: doszły tu—więc daléj
Pójdą!

(Zwraca się).

Nuradyn!

Nuradyn. Co rozkażesz, panie?

Almanzor. Należy nam się sen—to już noc trzecia
Niespana... Jutro—krwawe słońce wstanie,
Jakiego długie nie ujrzą stulecia...
Bój pięćdziesiąty jutro—i ostatni!
Olbrzymi dźwignę gmach—albo się zwali
W proch wszystko!..

(Zwraca się, idąc krokiem powolnym do swojego namiotu? Nuradyn wsparty na rękojeści pałasza, patrzy za odchodzącym królem).

Nuradyn. A-ha! nie zerwiesz już motni

Lwie afrykański!...

(Almanzor zatrzymuje się u swego namiotu i patrzy na rysujące się w mgłach góry).

Almanzor. Jak oczy szakali
Nieprzyjacielskich wojsk błyszczą ogniska...

(Po chwili).

A gdyby coś się haniebnie splątało?..
Ducha nie zniżę—wśród pobojowiska
Znajdziecie tylko Almanzora ciało
Lecz mnie nie będzie!..

(Zwraca się).

Straży!

(Ali i Dyl podchodzą).

Z błyskiem świtu,
Gdy pierwsza gwiazda zblednie wśród błękitu,
Uderzyć mieczem o ten próg!..

(Strażnicy oddawszy ukłon, wracają na miejsca. Almanzor patrzy na niebo).

Znak wojny
Pośrodku nieba tkwi. Noc głucha jeszcze—
Czuję zmęczenie i niewyspań dreszcze...
Żołnierskie łoże—daj mi sen spokojny!

(Rzuca się na łoże i usypia. Nuradyn wsparty zawsze na pałaszu, patrzy na Almanzora i mówi, kiwając głową.)

Nuradyn. Byłbyś czém byłbyś, gdybym ja tu nie stał
Potęgi twojéj dziś filar jedyny.
Ale posągu zachwiał się piedestał
I w kilku miejscach pękł. Wiatr przez szczeliny
Dmucha i kruszy cementu spojenia.

(Porusza się).

Ha! każdy robi jak może: przemienia
Dobre na lepsze! a dla mnie jest lepiéj
Usiąść wygodnie na arabskim tronie.
Schwytany w sieci komar się zatrzepie,
A miałby jaguar spać cicho na stronie
Gdy lew zestarzał?.. Zdradzam! i wiem o tém.—
Żołnierzom twoim odebrałem ducha—
Jeden krzyk trwogi, jeden szept do ucha
A pierzchnąć muszą jak ptastwo przed grzmotem,
I—ty upadniesz!—Znam cię, znam zuchwały
Królu! choć czoło twoje krwią ociecze,
Nad srom ucieczki przeniesiesz zgon chwały,
Otwartą piersią rzucisz się na miecze...
Śmierć bohaterską miéj!.. czy źle ci życzę?

Hańby nie żądam, tylko po zdobycze
Twoje wyciągam dłoń. Gdy wojsk szeregi
Popłoch ogarnie — pędem błyskawicy
Stanę wśród murów strwożonéj stolicy,
I, widząc czoła zbielałe jak śniegi,
Przybite grozą wielkiego upadku,
Z okrzykiem zemsty zacznę nowe boje— —
Ty—musisz zginąć! ja—otrzymam w spadku,
Jako twój mściciel, tron i berło twoje!

(Po chwili).

Snuję misterny haft—czarnemi nićmi—
Co począć? Słońca kiedyś blask się przyćmi
A tybyś świecił wieczyście...

(Bardzo daleko słychać uderzenie trąbki).

Pobudka!

(Słucha).

Nie!... noc dzisiejsza byłaby za krótka—

(Z dwójznacznym uśmiechem).

To czat przemiana!... Sen cięży na oczach
Kamieniem młyńskim— —

(Zbliża się do swego namiotu i rozchyla płótno.—Na łożu widać uśpioną Aminę).

A! namiot nie pusty—
Piękna! przy twoich spocząć mi warkoczach,
Całując pierś twą wpółsennemi usty.

(Klęka koło łóżka, obejmując ramionami śpiącą Aminę, wpatruje się w nią. Uderzenie trąbki staje się coraz mocniejsze, gwałtowniejsze; słychać szum głuchy, w ślad bębny uderzają—coraz silniéj, bliżéj, głośniéj. Trwoga—szczęk mieczów—zmieszane głosy—hałas surm i bębnów.—Almanzor zrywa się z pościeli).

Almanzor. To nie sen!... słyszę surm rozpaczne grzmoty,
Huk bębnów... Alarm!...

(Porywa miecz, który zawiesił nad łóżkiem).

Amina (*zrywając się*). Co to?

Nuradyn (*obojętnie*). Napad nocny— —

Almanzor (*wybiega z namiotu*).
Konia!

(Ali i Dyl wybiegają. Łuna ognia oświeca głąb sceny).

Na piekła! w płomieniach namioty!...

(Wpada Czatownik).

Czatownik. Giaury w obozach!...

(Almanzor stoi chwilę wpatrzony w przestrzeń.—Nuradyn podchodzi do króla).

Nuradyn. Zbladłeś— —

Almanzor (*rzucając się*). Precz!... jam mo-
[cny

Jak Gibraltaru opoka!... pioruny
Z mojego miecza gromami uderzą,
Ziejąc tchem śmierci; głosu mego struny
Zadzwonią mocniéj, niż trąb schrypłe dźwięki —
Umarli wstaną, chwycą miecz do ręki— —

(Wybiega z okrzykiem).

Maury!... król z wami!...

(Czatownik wychodzi).

Nuradyn (*patrząc za królem*). Nie zrobisz nic, hardy
Władco bez jutra! na widetach leżą
Spojone czaty i mają sen twardy— —
Ja—postarałem się o to...

(Do podchodzącéj Aminy).

Ty ze mną—
Rzucim się w tłumy, jak widma złowieszcze
Z okrzykiem: nazad! jeżeliby jeszcze
Karki podnieśli... a potém—w noc ciemną,
Do bram Korduby!...

(Idą szybkim krokiem i wychodzą na wzgórze niewielkie, znajdujące się z lewéj strony. Nagle Nuradyn gwałtownie staje.)

Na ognie Gahenny!

Amina (*zapatrzona w dal*).
Cóżeś tam zajrzał w wichrowéj zamieci?
Ja tylko słyszę jakiś krzyk bezdenny,
Jeden—jedyny!

Nuradyn. Głos króla!

Amina. Błyskawic
Wąż w dymach skrzy się— —

Nuradyn. To jego miecz świeci—
Związał szeregi, podniósł tysiąc prawie—
Hełm się za hełmem z fali krwi wynurza...
Turban swój uniósł i runął jak burza!
Teraz czas na nas!

(Do wracających Alego i Dyla).

Zwinąć precz namioty—
Na bezpieczniejsze unieść stanowisko..,
Obozów naszych wróg postąpił blisko,
A czasze pereł i króla tron złoty
Nie dla nich—nie! nie!...

(Do Aminy).

Co patrzysz jak senna?

Amina (*wskazując dłonią*).
Słońce!

Nuradyn. Niech zgaśnie! naszą sojusznicą
Noc czarna!

Amina. Śpieszmy!

Nuradyn. Zgiń — o, gwiazdo dzienna,
Niebo! burz wszystkich zagrzmij nawałnicą!

(Straż zwija namioty i oddala się. Rozwidnia się zupełnie. Słońce jasne rzuca promienie, oświecając piękny krajobraz gór, lasów dalekich i lśniące nurty Duero. Gwar walki to się oddala, to się zbliża. Po usunięciu namiotu Almanzora ukazuje się wyniosłość skalista. Po chwili na jéj wyżynie stają: Król Alfons ranny i Gonzales, prowadzący go. Schodzą z wyżyny).

Król Alfons. Teraz dopiéro ta krwawiąca rana
Rycerskim pasem słusznie mnie obdarza.
Ale, Gonzalesie—niech cię nie obraża
Ostra wymówka, przez króla ci dana—
Lecz się strwożyłeś jak dzieciak. Dlaczego
Uniosłeś z pola swojego pupila?
A była taka bohaterska chwila
Lecić wciąż naprzód skrzydłami orlemi,
W tłumy się rzucić z chorągwią błękitną— —
Na polu walki znaleść śmierć zaszczytną
I paść jak wierny syn téj pięknéj ziemi.

(Siada na głazie).

Ja ci, Gonzalu, nie zapomnę tego!...

Gonzales. Nie mogłem, królu, inaczéj!... W tabory
Nieprzyjacielskie wlecieliśmy nagle—
Wtém — wstały ogniów czerwone upiory
I z groźnym sykiem uderzyły w żagle
Białe namiotów. Krzyki się rozległy —
Rozpaczną dłonią Maurowie chwycili
Za szable. Zanim posiłki nadbiegły
I pułk żelazny hrabiego Kastylii
Uderzył z boków — zobaczyłem zdala,
Że zakołysał się miecz w twojéj dłoni
I twoje czoło królewskie krew wala.
Hrabia kastylski dokona pogoni,
Pogna zmęczone pułki Almanzora—
Ty ranny!

Król Alfons. Patrzaj! czy ta ręka chora?
Malutka struga czerwieni spłynęła,
Od nieustannych dłoń osłabła ciosów...

(Zrywa się).

Tam trąby grają... Do dzieła! do dzieła!

Gonzales. Wstrzymaj się książę!
Król Alfons. Na siwiznę włosów
Twoich zaklinam!
Gonzales. Ja zaklinam ciebie
Na przyszłość kraju, która w moc ci dana.—
Król Alfons. Mnie oszczędziłeś, nie oszczędzaj siebie—
Po co ty tutaj?
Gonzales. By cię strzedz!

(Wbiega Sancho-Garcia—włos w nieładzie, strój zmięty i okrwawiony—bez hełmu).

Sancho. Przegrana!
Król Alfons i Gonzales.
Co?!...
Sancho. To nie człowiek, lecz czarta wcielenie—
Spłoszone Maurów wiły się tabory,
Wtém on nadleciał... Almanzor!—W płomienie
Namiotów skoczył, któreśmy zażegli...
I była cisza wrzeń głuchych, jak w chmurze
Gradowéj, zanim grom błyśnie i burze
Wichrem zaszumią. Dymy, by z amfory
Ofiarnéj słały się i gryzły w oczy...
Nagle—jak wieża, która się wycegli
Z niskich ścian murów i w niebo uskoczy—
Miecz Almanzora nad mgłami zawisnął,
Stał jak kolumna piorunu—wtém błysnął
I kopyt końskich zabrzmiał łoskot suchy...
Niech mi przebaczą święte ojców duchy,
Ale wojsk naszych zadrżały szeregi:
Zwycięzcy chwil dwie temu—teraz zbiegi...
Król Alfons. A pułki moje?
Sancho. Gryzą proch téj ziemi—
Król Alfons. I mnie... pozostać tu? nie zginąć... z niemi?!...

(Robi parę kroków—wbiega hr. Urgelu.—Alfons wstrzymuje się).

Urgel!...
Gonzales i Sancho. Co słychać?
Hr. Urgelu. Walka z Almanzorem!—
Kto cały umknąć nie zdoła, upiorem
Z grobu wyjść może— —
Król Alfons. A rycerze twoi
Z goliatowemi mieczami i w zbroi
Grubości twierdz mych? gdzie twoi rycerze?
Hr. Urgelu. Miecze ich prysły i pękły pancerze,

Padli—i oni!

(Huk trąb).

Gonzales. Cicho! trąb grzmią gwary

(Słychać okrzyk).

Król Alfons. To krzyk Basków!

(Podbiegają na wzgórze).

Hr. Urgelu (*wdal patrząc*). Ruszył król Nawarry
Z synami gór tych.— —

Gonzales. Mgła ziemię zasłania.— —

Król Alfons. Bój się odnowił—tną nasze topory...

(Nagle).

Patrz! Almanzora koń z mgły się wyłania
Z przebitą piersią. —

(Słychać trzask przykry).

Hr. Urgelu. Strzaskane dzid wióry
Klasły powietrzu!...

Gonzales. Coś się plącze.. miesza...

Sancho. Popłoch!

Król Alfons. Czy widzisz? pułki Nuradyna
Tył dały—za nim poszła tłumów rzesza—
Czy nam tu czekać?... nie pora! nie pora!
Krew mię zabije i czoło srom spali— —

(Zbiega ze wzgórza, za nim Sancho i Gonzales).

Hr. Urgelu (*nagle*).
A!

(Król Alfons, Gonzales, Sancho, zatrzymują się, patrząc na hrabiego).

Słupem stanął rumak Almanzora
I padł!—

(Wbiega Luc).

Luc. Zwycięstwo!

Król Alfons (*dobywa miecza*). Święty Jakób z nami!

(Wybiegają).

(Słychać gwałtowny huk trąb, hałas bitwy dalekiéj, trwający w ciągu całéj następnéj sceny, który przycicha, oddala się, w końcu zapanowuje zupełna cisza. Po chwili, z za skalistéj wyżyny wychodzi szybko Nuradyn, otulony opończą rybacką, za nim idzie Amina—daléj Rybak).

Nuradyn (*do Rybaka*).
Tysiąc denarów!

Rybak. Choćbyś nic nie płacił
Uciekłbym chętnie, aż na koniec świata
Sam—a cóż z wami. Człowiek rozum tracił
Na ten harmider patrząc: rata ta—ta,
Łup, cup, raz poraz... tfu!

Nuradyn. Łódź masz bezpieczną?

Rybak. Oho! nie do was podobne zdechlaki
Woziła: fląder sto na raz i jaki
Sum jeszcze przytém—a drogę znam rzeczną
Jak ty, panienko swoje uszy własne...
(Do siebie).
Hi-hi-hi... ładna! a oczy ma jasne,
By karaś!...
(Schodząc do łódki).
Siądźcie na brzegu, ja w łodzi
Ułożę raki, bo ten owad brzydki
Szczypie i jeszcze panience wygodzi,
Gdy się przyczepi jak pjawka do łydki...
(Śpiewa szybkiém tempem).
Idź rybaku w tan,
Rzuć sieć do otchłani—
Bez ochyby
*Z*łowisz ryby:
Grubą jak ten pan,
Smaczną jak ta pani!...
Hi-hi-hi!...
(Porządkuje w łodzi. Amina siada na brzegu koło stojącego przy niéj Nuradyna).

Nuradyn. Stało się!... Almanzor zginął,— —
Z krwi morza tylko jego koń wypłynął,
Lecz król nie powstał. Jeden okrzyk krótki
Odebrał ducha bojowéj ochocie...
Umknąłem—poszli za mną—padły krocie...
Brr!... tyle krwi się wylało!...

Amina. Czy próżno?
Pocałunkami ja rozpędzę smutki,
Jak niewolnica będę ci usłużną.
Nie ja—korony byś nie miał!

Nuradyn (*ponuro*). Tak—prawda!
Nie ciepłe twoje ciało i czar w głosie,
Ja bym nie zrobił tego...

Rybak (*z łodzi*). Już gotowa!

Amina (*wstając*).
Spieszmy, Nuradyn!
(Nuradyn nieporuszony w dal patrzy).

Rybak (*krzyczy*). Hej! hej! proszę schodzić!
Tylko nie siadaj przy nosie,
Bo tam są raki—gotowe wygodzić
Panience... Hi-hi... ładna! daję słowo,
By płotka—!

Amina (*do Nuradyna*). Co ci?

Nuradyn. Rzeź straszna—padają

Pułki ostatnie Maurów!...

(Słychać tryumfalny huk trąb).

Trąby grają

Zwycięstwo wrogów!

Amina. I nasze!

Nuradyn (*gorączkowo*). Do wiosła!

(Odbijają od brzegu).

Płyń łodzi! niesiesz krwawéj wieści posła!...

(Odpływają).

(Głosy trąb i dalekiéj gwar walki—milkną. Zupełna cisza.—Po chwili z mieczem złamanym, ociekającym krwią, wpada Almanzor).

Almanzor. Hańba! zwycięstwo wydarto mi z dłoni,
Które-m na ostrzu niósł swojego miecza!...
Wróg pierzchał—rzucał o ziemię sztandary,
Czołem proch zmiatał... nagle, krzyk zadzwoni
Krótki, piekielny: nazad!... Nie człowiecza
Pierś w takiéj chwili mogła krzyk ten rzucić...
Szatan w królestwie swojém nie ma miary
Na podłość taką; piersi tak ohydnéj
Żadneby serce nie zniosło—w bezwstydnéj
Pękłoby klatce!...

(Z szałem).

Gdzie jest wojsko moje?
To niepodobna, by jeden krzyk trwogi
Zmiótł je jak marny pył!... Głos mój posłyszy,
Posłyszy krzyk mój ten i wróci z drogi
Sromotnéj!... Maury! do mnie—ja tu stoję,
Król wasz!...

Głos w strasznéj rozpływa się ciszy——

(Podbiega na wzgórze).

Na polach trupy... krew!...

(Unosi turban).

Do mnie, żołnierze!
Sto mieczów tylko chcę a w piersi uderzę
Tysiącow!...

(Ciska turban na ziemię).

Hańba!... Darmo złotą chustą
Turbanu chwieję... Gdzie są?...

(Z przerażeniem).

Pusto—pusto!— —

(Pada piersią na skałę).

A ha—ha—ha—ha!...

(Wbiega Dyl.)

Dyl *(przypadając do Almanzora)*.

Królu!

(Almanzor podnosi się równy jak słup).

Almanzor (*po chwili*). Jest-żem królem?

Jak ty poznałeś mnie z tym strasznym bólem,

Który źrenice moje w łzach wylały?— —

Dyl. Uchodź! twe pułki do szczętu rozbite—

Za chwilę wróg tu wpadnie!

Almanzor. Masz miecz cały,—

Ja — dotąd jeszcze serce nie przeszyte—

(Rozdziera szaty na piersi).

Uderz!

(Wbiega Maur, żołnierz, w piersi mu tkwi część złamanego drzewca).

Maur. Król tutaj!

(Rzuca się do stóp).

Znalazłem, cię panie!

Umykaj—chwila jedna—wróg tu stanie...

Chce ciebie żywcem ująć...

Almanzor. Jeśli zdoła—

Maur *(podnosi się chwiejnie)*.

Śpiesz! śpiesz! mam w piersi grot złamany giaurów...

Królu mój! ciebie szukałem do koła...

Teraz... o! żegnaj...

(Pada trupem).

Almanzor. To ostatni z Maurów

Taką umiera śmiercią. O! dla czego

Mnie ominęła, gdy brała tysiące?—

(Wbiega Ali i kilku żołnierzy).

Ali. Unieśmy pana—wrogowie tu biegą!

Almanzor. W ciemność prowadźcie—nie patrzeć mi w słońce!

(Unoszą króla).

(Po chwili wlatuje Kryspin z okropnym wrzaskiem, za nim uciekający Maur, który przebiega scenę).

Kryspin. Stój, rozbójniku—cóż ci gdybyś zgubił

Chrześcianina duszę?...

(Potyka się o trupa i staje zdziwiony).

Upadł... *(radośnie)*—upadł!

Szelmą zostanę, jeślim go nie ubił

Marsowym krzykiem! Na duchu podupadł

I bęc!...

(Trąca nogą).

Wstań durniu!

(Przypatruje się).

Ktoś trzepnął uczciwie—
Dobrą godzinę musi tutaj leżyć,
Aż zastygł. Teraz mogę nań uderzyć
Z impetem.

(Dobywa miecz).

Szkoda, że nie ma nikogo,
Ktoby zaświadczył, jak ja sprawiedliwie
Maura patroszę... Aha! idą nasi—
Dalej do dzieła.

(Wchodzą: Sancho-Garcia i Król Alfons, który znużony rzuca się na skałę. Kryspin jedną nogę stawia na Maurze).

Trupie! powsinogo!
Jedna krew twoja pragnienia nie zgasi
Lwa zgłodniałego...

Sancho (*d. s.*). Mój Kryspin w zapale,
A jak szczur zmykał.

Kryspin (*przebijając trupa*).

Giń! ja idę dalej
Szukać okazyi.— —

Sancho (*podchodząc*). Co tobie Kryspinie!
Wściekłeś się?

Kryspin. Wściekłem! dwudziesty tak ginie!
Ale z tym miałem robotę. Bez kwestyi
Była to bestya najzjadliwsza z bestyi,
Jakie widziałem. Zeszliśmy się tutaj
Szalonej walki kurzawą okryci—
Trzech położyłem, lecz poszli zabici;
Ten jeden tylko pozostał za świadka
Mej waleczności. Saneczku! nie utaj
Zasług Kryspina, ani przywłaszcz sobie.
To sam Almanzor być musi—ja tobie
Powiadam, że on!... walczył do ostatka
Lecz go dobiło znane moje cięcie,
Wiesz—to, co mierzy tam a wali tędy—
On tak—a ja tak!... on z góry—ja sięgdy
Jak szturchnę i nuż młyńcować zawzięcie,
Aż pisnął i mnie za kark chap!—chciał łupem
Wziąć—ja na odlew i ot—leży trupem!

Sancho. Stosowną weźmiesz nagrodę. —

Król Alfons (*wstając*). Sztandary
Zdobyte niosą!

(Sancho idzie do Alfonsa).

Kryspin. No—mój Saracenie—
Musimy waści przejrzéć szarawary.
Kaftan jedwabny masz i w dobréj cenie
Pasek na brzuchu—o reszcie na stronie
Pogawędzimy.

(Wychodzi, ciągnąc trupa za sobą).

Wchodzą: Sancho-Abarca, Gonzales, Hr. Urgelu, Hr. Barcelony i Luc — za nimi rycerze niosący sztandary Maurów).

Sancho-Abarca. Ogromne zwycięstwo!
Nie prędko ziemia tyle krwi pochłonie—
To morze całe!

Król Alfons. Winno-ż temu męstwo
Nasze, czy zgodą połączone dłonie,
Co moc nam dały, a spoczynek światu?
Dziś krzyż Chrystusów stanął w pełni blasku.

Sancho. Wielu ich padło na polach Calatu?

Luc. Policz na niebie gwiazdy, ziarna piasku,
Dowiész się.—

Sancho. Noc się przybliża—pochodnie
Zapalić!... Trupy ich pochować godnie!

(Żołnierze rzucają na ziemię zdobyte sztandary pod nogi królów).

AKT PIĄTY.

(Pałac Almanzora w Kordubie. Sala przecięta dwoma szeregami kolumn — na ścianach tarcze i miecze. W głębi między kolumnami drzwi strzeżone przez dwa lwy brązowe. Za drzwiami widać długi rząd pokojów. Okno z lewéj strony, bliżéj sceny, otwarte. Noc—cisza—przez okno widać gwiazdy i lekkie cienie minaretów rysujące się na niebie. Blisko otwartego okna śpi Ali oparty na ręce, spoczywającéj na stole o jednéj nodze z trzema łapami. Po chwili, z przeciwnéj strony, wchodzi Dyl z kagankiem, który stawia na trójnogu, znajdującym się pod jedną z kolumn. Zbliża się do śpiącego i nachylając się, patrzy mu w oczy).

Dyl. Śpisz Ali?

Ali (*budzi się, wyciągając*).
A no—zmorzyła mię cisza —
Tarłem powieki, ale coś uparcie
Spać chciały.

Dyl. Jesteś sam dzisiaj na warcie?

Ali. Jednego świerszcza mam za towarzysza—
Gdzieś pod kolumną zaszył się i trzępie

Nieumęczenie swój pacierz. On musi
Być muezinem świerszczów.

Dyl. Czy się krztusi
Jak starowina nasz z Abdehramana
Meczetu?

Ali. To-to, mądrze waszmość prawi,—
Tylko, że świerszcz mój gada znacznie lepiéj,
Zatnie się czasem, tamten wciąż się dławi.
Siadaj!

(Dyl siada -chwila ponurego milczenia).

Dyl. Czy dzisiaj nie widziałeś pana?

Ali. Było by lepiéj nie widziéć

Dyl. Snu nie miał
I dziś?

Ali. Na chwilę powiek nie przymrużył.
Widząc go, Dylu, drgnąłbyś i oniemiał
Tak się okropnie przemienił. Wiatr zburzył
Drzewo cedrowe. Krokiem jednakowym,
Z założonemi na piersi rękami,
Smutny, milczący, straszny i ponury
Jak noc—w zawoju i płaszczu bojowym,
Przemierza szkliste sal cichych marmury.
Widząc go takim, Dylu, płaczę łzami
Wielkości młyńskich kamieni.

Dyl. Doktora
Nie wezwał?

Ali. Nie chce... Ja się nie odważę
Szepnąć mu—znasz go!

Dyl. Mnie męczy myśl-zmora...
On chce się—zabić!

Ali (*zrywając się z siedzenia*). Czyś ty obłąkany?
Dylu!..

Dyl. Ran swoich opatrzéć nie każe—
A takie wielkie ma na piersi rany!..

(Zamyśla się posępnie wsparty łokciem o kolano. Ali chodzi zgnębiony.—
Długie milczenie.—)

Ali (*stając przed Dylem*).
Wiész—kocham życie, bo ono mi płynie
Jak woda jasne. Mam wszystko, co człowiek
Miéć tylko może—źle mówię! co może
Zapragnąć tylko. Dam całus dziewczynie,
Ona mi odda bez zmrużenia powiek
W dwójnasób, tak ją pod sercem załechce,—

Stuletnie baby szaleją, gdy zechcę!
Pług w ziemię wpuszczę a złoto wyorzę,
Na żart wyrzucę kości—grosze moje
O zakład! Miejsce, na którém postoję,
Żytem porośnie albo w ryż obrodzi;—
Plunę—a kwiaty złociste wystrzelą...
Jak opętane, szczęście za mną chodzi,
Po trzykroć krowy rok rocznie się cielą!
A jednak—wierz mi! oddałbym to życie
Za jego życie!.. (*ociera łzy*).

Dyl. I ja z darów ręki
Mam coś, lecz skarb mój największy, jedyny—
To żona śliczna i synek maleńki,
Taki błazenek! pieszczoszek rodziny
Całéj... Oczęta wykąpał w błękicie,
W koralach ustka. Jednak—jak tu stoję,
Na Mahometa przysięgam! to moje
Wszystko za jego ja oddałbym życie!..
Bo patrz!

(Podchodzi do okna).

To wielkie miasto stuwieżowe
Bez niego w cmentarz zamieni się głuchy.—
Spojrzyj na place stolicy, na owe
Ulic zakręty—błądzą ciche duchy
I łkają... Masz-li ty oczy sokoła
A ujrzysz tutaj obrócone twarze...
Patrzą, czy w oknach cień się nie pokaże
Króla—czy jego głos ich nie zawoła?..
Płaczcie! wyroków losu nic nie wstrzyma:
Walą się dęby, gdy grom pierś im zatnie.—
Płaczcie! upadek takiego olbrzyma
To chwały Maurów westchnienie ostatnie!

Ali. Tak, Dylu! wszystko jakiś koniec wróży
Okropny! Niebo w krwawych mgłach się krwawi,
Nadziemne jęki trwożą nocnych stróży,
Przywykłych zdawna do nocy i ciszy...
Dzisiaj z nich każdy drży—słucha i słyszy
Głosy powietrzne.

Dyl. Łańcuchem żurawi
Nieszczęścia płyną.

Ali. Tego nie bywało
Dotąd na świecie. Nocą ptak się budzi

Z krzykiem w swém gniazdku, jak gdyby powiało
Krogulcze nad nim skrzydło; i u ludzi
Sny nawet inne.

Dyl. Nie dziwo! strwożona
Natura mówi głosami różnemi—
Każde stworzenie, czerw' każdy z jéj łona
Wyszedł—a tutaj, wybrany syn ziemi,
Olbrzym—zachwiał się.

Ali. Czy słyszałeś, Dylu,
Wieść, co dziś wbiegła na ulice miasta?

Dyl. Krąży już bajek tysiąc—wylew Nilu
Nie wiem czy takich rozmiarów dorasta,
Jak kłamstwa gminu.

Ali. To nie zwykła gadka,
Którą wytwarza tłum—mam ją od świadka
Godnego wiary: fakir mówił o tém.

Dyl. To co innego—mów! (*siada*).

Ali. Szedł on z powrotem
Z krwawego miejsca—wracał z pól Calatu.
Muzułmańskiemu śpieszył donieść światu
O klęsce strasznéj. Szedł pieszo, na ośle
Siadając czasem.... Było to wieczorem—
Gwadalkwiwiru pokryły powierzchnie
Mgły, jak to bywa zwyczajnie, gdy pierzchnie
Dzień biały. Nagle zabrzmiał krzyk doniośle—
Spojrzał: po falach biegła łódź z upiorem
Szybko—ten upiór był w stroju rybaka.
Fakir różańca sznur pochwycił, taka
Zdjęła go trwoga na moc tego krzyku,
Który mu w uszach miłym dźwiękiem nie grał,
Lecz przypominał świeżo sceny krwawe...
Upiór w hiszpańskim to naszym języku
Krzyczał: „Almanzor bój ogromny przegrał—
„Pod Calat-Nassur król utracił sławę!" (14)

Dyl (*wstając*). To Demon króla, zły duch króla—zdrajca!
Czy nie wiész o tém, w co wierzy lud święcie:
Że on był sługą pana, przedsięwzięcie
Każde wypełniał ten, tajemny rajca,
Ten Geniusz jego! Teraz się usunął
Od posług w chwili tak ważnéj—i runął
Pan nasz!

Ali. Aaa!

Dyl. Cicho!.. trzykrotne stuknięcie
Słyszę. — —
Ali. To sędziów król wezwał na radę,
Czy rozkaz jakiś ma im wydać tajny.—
Dyl. W nocy?
Ali. Nie mogłem tobie do téj chwili
Powiedzieć o tém, mając myśl stroskaną
A w sercu żądło żmij, że nadzwyczajny
Goniec wieczorem przyleciał z Sewilli
Z wieścią do króla, lecz mi jest nieznaną
Treść jeszcze onéj.

(Wchodzi PIĘCIU SĘDZIÓW bocznemi drzwiami, powoli zbliżając się do obecnych).

Dyl. Idą—i tych blade
Twarze jak nasze. —
Pierwszy Sędzia. Witamy was!..

(Oddają ukłony).

Drugi Sędzia. Ali—
Ty dzisiaj jesteś na straży?
Ali. Ja panie!
Drugi Sędzia. Dla czego żadna lampa się nie pali?
Ledwie widzimy własny cień na ścianie.
Gdyby nie tego kaganka blask lichy,
Po téj komnacie można krążyć kołem,
O zimne ściany uderzać się czołem
Lub piersią trącać marmurów kolumny.
Ali. Taki był rozkaz.—
Sędzia. A!
Dyl. Słyszę chód cichy. —
Szept. Król!..

(Za środkowemi drzwiami, w dalekich pokojach, pokazuje się Almanzor).

Ali (*do Dyla*). Czy nie przysiągłbyś, że trup wstał z trumny?

(Almanzor wchodzi posępny i blady, z zapadłemi w głąb twarzy oczyma, w białym płaszczu i zawoju arabskim na głowie—ręce trzyma założone na krzyż. Krokiem bardzo powolnym przechodzi między rzędami kolumn, zbliżając się do zgromadzonych, którzy go witają głębokim ukłonem. Ali i Dyl zostają po lewéj, Sędziowie po prawéj stronie. Almanzor przez cały czas mówi głosem powolnym i urywanym—).

Almanzor. Jesteście — —
Dwóch Sędziów. Królu!..
Almanzor. O niezwykłéj chwili
Wzywam was... Czarna odkryła się zdrada...
Wypełnił miejsca puste list z Sewilli.
U bram Korduby zbrodniarz dziś schwytany

Czeka wyroku. Wezwałem was rajce,
By moję wolę objawić... Wydany
Sąd. Czy słyszycie?.. straszny sąd na zdrajcę!
(Podaje 1-mu Sędziemu zwój pergaminowy).
Oto list gończy!—

(Sędzia bierze list z rąk króla. Almanzor krokiem powolnym idzie na lewo i siada koło stołu. Ali i Dyl stają za nim).

Sędzia (*zwracając się do swoich*). Król miejsce zasiada — —
(Sędziowie zajmują ławy z prawéj strony).

Almanzor. Czytaj—masz światło!
(Sędzia staje koło kaganka i rozwija pergamin).

Sędzia (*czyta*). „Z twéj przemożnéj dłoni
„Wali Sewilski, Mahmud-Bej z nazwiska—
„Niosę ci królu wieść, co grozą dzwoni
„I królobójczym mieczem błyska.
„Sewilskie skarby zajął w posiadanie
„Yezyd—i złoto odjęło mu zmysły,
„Lecz rozwiązało język—obłąkanie.
„Ponure cienie nocy się rozprysły
„I wyszła prawda krwawa.—Czarna, długa
„Nić zbrodni plotła się u twego tronu:
„On był zabójcą Merwana, lecz druga
„Dłoń kierowała nim i chwilę zgonu
„Wskazała. Zbrodniarz ten drugi szkarłatu
„Królów chciał, myśląc, że do tronu przetrze
„Drogę, zbiegając z krwawych pól Calatu;
„Że berło chwyci, zaćmiwszy twą sławę.
„Imię wymieniam jego —

Almanzor. Wchłoń powietrze
Hiszpanii całéj, bo to imię krwawe
Zadławi pierś ci; z mórz północnych naléj
Wody—mdléć będziesz!

Sędzia (*czyta*). „Nuradyn!"
(Opuszcza pergamin—poruszenia wszystkich).

Almanzor. Idź daléj
Oczyma po tym białym pergaminie.
(Jeden z rajców podnosi zwój—Sędzia bierze).

Sędzia (*czyta*). „Plącze się tutaj i imię kobiety.
„Kochance twojéj niewiernéj, Aminie,
„Dział tronu przyrzekł. W pierś twą dwa sztylety
„Uderzyć miały.
(Milczenie.—Sędzia opuszcza rękę z pergaminem).

Almanzor (*wstaje*). Teraz—sądł.. Naznaczam
Kary za zbrodnie i za przestępstw tyle — —
Sędzia. Jéj?
Almanzor. Zawdzięczałem nieraz szczęścia chwile...
I przez tę pamięć szczęścia... jéj—przebaczam!
Sędzia. Tamtemu, panie?
Almanzor (*ponuro*). Pal. — —
(Głuche milczenie).
Odejść możecie. — — —

(Sędziowie odchodzą.—Almanzor stoi nieruchomy z założonemi na krzyż rękami. Słychać głuche, trzykrotne uderzenie z zewnątrz. Jeden z Sędziów, zatrzymuje się po środku sali).

Sędzia. Ali!
(Ali podchodzi).
Stuknięcie o próg słyszę trzecie—
Takiém wołaniem budzą czujne straże.

(Ali podchodzi do drzwi, w których staje Poseł. Ali zagradza mu drogę halabardą).

Ali. Ktoś ty?
Poseł. Wysłaniec z Fezu—
Sędzia. Z czém tu śpieszysz?
Poseł. Gdzie król? wesołą twarz jemu pokażę—
Fez wzięty!
Ali. Za mną!—tą wieścią ucieszysz
Pana. —
(Podchodzą—Ali zbliża się do króla).
Mój królu!
Almanzor. Kto tam?
Ali. Goniec chwały.—
Poseł. Niosę radośną wieść tobie i światu. —
Almanzor. Czy moje pułki z grobów swych powstały
I przyszły do mnie z pól krwawych Calatu?
Poseł (*przyciszonym głosem*).
Nie. —
Almanzor. Odejść możesz —
Poseł. Fez wzięty,—rozbity
Wróg poddał miasta i twój syn zwycięski!
Almanzor. Kiedy to było?
Poseł. Siedm razy błękity
Przemierzył księżyc.—
Almanzor. Był to—dzień... klęski,
Dzień hańby Maurów przezemnie przeżyty!
Idź!..
(Do Dyla i Alego).

I ty— i ty. — —

Ali. Pozwól mi w téj sali
Spocząć u progu twego. — —

Almanzor. Masz na twarzy
Niewyspań ślady... Idź Ali—idź Ali...
Należy ci sen... i mnie się marzy
Sen jakiś. — —

(Wszyscy wychodzą, prócz stojącego nieruchomie Almanzora).

Almanzor (*po chwili*). Gdyby sen wieczny spokoju,
Którego ciszę zna tylko umarły!...
Siedm dni nie tknąłem jadła ni napoju—
Wszystkie się rany na piersi otwarły
I jeszcze żyję!.. Ale—już nie długo—
Odejdzie dusza w świat nowy lub—nicość!...
Ta właśnie śmierci posępna dwulicość
Straszy człowieka... Lecz ja uprzejmemi
Ramiony śmierć tę powitam. Na ziemi
Niema mi miejsca!

(Idzie ku otwartemu oknu. Księżyc jasną smugą wpada do sali, ścieląc się za Almanzorem na ziemi srebną plamą, łamiąc cienie kolumn. Almanzor ze smutnym uśmiechem).

Księżyc! jasną strugą
Po kryształowych zbiegł eteru schodach,—
W ramiona palm... w objęcia róż się wciska.
Zbudził się słowik w zamkowych ogrodach,
Sadzonych ręką moją—i pieśń tryska
Dźwięków arfianych.—Błysnął srebrną smugą...
Po mgieł perlistych rozlał się opalach—
Oświecił miasto... i spłynął po falach
Gwadalkwiwiru... Tam—stały namioty
Żołnierzy moich!.. każdego bym z rysów
Poznał.—Jak cicho!.. Słyszę płacz cyprysów—
Abdehramana świeci granat złoty, (15)
Gwiazda Korduby!..
Płyńcie srebrne zdroje
Bladego światła! ten sklep lazurowy
Czeka mnie.—Żegnaj... grodzie stuwieżowy—
Ostatni raz ztąd żegnaj... miasto moje!

(Odchodzi od okna—ręce złożone).

Czas już... czas spocząć!..

(Krokiem bardzo powolnym oddala się, zmierzając do środka sali. Mija kolumny i wchodzi na plamę księżyca. Nagle za pierś się chwyta i wali się wznak z rozkrzyżowanemi rękami. Posępna i długa cisza. W świetle miesiąca tylko, rozciągnięty na białym płaszczu leży trup Almanzora. Kurtyna opada bardzo powoli,—)

OBJAŚNIENIA.

14) W czasie pamiętnéj pod Calat-Nasur, bitwy, Demon opuścił Almanzora. Przytoczone podanie jest ściśle historyczne; w dramacie uzupełniłem je, podsuwając pod fantazyjnego Demona żywą Nuradyna postać. W ten sposób nie usunąłem legendy, wyjaśniłem ją tylko, zbliżając się ku prawdzie. Prócz Nuradyna, wszystkie główniejsze postaci i zdarzenia w tragedyi są historyczne. Miłość doni Awy dla Maura i otrucie syna są prawdziwe. Kochankiem tym był tylko prawdopodobnie nie Almanzor i scena otrucia nieco jest inną w podaniu. Hrabina wiedząc, że syn jéj Sancho będzie przeszkodą w poślubieniu Maura, powzięła myśl potworną zgładzenia syna trucizną w czasie uczty. Uprzedzony o tém Sancho zmusił matkę do wypicia śmiertelnego napoju. Ostrzegł go nadworny łowczy (monteros), za co otrzymał dziedzicznie miasto Espinosa i nazwisko: Monteros de Espinosa. W dziejach Hiszpanii wsławiła się późniéj rodzina Espinosów. Do dziś dnia zaś jest miasto pod nazwaniem: Espinosa de Monteros. W scenie uczty dopuściłem się dozwolonéj pisarzom licencyi—postać matki-trucicielki za ohydną mi była—dramat na téj zmianie stracić nie mógł.

15) Kalif Abdehraman zbudował w Kordubie wspaniały meczet (dzisiaj katedra). Tysiąc dziewięćset trzy kolumny podparło sklepienia. Kopuła zakończona była olbrzymią szczerozłotą gałką wyrobioną w kształt granata.

Kazimierz Gliński.



FRENOLOGIA NOWOCZESNA.

„Ungeachtet der grossen auf das Studium der Funktionen des Grosshirns venwendeten Arbeitskraft, sind unsere Kenntnisse von denselben noch höchst rudimentär. Das gilt auch von dem Thema, das ich heut aus dem Gesamtgebiet — ich möchte sagen — herausgerissen habe, und gleichwohl bin ich mir der Unvollkommenheit, welche meine Schilderung dieses Rudimentes an sich trägt, vollbewust“. *Hitzig*

Do frenologii już oddawna zastosowano szydercze słowa, które wyrzekł Hegel o logice formalnéj, mianowicie: że jest ona *„ein längst überwundener Standpunkt“*. Z jednéj bowiem strony — doświadczenia fizyologiczne dowiodły, że nie masz najmniejszéj podstawy na umiejscowienie rozmaitych władz duszy w takiéj a takiéj okolicy układu nerwowego; z drugiéj zaś strony—frenologiczne teorye Galla (1), a zwłaszcza jego epigonów (jak się to zwykle dzieje), nie wytrzymują nawet powierzchownéj krytyki psychologicznéj: są one z gruntu chybione, fałszywe. Wychodząc z założenia, podówczas niepodzielnie panującego i obecnie jeszcze niezupełnie wypartego, że dusza składa się z kilku — wprawdzie na się wzajemnie oddziaływających, — ale bądźcobądź zasadniczo różnych „władz“, „zmysłów wewnętrznych“, jako-to: zmysł miejsca, mowy, barwy, rozrodczy, samozachowawczy i t. d., — Gall szukał i sądził, że znalazł w mózgu takie okolice, które ściśle owym „zmysłom wewnętrznym“ odpowiadają, będąc ich podścieliskiem anatomicznėm. Powołani i niepowołani jego uczniowie, o tyle tylko posunęli naprzód naukę mistrza, że duszę naszę na jeszcze drobniejsze rozkawałkowali „zmysły“, wskazując im odpowiednie siedliska w mózgu. Ale oto zjawia się taki Flourens i Longet, którzy systematycznie wycinają po kawałeczku mózgu zwierzętom i dochodzą do

(1) Wundt. Physiologische Psychologie, 1880, Bd. 1, 226—227.

wręcz przeciwnych rezultatów: nietylko wskazane przez frenologów okolice mózgu nie pełnią wyznaczonych im funkcyi, ale wogóle o żadném umiejscowieniu „władz“ duchowych mowy być nie może. Gdybyż to były jedyne zarzuty, jakie wogóle teoryi Galla stawiać można! Nie tu tkwi błąd główny, sławnéj niegdyś, a obecnie osławionéj teoryi. Nie o to bowiem się rozchodzi rzecz, czy t. zw. „zmysły wewnętrzne“, „władze“ duszy są w mózgu umiejscowione, czy też nie? I odpowiadając na to pytanie przecząco, przeciwnicy Galla wprawdzie obalili jego naukę, ale nie rozstrzygnęli kwestyi „umiejscowienia czynności w mózgu lub układzie nerwowym“. Obecnie uchodzi za pewnik, że tak zw. zmysłów wewnętrznych zgoła nie ma. Nasz system nerwowy składa się z komórek, z których każda pełni jakąś elementarną funkcyą i tylko drogą kojarzenia, koordynacyi funkcyi elementarnych powstają złożone stany psychiczne. Owa jednak koordynacya stanów prostych przedstawia mechanizm zadziwiająco zawiły i szybko działający; prócz tego, kojarzenie naszych wyobrażeń elementarnych odbywa się bez naszéj świadomości, do któréj dochodzą dopiéro rezultaty całéj pracy mózgowéj; obserwacya wewnętrzna, jako akt świadomy, odkrywa nam właśnie końcowe stadya pracy psychofizyologicznéj, podczas gdy ta powstaje zawsze w ukryciu. Owóż, gdy się te wszystkie okoliczności bierze pod uwagę, nie dziw, że złożone stany ducha wydają nam się zupełnie prostymi. „Władze duszy“ są właśnie wytworem bardzo niedokładnéj obserwacyi, z pominięciem wyżéj rzeczonych okoliczności. Brano rzeczy jak są; polegano najzupełniéj na świadectwie świadomości, nie przypuszczając nawet istnienia czegoś, co nie wchodzi w jéj zakres. Jedno, co pozostało, to klasyfikować rozmaite czynności, ochrzcić je i przynależne okolice mózgu wyznaczyć, — co też uczynił Gall. Zaprawdę, nie trudno było obalić naukę, na tak kruchych opartą podstawach, była to nauka o rzeczach zgoła nie istniejących.

Popełnilibyśmy jednak niesprawiedliwość, widząc w frenologii tylko jeden wielki błąd. Odrzućmy wszelkie naleciałości bezpodstawne, a przedstawi nam się idea iście wielka, lubo dla nas obecnie dość prosta: mówię tu o ścisłym związku czynności psychicznych z podścieliskiem anatomiczném. Gall jeden z pierwszych zrozumiał tę myśl, ale mając fałszywe pojęcie o istocie procesów duchowych, nie mógł stworzyć prawdziwéj, z rzeczywistością zgodnéj teoryi rzeczonego związku. Do téj myśli zasadniczéj dodajmy starą prawdę psychologiczną, że źródłem poznania wszelkiego są wrażenia zmysłowe; że wrażenia te dochodzą do świadomości dzięki nerwom przeprowadzającym bodźce świata zewnętrznego z ob-

wodu ciała do ośrodków nerwowych; że ta ostatnia czynność podlega t. zw. „prawu przewodnictwa odosobnionego“, tj. że podrażnienie pewnego włókna nerwowego nie udziela się włóknom sąsiednim, lecz bieży po niém aż do ośrodka: cóż z tego wynika? Że koniec ośrodkowy włókna jest siedliskiem, w którém odbywa się proces percepcyi zmysłowéj. Rozróżniamy 6 gatunków wrażeń zmysłowych czyli elementarnych stanów psychicznych: wzrokowe, słuchowe, smakowe, węchowe, dotykowe i mięśniowe. Dla każdéj kategoryi wrażeń istnieje osobny organ obwodowy, osobne zakończenie odpowiednich włókien nerwowych, na które oddziaływają bodźce. Gdybyśmy mogli śledzić bieg włókien, należących do rozmaitych zmysłów, od ich początku na obwodzie, aż do ostatecznéj ich stacyi, tém samém określilibyśmy miejsce percepcyi rozmaitych kategoryi wrażeń. Jeżeli w jakiém, to jedynie w tém właśnie znaczeniu może być mowa o umiejscowieniu funkcyi. Wszelako wrażenia i powstające z nich wyobrażenia nie wyczerpują całéj sumy zjawisk duchowych. Istnieje prócz tego w systemie nerwowym zdolność wywoływania ruchu, który znowu bywa dwojaki: mimowolny—odruchowy i dowolny—świadomy; wrażenia, wyobrażenia, odruchy i pierwotne ruchy dowolne są składnikami, z których urabiają się coraz wyższe kategorye zjawisk duchowych: wola, inteligencya. Należy zatém przypuszczać istnienie odpowiednich mechanizmów anatomicznych. Słowem, anatomia i fizyologia, albo lepiéj: morfologia i psychofizyologia idą tu ręka w rękę. Pierwsza ma wykazać, czy rozmaite włókna systemu nerwowego mają kierunek i zakończenie odosobnione, czy téż tak są ze sobą pomieszane, że nie masz możności rozróżniania ich początku, kierunku i końca. Zadaniem drugiéj—badać czynności ośrodkowych zakończeń włókien nerwowych i w ten sposób określić ich funkcye zasadnicze. Po takiém rozgraniczeniu układu nerwowego, będzie można wyjaśnić mechanizm powstawania coraz zawilszych zjawisk psychicznych. Oto w krótkich słowach zasadnicza myśl głośnéj w teraźniejszych czasach teoryi umiejscowienia. Napozór coś zupełnie różnego od frenologii, w istocie to samo; cała różnica w tém, co umiejscawiamy: władze duchowe, z których każda jest podług Galla uosobioną inteligencyą, czy téż najprostsze procesy psychiczne?

Zobaczmyż teraz, jak się przedstawia antifrenologiczna teorya Flourens'a, Longeta i innych w świetle powyższéj analizy? Utrzymuje ona, że półkule mózgowe są identyczne pod względem czynnościowym w całéj swéj rozciągłości, że np. po wycięciu większéj części półkul, reszta mózgu pełni te same czynności, co przedtém

cały mózg, zwierzę nie utraciło ani jednéj funkcyi, nie przestało widziéć, słyszéć itd. Oczywiście, przyjmuje się tu milcząco, że ośrodkowe zakończenia nerwów są po całym mózgu porozrzucane, tak, iż najmniejsza jego część mieści w sobie wszystkie warunki anatomiczne wrażeń zmysłowych, lub innych procesów duchowych, w każdéj części mózgu ześrodkowane są wszelkie ośrodkowe warunki tak prostych, jakotéż złożonych zjawisk naszego ducha. O ile zdrową jest ta teorya w swéj części krytycznéj, jako obalenie doświadczalne umiejscowienia najzawilszych form duchowych, o tyle jéj strona pozytywna nie wytrzymuje krytyki wobec najnowszych badań, które znajdują się do niéj w krańcowém przeciwieństwie.

I.

Zazwyczaj dzieli się układ nerwowy na dwie części: ośrodkową i obwodową czyli nerwy. Część ośrodkowa, ze względu na zajmowane miejsce, rospada się na: r d z e ń k r ę g o w y i m ó z g o w i e. Pierwszy mieści się w kanale stosu kregowego, drugie—w jamie czaszkowéj. Górna część rdzenia, ta mianowicie, co przechodząc z kanału kręgoweo do czaszki, przedłuża się w mózgowie, nosi nazwę r d z e n i a p r z e d ł u ż o n e g o. W mózgowiu odróżniamy p o d s t a w ę i pokrywający ją p ł a s z c z czyli p ó ł k u l e m ó z g o w e. Wszystkie wymienione działy układu nerwowego utworzone są z komórek i wychodzących z nich włókien: pierwsze tworzą t. zw. s z a r e m a s y, drugie — b i a ł e. By módz oryentować się w tym prawdziwym labiryncie, musimy obrać jakiś punkt wyjścia. Za taki przyjmujemy wraz z Meynertem (1) półkule mózgowe, a raczéj ich zewnętrzną szarą powierzchnię, mającą 2—3 mm. grubości i składającą się z komórek, słowem to, co nazywają k o r ą półkul. Ztąd wychodzą niezliczone włókna podłużne, zakończone na obwodzie ciała: w mięśniach i skórze, lub też w organach zmysłowych: oku, uchu itd. „Taka organizacya umożliwia zetknięcie się półkul ze światem zewnętrznym, którego obraz, będący sumą obrazów wszelkich wrażeń zmysłowych, niejako rzutuje się na korze, i dla tego cały ten układ włóknisty słusznie może być nazwany r z u t u j ą c y m (p r o j e k c y j n y m), przyczém kora odgrywa rolę powierzchni rzutów, świat zewnętrzny —przedmiotu zrzutowanego, do którego zaliczać należy również

---

(1) Stricker's Handbuch d. Lehre von d. Geweben. Bd. II 694 — 809 (Vom Gehirne d. Säugethiere, von T. Meynert).

i ciało nasze, jako źródło szczególnego rodzaju wrażeń — ruchowych (innerwacyjnych). Wyszedłszy z kory, układ projekcyjny kieruje się do podstawy, gdzie napotyka kilka skupień szarych mas, zwanych zwojami mózgowymi: z przodu — ciało prążkowane i jądro soczewicowate (zwoje parzyste), z tyłu — wzgórek wzrokowy (z. parzysty) i ciało czworacze (z. niep.). Po części przerwany w zwojach, po części mijając je, układ projekcyjny idzie daléj na dół (z wyjątkiem włókien węchowych i wzrokowych, które w tém miejscu przybierają kierunek poziomy), tworząc z każdéj strony mózgu po odnodze. Odnogi mózgowe wstępują do rdzenia, gdzie część włókien się krzyżuje (tj. włókna z prawéj półkuli idą do lewéj połowy rdzenia, a więc i ciała, i naodwrót), część zstępuje na dół po téj saméj stronie. Ponieważ rdzeń składa się wewnątrz z szaréj substancyi, do niéj więc wstępują włókna odnóg, by znów ztąd wystąpić pod nazwą nerwów obwodowych. (Rozumie się, że nerwy na rozmaitych wysokościach wychodzą z rdzenia, zależnie od organu obwodowego). Mamy zatém 3 kategorye szarych mas: korę, zwoje, szarą substancyą rdzenia czyli cewkową (*d. röhrenförmige Grau*), do których dodać jeszcze należy czwartą — szarą masę móżdżku, mającą wielokrotne z mózgiem połączenia; mamy też 3 kategorye układów projekcyjnych: I-go rzędu — między korą a zwojami, II-go — od zwojów do szaréj masy cewkowéj, tj. odnogi; oraz III-go — nerwy. Faktem jest, że układ projekcyjny I-go rzędu posiada większą ilość włókien, niż II-go rzędu, ale najwięcéj ma układ III-go rzędu. Daje nam to możność wyprowadzenia kilku wniosków. Jeżeli ilość włókien, wychodzących z rdzenia jest większa od téj, która doń wstępuje, znaczy to innemi słowy, że część ich należy do niego wyłącznie, część zaś tylko przezeń przechodzi. A ztąd wynika, że rdzeń jest poczęści ośrodkiem samodzielnym, po części — przewodnikiem. To samo można powiedzićć o zwojach podstawowych. Z drugiéj strony, kora wykonywa swe czynności za pośrednictwem rdzenia i zwojów. Wiemy jednak, że część układu projekcyjnego nie wstępuje do zwojów, lecz mijając je, wprost z kory przechodzi do odnóg; wynika ztąd oczywiście, że istnieje jeszcze bezpośrednie połączenie kory z ciałém, od zwojów niezależne.

Za najprostsze zjawisko psychiczne i zarazem najogólniejszy, wszelkiéj substancyi nerwowéj właściwy atrybut uważać należy wrażliwość na bodźce zewnętrzne. Skutkami podrażnienia są: ruch i wrażenie zmysłowe czyli to co nazywają percepcyą.

Wprawdzie substancyi nerwowéj przypisuje się dwie zasadnicze własności: wrażliwość i zdolność wywoływania ruchu. Rozumié się, że nigdy i nigdzie nie spotykamy ruchu samorodnego, będącego samoistnie przyczyną i skutkiem. Nawet tak zwane ruchy automatyczne, jakoto: oddychanie, krążenie itd., zawdzięczające swe powstawanie procesom, zachodzącym w samych ośrodkach nerwowych (rdzeniu kręgowym i przedłużonym) bez wszelkiego udziału bodźców zewnętrznych, tylko pozornie są samorodne: na dnie ich leżą zawsze wpływy, jakie wywierają na układ nerwowy pewne stany i zmiany zachodzące we krwi; pamiętać bowiem należy, że zewnętrznėm dla naszego ducha jest nietylko to, co się nazewnątrz naszego ciała znajduje, ale nadto i samo ciało, z wyjątkiem układu nerwowego. Bądźcobądź, nie ma w świecie organicznym takiego ruchu, coby nie stał w jakimkolwiek związku przyczynowym z podrażnieniem: czy to będzie związek bezpośredni czy téż nawet najbardziéj oddalony: podrażnienie jest niejako zaczątkiem, ***primum movens*** wszelkich zjawisk psychicznych i samo żadną miarą—w granicach naszego poznania — rozłożyć się nie daje. Jak się rzekło, gdy raz miało miejsce podrażnienie, pociąga ono za sobą bądź ruch, bądź wrażenie, bądź téż jedno i drugie. Byłoby rzeczą nietylko nader ciekawą, ale nadto największym tryumfem nauki, gdybyśmy mogli określić warunki, które właśnie sprawiają, że podrażnienie jużto w ruch przechodzi, jużto staje się percepcyą. Zachodzi tu bowiem różnica fundamentalna, gdyż w mowie będący ruch— bezpośredni wynik podrażnienia — odbywa się bez wszelkiego udziału świadomości i nawet — jeżeli bodziec dochodzi do pewnéj wielkości — musi bezwarunkowo nastąpić, niby reakcya fatalna, stąd go odruchem nazywają, podczas gdy innym razem, żadnego nie wywołując ruchu, podrażnienie przeistacza się w percepcyą, akt poznania. Odetnijmy zwierzęciu (np. żabie) głowę, a więc mózgowie, — i podrażnijmy skórę lub nerw odpreparowany: nastąpi odruch, którego nie masz sposobu wstrzymać. Odetnijmy już nie całą głowę, lecz tylko tak zw. półkule mózgowe: podrażnienie pociąga za sobą odruch. Wszelako nie ma tu najmniejszego śladu świadoméj percepcyi zmysłowéj, ani ruchu świadomego, jakkolwiek odruchy te mogą być tak skombinowane i przytém taką nacechowane celowością, że łatwo je wziąć można za ruchy świadome. Ale otóż inne doświadczenie: nic nie wycinam zwierzęciu, tylko podrażniam skórę i jednocześnie za pomocą elektryczności pobudzam korę półkul: odruch nie następuje, został zatamowany. Wniosek sam się tu narzuca: odruchy i percepcya zmysłowa mają za siedlisko odrębne części układu nerwowe-

go,—odrębne ośrodki i drogi, — między któremi istnieje jakiś oczywisty antagonizm, pomijając wszelkie inne różnice. Otóż najogólniejszy wyraz zasady frenologicznéj a zarazem jéj dowód doświadczalny. Sprobujmy dojść do tego samego wyniku drogą morfologiczną. Odnogi mieszczą w sobie wszystkie włókna, wychodzące z mózgu, z wyjątkiem wzrokowych i węchowych, czyli mieszczą w sobie cały organizm, tylko że pozbawiony wzroku i węchu. Meynert (1) rozróżnia w odnogach dwie części: g ó r n ą — c z e p i e c i d o l n ą — s t o p ę. Porównajmy ze sobą stopę i czepiec człowieka dorosłego, siedmiomiesięcznego płodu i kilkunastu zupełnie różnych rodzin ssących: rezultat będzie uderzający. Mianowicie, u pierwszego obadwa działy odnogi są sobie równe, u płodu czepiec się ma do stopy jak 2 : 1; u małpy — 3 : 1; u sarny — 6 : 1; u świnki morskiéj — 9 : 1, u nietoperza — 12 : 1 itd., wogóle im zwierzę większą się odznacza inteligencyą (tj. im bardziéj są rozwinięte procesy świadome), tém stopa jest więcéj rozwinięta i naodwrót. Ponieważ nadto u płodu ludzkiego znajdujemy wysoko rozwinięty czepiec, zaś stopa tylko powoli się rozwija, tak iż np. u 4 miesięcznego dziecka jest jeszcze na dość niskim stopniu, przeto Meynert wnosi, że stopa i czepiec są drogami dwu różnych czynności, że funkcye pierwszéj występują najwybitniéj u człowieka, oraz, że dalszy rozwój tych funkcyi a więc i stopy, zależy od warunków świata zewnętrznego, życia pozapłodowego.

Czém jednak są odnogi? Zbiorem włókien, które — jak wiadomo—są tylko przewodnikami procesów, zachodzących w komórkach nerwowych. *A priori* więc przypuszczać należy istnienie dwu zasadniczo różnych mas komórkowych, znajdujących się do siebie w takim samym stosunku, jak stopa i czepiec odnóg mózgowych. Istotnie, stwierdzono, iż największego stosunkowo rozwoju ze wszystkich szarych mas podkorowych, dosięga j ą d r o s o c z e w i c o w a t e u człowieka, również u małpy; przeciwnie w z g ó r e k w z r o k o w y w daleko mniejszym mózgu kocim, nawet co do swéj wielkości absolutnéj, nie ustępuje takiemuż zwojowi u małpy, zaś c i a ł o c z w o r a c z e u kota względnie jest nawet większe, niż u małpy. Nadto ustalono na drodze badań mikroskopowych: z jednéj strony—związek włókien czepca z wzgórkiem wzrokowym i ciałem czworaczém, z drugiéj — związek stopy z jądrem soczewicowatém i ciałem prążkowaném. Pierwsze Meynert nazwał z w o j a m i c z e p c a, drugie — z w o j a m i s t o p y. Są

(1) L. c.; głównie zaś: Studien über d. Bedeutung d. zwelfachen Rückenmarkursprunges aus d. Grosshirn (Sitzber. d. wiener Akad. 1869).

one zbudowane — i to jest trzeci fakt morfologiczny — podług dwu odmiennych typów. Różnica jest następująca. Na uskutecznienie odruchu składają się trzy momenta: przeprowadzenie podrażnienia zewnętrznego do komórki zmysłowéj (czuciowéj), przeróbka tego czucia i przejście jego do komórki ruchowéj, oraz odwrotne przeprowadzenie wewnętrznego procesu na zewnątrz za pomocą drugiego włókna w postaci ruchu. Odruch więc jest zjawiskiem czuciowo-ruchowém i wymaga dwu warunków anatomicznych: drogi czuciowéj (dośrodkowéj) i ruchowéj (odśrodkowéj) z odpowiedniemi komórkami. Szara masa cewkowa tj. rdzenia przedstawia właśnie taki typ budowy; jéj tylne kolumny składają się z komórek specyficznie czuciowych i dają początek specyficznie czuciowym włóknom nerwowym, zaś przednie kolumny i wychodzące z nich nerwy są znowu specyficznie ruchowe. To samo wykazała histologia odnośnie do czepca i jego zwojów. Zaś stopa i jéj zwoje najmniejszego nie mają związku z czuciem: są to drogi i zwoje nawskroś ruchowe.

Łącząc przytoczone dowody morfologiczne z powyższemi doświadczeniami fizyologicznemi, przychodzimy do wniosku, że z wyjątkiem półkul mózgowych i zwojów stopy, wszystkie inne części układu nerwowego (rdzeń kręgowy, przedłużony, zwoje czepca) nie mają związku z świadomością, tj. nie są siedliskami ani percepcyi, ani innych zjawisk umysłowych, lecz ośrodkami odruchowymi, coraz bardziéj zawiłymi — tak pod względem budowy, jakotéż funkcyi—im bliżéj półkul. To jedno. Odwrotny stosunek, zachodzący pod względem rozwoju między czepcem, stopą i odpowiadającymi im zwojami, pozwala wnosić, iż w miarę jak się oddalamy od człowieka w królestwie zwierzęcém, czynności odruchowe, tj. bezwiedne biorą górę nad świadomemi, które u najprostszych organizmów, być może, wcale jeszcze nie istnieją. Jeżeli powiemy, że królestwo zierzęce jestto szereg osobników, będących wcieleniem najrozmaitszych faz ciągłéj ewolucyi psychicznéj — począwszy od najprostszych odruchów i kończąc na najbardziéj zawiłych procesach świadomych człowieka, będzie to tylko odwrócenie dopiéro co wyprowadzonego wniosku. A jednak, jak trudno nam jest wyobrazić sobie istoty, wykonywające wszelkie cielesne funkcye, które nieraz wielkiego wymagają sprytu, a pomimo to odbywają się bez świadomości! W istocie, zwierzęta pozbawione półkul mózgowych, nawet zwojów podkorowych, wykonywają przy pomocy samego rdzenia ruchy tak zawiłe, zwinne, że bardzo łatwo je uważać można za skutek namysłu, czynności świadoméj. Że łatwo tu zostać w błąd wprowadzonym, dowodzi taki Pflüger,

nadzwyczaj przenikliwy eksperymentator, który w celu objaśnienia tego mechanizmu rdzeniowego przyjął był istnienie t. zw. przezeń „duszy rdzeniowéj". Dość jednak do czucia dodać jeszcze jednę własność elementarną komórki nerwowéj, a zjawisko całe tłómaczy się bardzo łatwo (4). Tą własnością jest pamięć — nie owa pamięć złożona, polegająca na zdolności powtarzania się stanów świadomych, lecz poprostu zdolność komórki nerwowéj do przechowywania śladu raz wykonanéj czynności. Skutkiem tego będzie, iż odruch np. raz wykonany, z większą łatwością i zręcznością da się uskutecznić za każdym razem następnym. Weźmy teraz pod uwagę tę okoliczność, że szara masa rdzenia—a stosuje się to jeszcze w większym stopniu do zwojów podkorowych—przedstawia nie odosobnione grupy komórek, lecz, przeciwnie, jak najściśléj ze sobą związane przy pomocy włókien; że te ostatnie umożliwiają przejście bodźca z komórki do komórki, tak, iż podrażnienie dochodzi nietylko do komórki bezpośrednio pobudzonéj, lecz zarazem do sąsiednich i nawet bardzo oddalonych, i — co za tém idzie — w taki sposób wprawione zostają w ruch całe grupy mięśniowe, słowem, weźmy pod uwagę: z jednéj strony — owę zdolność układu odruchowego, którą, dla braku innego, mniéj dwuznacznego terminu, nazwaliśmy pamięcią, z drugiéj — związek, zachodzący między rozmaitemi częściami tegoż układu, związek pociągający za sobą nietylko jednoczesność najrozmaitszych ruchów, ale nadto — co ważniejsza—ich koordynacyą, — a hypoteza „duszy rdzeniowéj" wyda się co najmniéj zbyteczną, żeby nie powiedzićć nienaukową. Hypoteza Pflügera pozostanie na zawsze jednym z najdosadniejszych przykładów metafizycznego sposobu myślenia w naukach ścisłych.

II.

Gdy się mówi, że czynności odruchowe, bezwiedne i czynności świadome posiadają odosobnione ośrodki w układzie nerwowym, jako téż osobne drogi przewodnicze, nie oznacza to bynajmniéj jakiejś przepaści między niemi. Wprawdzie, jeżeli weźmiemy pewien akt odruchowy i porównywać go będziemy z aktem świadomym wielce zawiłym, trudno tu będzie dopatrzéć się związku. Wypływa to jednak z naszéj nieznajomości ogniw pośrednich między najprostszemi i najzawilszemi zjawiskami psychicznemi. Że tu za-

(1) Patrz między innemi Maudsley: Fizyolog. i patol. ducha, cap. III; również Wundt, loco cit., Bd. II, 401—412.

chodzi związek genetyczny, dowodzi zjawisko bodaj czy nie ze wszystkich najzawilsze i że tak powiem, najbardziéj świadome— wola: jest ona niemożliwa bez odruchu. Pozbawcie noworodka tych ośrodków, które zawiadują sprawami odruchowemi (jest to doświadczenie fikcyjne, bo niemożliwe), a tém samém pozbawicie go saméj możliwości powstawania woli. Naturalnie, nie możemy tu rozważać woli w całéj jéj rozciągłości: jestto kwestya psychologiczna, a nas więcéj zajmują fizyczne warunki zjawisk podmiotowych. Zresztą, wolno nam uprościć sobie zadanie. Jakoż istotnie, jakkolwiek zawiłą wydaje się cała ta sprawa, jestto sfera zjawisk obracających się naokoło jednego faktu: ruchu dowolnego.

Kwestya powstawania ruchu dowolnego z odruchów wiąże się ściśle z następującém pytaniem: w jaki sposób dochodzimy do poznania odruchów? Skoro odruch jest aktem bezwiednym, a wiedza przypuszcza świadomość, jakąż to drogą wiedziéć możemy o czynnościach, które z saméj już natury swojéj pozostają zawsze poniżéj progu świadomości?

Zwoje czepca, jak wiadomo, są ostatnim i najzawilszym organem czynności odruchowych: ciało czworacze jest ośrodkiem bardzo zawiłych odruchów wzrokowych, wzgórek wzrokowy—dotykowych. Otóż gdy w ośrodkach tych ma miejsce odruch, jako odpowiedź na podraźnienie zewnętrzne, np. zamknięcie powiek, zwężenie źrenicy wskutek rażącego światła lub téż cofnięcie ręki wskutek ukłucia, bólu, połechtania, jednocześnie wywołuje on przy pomocy włókien projekcyjnych I rzędu (naturalnie, tych tylko, co ze zwojów czepca wychodzą) osobliwe w r a ż e n i e w k o r z e półkul mózgowych, zwane ruchowem, innerwacyjném (1): powstaje tu niejako spostrzeganie wewnętrzne ruchów własnego ciała, czucie pobudzenia, niezbędnego do wykonania określonego ruchu. Owo czucie innerwacyjne nie tylko daje nam znać o odruchach naszego ciała, ale nadto staje się zarazem zawiązkiem ruchu dowolnego. Jak każde inne wrażenie, i ono przekształca się w wyobrażenie: ile zatém istnieje odruchów—tak pod względem jakości, jak i natężenia, tyleż będziemy mieli odpowiadających im wrażeń i wyobrażeń innerwacyjnych, byle tylko istniały połączenia odpowiednie z korą. Przypuśćmy teraz, że wskutek takich a takich przyczyn, wyobrażenie innerwacyjne się odradza, odradzanie się bowiem jest istotną własnością każdego wyobrażenia: cóż wówczas zajdzie? Jeżeli się ma do czynienia z wyobrażeniem zmysłowem: wzrokowem, słuchowem

---

(1) Meynert. Zur Mechanik d. Gehirnbaues. 1874, również: Fragmente aus den anatomischen Corrolarien u. d. Physiologie d. Vorderhirns (Jahrbücher f. Psychiatrie) 1881.

i t. d., wtedy odradzanie się jego równa się wewnętrznemu spostrzeganiu przedmiotu, lubo i tu nieraz dojść może do jakiegoś ruchu drogą kojarzenia wyobrażeń; np. wspomnienie nieprzyjemnego widoku może wywołać taki sam ruch, jakbyśmy widok ów właśnie mieli przed oczyma. Ale ruch w tym razie jest zjawiskiem pośredniém. Przeciwnie wyobrażenie innerwacyjne, jako takie, jest ruchowe; niech tylko pobudzenie będzie dostateczne, a zamieni się w impuls ruchowy—świadomy, w ruch dowolny. Widzimy zatém, że bezpośrednim poprzednikiem, niezbędnym warunkiem ruchu dowolnego jest dostateczne pobudzenie wyobrażenia innerwacyjnego. Utrata wyobrażenia równa się utracie odpowiedniego ruchu świadomego.

Bliższe badania dowiodły, iż wyżéj wspomniane włókna projekcyjne I-go rzędu, wychodzące ze zwojów czepca, kończą się w przednich zrazach kory (czołowym i ciemieniowym), które przeto uważać należy za ośrodki wrażeń i wyobrażeń innerwacyjnych, za ośrodki ruchów dowolnych. Ztąd odchodzą osobne włókna projekcyjne w kierunku odśrodkowym, które, przeszedłszy przez jądro soczewicowate i ciało prążkowane, stopę odnogi oraz rdzeń przedłużony, gdzie ulegają skrzyżowaniu, wstępują następnie do rdzenia kręgowego, a ztąd do nerwów, idących do mięśni.

Doszliśmy do takiego punktu, co do którego trudno znaleść w fizyologii i anatomii mózgu dwa zupełnie zgodne zdania. Jedni całkowicie przeczą istnieniu w korze t. zw. okolicy ruchowéj, drudzy, lubo w zasadzie przyjmują umiejscowienie ruchów dowolnych, wszelako różnie się na czynności ośrodków ruchowych zapatrują. Postaramy się zestawić w tém miejscu poglądy najbardziéj uzasadnione i najlepiéj ze sobą harmonizujące.

Ruch dowolny oprócz świadomości tém się jeszcze różni od odruchu, że powstaje bez wszelkiego wrażenia z zewnątrz, jako rezultat samorodnéj, niezależnéj pracy saméj kory. Jeżeli tak jest w rzeczywistości, podrażnienie bezpośrednie kory powinno wywoływać ruchy mięśni. Doświadczenie w zupełności stwierdza ten wniosek. Hitzig i Fritsch (1) dowiedli, że podrażnienie elektryczne ściśle określonych miejsc, znajdujących się w przednich częściach kory, pociąga za sobą skombinowane ruchy mięśni przeciwległéj strony ciała, podczas gdy tylne okolice kory zachowują się pod tym względem obojętnie. Nie dość na tém. Nie tylko skonstatowano istnienie w ko-

(1) Hitzig. Untersuch. über d. Gehirn, 1874 i prace późniejsze w Archiv. f. Anat. u. Physiol. Du Bois-Reymond's.

rze dwu pasów: przedniego—pobudzalnego, tylnego—niepobudliwego, ale nadto dzięki Hitzigowi, Ferrierowi (1) i innym, zdołano pas pobudliwy, okolicę ruchową kory, podzielić na pewną ilość ograniczonych ośrodków, z których każdy odpowiada ściśle określonéj grupie mięśni. Mamy zatém oddzielne ośrodki ruchowe (fizyologowie nazywają je inaczéj: psychomotorycznymi) dla każdéj ręki, nogi, dla mięśni szyjowych, karkowych itd., podług zasady krzyżowania dróg ruchowych.

Jakkolwiek świetnym wydawać się może dowód doświadczalno-fizyologiczny, dopiero co przytoczony, jednak nie daje on nam pewności zupełnéj. Nadto pozostaje jeszcze do rozwiązania inna kwestya: czy ośrodki psychomotoryczne są identyczne z wyżéj opisanymi ośrodkami innerwacyjnymi? Możliwe są tu dwie drogi, i z obu trzeba korzystać. Jedna polega na wycinaniu poszczególnych ośrodków i obserwacyi występujących zaburzeń czynnościowych; druga—na obserwacyi osobników, dotkniętych jakiemiś zaburzeniami, i pośmiertném stwierdzaniu zboczeń zaszłych w korze mózgowéj: pierwsza stosuje się do zwierząt, druga—do ludzi. Wszakże rezultaty, do jakich dwie te metody prowadzą, są zupełnie zgodne ze sobą.

Obserwujmy psa, u którego dokonano obrażenia, dajmy na to, ośrodka dla prawéj przedniéj kończyny (2). 1) Dotknięcie palcem lub końcem igły któréjkolwiek z trzech innych kończyn wywołuje odpowiednie przeciwdziałanie, np. szczekanie, cofnięcie kończyny, chęć kąsania itd., jeżeli zaś to samo powtórzymy z kończyną dotkniętą (3), pies pozostaje obojętnym, nawet na mocne ukłucie. Dopiero bardzo mocne ukłucie wywołuje ruch rzeczonéj kończyny; pies jednak ani spogląda na miejsce ukłute, ani gryzie, i wogóle niczém nie zdradza świadomości tego, co się robi: jestto więc czysty odruch. 2) Możemy zginać, rozginać dotkniętą łapę, robić z nią, co się nam żywnie podoba, pozostaje ona w tym samym stanie, dopóki pies nie zacznie chodzić lub biegać; nie spostrzegamy zaś tego w innych kończynach. 3) Pies chodzi, skacze, biega i wogóle wykonywa dotkniętą łapą wszelkie odruchy lub ruchy automatyczne, ponieważ ośrodki odpowiednie mieszczą się poniżéj półkul (zwoje czepca, rdzeń, móżdżek). Słowem, ruchy lokomocyjne są nietknięte. Ale pod każdym innym względem, dotkniętą kończynę uważać

---

(1) Ferrier. Die Functionen d. Gehirns, 1879 (przekł. niem.), 150 i nast.

(2) Munk. Arch. f. Anat. u. Phys. 1878 (162—178; 547—559; 599—602).

(3) „Dotkniętym“ nazywać będziemy stale organ, którego odpowiedni ośrodek został obrażony lub wycięty.

należy za sparaliżowaną, nie wykonywa ona żadnych ruchów d o w o l n y c h, c z y n n y c h. Znikły mianowicie wszelkie ruchy, wskazujące na używanie łapy, jako narzędzia, ruchy subtelne, inteligentne, że tak powiemy, wyuczone, te, których pies nabywa wskutek długiego tresowania; np. przyzwyczajony był do podawania przednich łap, gdy się przed nim trzymało rękę; teraz łapy dotkniętéj wcale nie podaje. 4) Pies chodzi wprawdzie na łapie dotkniętéj, ale jak! Przypatrujmy mu się uważnie. Jużto ją zbyt wysoko podnosi, już za nisko, jużto zbyt wysuwa ją naprzód lub w tył cofa, lub wreszcie grzbietem na dół stawia itd. Na podłodze równéj, zupełnie płaskiéj, niezręczność ta występuje najmniéj, zaś najbardziéj tam, gdzie idzie o pokonanie pewnych trudności; np. pies ten łatwo przekracza brzeg stołu, lub schodek pomija itd. Po upływie kilku lub kilkunastu tygodni objawy te zupełnie znikają: pies jest kompletnie zdrów, jakby nigdy obrażenia nie doświadczał. Jeżeli jednak wycięto cały ośrodek psychomotoryczny, pies na zawsze pozostaje paralitykiem pod względem czucia i ruchu dowolnego!

Powyższe spostrzeżenia dowodzą: pierwsze—utraty wyobrażeń dotyku i oporu dla dotkniętéj kończyny, drugie—wyobrażeń o jéj położeniu w przestrzeni, trzecie i czwarte—wyobrażeń innerwacyjnych. Występujące tu zaburzenia ruchowe powinny być uważane jako wynik zaburzeń w zakresie dotyku i zmysłu mięśniowego. Ale związek to zbyt zawiły, byśmy go zostawili bez objaśnienia. Wprzód jednak zwrócimy uwagę czytelnika na fakt następujący (1). U morskiéj świnki i królika, których kora mózgowa jest prawie gładka i posiada szczupłą ilość punktów pobudliwych, obrażenie ich, a nawet zupełne usunięcie wywołuje nieznaczne wogóle zaburzenia ruchowe; u małpy jeszcze większe, niż u psa; zaś u człowieka zwykle—przynajmniéj w pierwszych dniach, absolutnie wszelki ruch znika. Dowodzi to, że w miarę rozwoju kory mózgowéj, a więc inteligencyi, odruchy stają się coraz bardziéj zależnymi od niéj, i odwrotnie: im mniéj zróżnicowaną jest kora, tém samodzielność ośrodków odruchowych jest większą. Dla tego téż tak różne są zaburzenia u rozmaitych zwierząt, aż u człowieka dochodzą do szczytu. Dla czego? Ponieważ u człowieka wszelkie ruchy dokonywają się z udziałem świadomości, tj. wrażeń i wyobrażeń. Naprzykład rąk i nóg używamy pierwotnie z całą świadomością, uczymy się ich używać. Wszelako nie mniéj ma to miejsce u zwierząt. Weźmy dwa psy i puśćmy je na jeden grunt; dla jednego, dajmy na to jest on zupełnie obcy, drugi — jest z nim dobrze obznajmiony.

(1) Prof. Bechterew. Arch. psychiatryczne (po rosyjsku) 1887.

Niezręczność pierwszego zaraz na jaw wystąpi. To samo z człowiekiem. Uczymy się nogi stawiać, uczymy się wszelkich t. zw. ruchów wykwintych, studyujemy je. A przecież nie jesteśmy pozbawieni odruchów. Ale nie dość je posiadać; potrzebują one jeszcze regulatora, a takim właśnie regulatorem są nasze wrażenia, otrzymywane drogą dotyku od różnych przedmiotów, i pozostające po nich wyobrażenia, które nam zastępują wrażenia. Nasz pies operowany, wskutek utraty wyobrażeń dotykowych, odnoszących się do prawéj przedniéj łapy, pozbawiony został owego regulatora odruchów współrzędnych, jakkolwiek te ostatnie specyalny posiadają ośrodek: ztąd téż jego niezręczność. Cóż powiedziéć o człowieku, którego ośrodki odruchowe są jeszcze w znacznie większéj zawisłości od regulacyjnych czynności kory, innemi słowy: od wrażeń dotykowych. Co się tyczy wyobrażeń innerwacyjnych, są one, jak to wykazaliśmy powyżéj, niezbędnymi poprzednikami ruchów dowolnych. Jeżeli więc tych ostatnich niéma, oczywiście musi tu zachodzić brak odpowiednich wyobrażeń. Zbyteczna dowodzić ścisłego związku między wyobrażeniami dotykowemi a innerwacyjnemi. Chcę np. zeskoczyć z pewnéj wysokości na krzesło plecione, tak jednak by go nie uszkodzić; naturalnie, skok musi być lekki. Cóż to znaczy? Znaczy to, że dotknięcie moich nóg ma być lekkie, że natężenie mięśni ma być, o ile można, nieznaczne. Wyobrażenie innerwacyjne pozwala mi z góry określić stopień tego natężenia. Zkąd jednak wiem, że jest tu niezbędne takie, a nie inne natężenie? Bo nieraz dotykałem krzesła, poznałem już stan jego skupienia. Widać ztąd, że wyobrażenia dotykowe są również regulatorem ruchów dowolnych.

Powiedzieliśmy wyżéj, że pies po pewnym czasie zupełnie się poprawia, jeżeli miało miejsce tylko obrażenie ośrodka ruchowego, zaś stan anormalny trwa zawsze, jeżeli się wycięło ośrodek całkowicie. Objaśnia się to tak. W pierwszym przypadku, ponieważ część ośrodka została, zaś odruchy wciąż trwają i zmysł dotyku nie przestaje funkcyonować, istnieją zatém wszelkie warunki po temu, by zwierzę znów odbierało wrażenia dotykowe i innerwacyjne. Zwierzę jednak nie jest w stanie należycie oceniać tych wrażeń i ich wartości dla ruchów: do tego potrzebne są wyobrażenia. Brak tu jedności duchowéj, brak odpowiednich skojarzeń; pies jest w takim samym stanie, jak i noworodek, który przecież także odbiera te i owe wrażenia, a jednak nie umié jeszcze z nich korzystać, bo nie ma ani stałych wyobrażeń, ani stałych skojarzeń. Munk, któremu zawdzięczamy powyższą analizę, nazywa ten stan „bezwładem duchowym“ (*Seelenlähmung*).

Powoli kształtują się wyobrażenia, bezwład duchowy się zmniejsza, pies na nowo uczy się regulować swe odruchy współrzędne i wykonywać ruchy dowolne. Jeżeli jednak wycięliśmy cały ośrodek, wówczas nie masz odpowiedniego podścieliska, gdzieby wrażenia dotykowe i innerwacyjne dochodziły do świadomości, nie może zatém być mowy o odpowiednich wyobrażeniach: zwierzę nigdy się nie nauczy porządnie chodzić na dotkniętéj nodze, ani téż wykonywać ruchów dowolnych. Stan taki Munk nazywa „bezwładem korowym" (*Rindenlähmung*).

Cała okolica ruchowa dzieli się na każdéj półkuli na następujące ośrodki: 1) dla ręki, nogi, mięśni szyjowych, karkowyzh, twarzowych, ocznych itd. przeciwległéj strony. U człowieka mamy jeszcze w zrazie czołowym półkuli lewéj, t. zw. „ośrodek mowy Broca". Obrażenie tego miejsca pociąga za sobą utratę owych ruchów warg, podniebienia i krtani, które niezbędne są w mowie artykułowanéj; zboczenie to nazywają afazyą ataktyczną. Chory wykonywa wszelkie inne ruchy wymienionych części ciała, z wyjątkiem tych, które warunkują mowę. Może on pamiętać słowa, nie potrafi ich wszakże wymawiać. Z afazyą zwykle łączy się agrafia, tj. niemożliwość wykonywania ruchów piśmiennych, jakkolwiek wszystkie inne ruchy rąk są nietknięte. Chory zapomniał ruchów mownych i piśmiennych, utracił odpowiednie wyobrażenia innerwacyjne.

Gdybyśmy chcieli w ogólną formułę ująć powyższe fakty i teorye, powiedzielibyśmy, że t. zw. ośrodki psychomotoryczne, ośrodki specyficznie ruchowe, są w gruncie natury mieszanéj: zarazem czuciowéj i ruchowéj, i ostatecznie zależne od wrażeń dotykowych i innerwacyjnych. Za ich naturą zmysłowo-ruchową przemawia i ta okoliczność, że u człowieka zaburzenia w zakresie dotyku są wynikiem obrażeń tych samych okolic kory, co i zaburzenia czysto ruchowe (1), że zatém komórki ośrodków psychomotorycznych pełnią jednocześnie dwie funkcye: otrzymują wrażenia i wprawiają w ruch (dowolny) aparat mięśniowy. Ponieważ zwoje stopy i sama stopa są to drogi, bezpośrednio na dół idące od kory (*resp.* od okolicy ruchowéj), to właściwie mówiąc, do niéj właśnie stosuje się wywód Meynerta o zależności rozwoju dróg ruchu dowolnego od wrażeń, ze świata zewnętrznego otrzymywanych. Analiza Munka i dociekania anatomiczne Meynerta prowadzą więc do tego samego rezultatu. Rzecz to zrozumiała, że niepodobna w artykule popularnym, gdzie idzie tylko o zarys ogólny, wdawać się we wszelkie szczegóły, dotyczące naszéj kwestyi. Po

---

(1) Exner. Unters. über d. Local. d. Functionen etc. 1881, str. 68.

głębszém zastanowieniu się jednak, czytelnik i z tego dorywczego szkicu pozna, że nie wszystko, co nam wiadomo o czynnościach ośrodków psychomotorycznych, jest ścisłą indukcyą: analogii i dedukcyi zawdzięczamy wiele z powyższych wniosków. Sprawdźmy je, i w tym celu drażnijmy za pomocą prądów elektrycznych ośrodki psychomotoryczne u nowonarodzonych zwierząt: jeżeli twierdzenie Meynerta i Munka jest słuszne, powinniśmy tedy otrzymać rezultat ujemny. Istotnie, Soltmann (1) dowiódł drogą bezpośrednich doświadczeń, że u psa dopiero 10-ego d n i a po urodzeniu pobudzanie elektryczne kory daje ruchy przednich łap przeciwległej strony, 13-go—tylnych, zaś dopiero 16-go znajdujemy z u p e ł n i e rozwinięte ośrodki dla kończyn i twarzy, podczas gdy ośrodków dla mięśni grzbietowych, brzusznych i ogona wciąż jeszcze brak. Jeżeli zaś wytniemy odpowiednie ośrodki zaraz po urodzeniu, nie zauważymy najmniejszych zboczeń w ruchach, ktore, jak były w pierwszych chwilach odruchowe, tak nie przestają nimi być i nadal. Obserwacya noworodków ludzkich tak samo świadczy, że ich ruchy nic wspólnego nie mają z świadomością, są czysto odruchowe.

Soltmann zwrócił uwagę jeszcze na jedną okoliczność doniosłéj wagi. Wiadomo nam z rozdziału I-go, że kora wywiera wpływ tamujący, powściągający na odruchowe czynności zwojów czepca i rdzenia, czyli—jak się wyraża Meynert—między korą a ośrodkami podkorowymi istnieje wyraźny antagonizm czynnościowy. Otóż przy podrażnianiu elektryczném ośrodków psychomotorycznych u noworodków zwierzęcych, nie znajdujemy nawet śladów tamowania. Tak samo u nowonarodzonych dzieci nie masz powściągającego wpływu woli, albowiem wola u tych osobników jeszcze nie istnieje. Jestto dowód doświadczalny powściągającego wpływu woli, znanego pod nazwą „panowania nad sobą“. Atoli powściąganie odruchów i wytwarzanie ruchów dowolnych nie są to dwa przeciwne sobie procesy: czynność komórki korowéj jest ta sama w jednym i drugim przypadku, cała różnica tkwi w ostatecznym rezultacie. Ruch bowiem dowolny jest wypływem procesu, niepodzielnie odbywającego się w ośrodkach ruchowych, wypływem, żadnych przeszkód nie napotykającym; przeciwnie, powściąganie jest wypadkową dwu procesów: korowego i podkorowego, wypadkową nie zawsze równą zeru: nie wszyscy i nie zawsze nad sobą panujemy! Mimowoli nasuwa się analogia z zjawiskiem optyczném, t. zw. interferencyą światła: dwa promienie świetlne, wychodzące z jednego punktu i w jednym kierunku, mogą—zależnie od okoliczności—bądź

(1) Soltmann: Jahrb. f. Kinderheilkunde, Bd. IX, XI.

zwiększyć światło bądź je zmniejszyć. Być może, dwie fale nerwowe, idące w jednym kierunku, tj. do mięśni—mogą podobnież bądź spotęgować ruch, bądź go zmniejszyć, bądź wreszcie całkiem się unicestwić. Rozumie się, są to przypuszczenia, nie fakty.

Streśćmy, cośmy powiedzieli. Odruchy są pierwotnymi ruchami naszego (i zwierzęcego) ciała, ruchy dowolne, świadome—wtórnymi. Gdyby nie było pierwszych, nie istniałyby i drugie, nie mielibyśmy nawet pojęcia o zdolności naszych mięśni do wykonywania ruchów. Czyn i powściąg są w istocie jedném zjawiskiem. Bezpośrednią przyczyną ruchów świadomych są tylko wyobrażenia ruchowe. Tu właśnie kończy się prawdziwe zjawisko woli. Odróżniamy w niém, o ile wogóle odróżnianie jest możliwe—dwa stany: namysłu i chcenia. Ale namysł jest tylko częścią odbywającéj się w mózgu pracy psychofizyologicznéj, częścią, przekraczającą próg świadomości, reszta zaś pozostaje w ukryciu, poniżéj progu. Namysł wszakże nie jest przyczyną niczego i kończy się: z jednéj strony, chceniem, które zaznacza tylko pewne położenie, lecz go nie tworzy, z drugiéj—grupą ruchów lub powściągów, wynikających bezpośrednio ze skłonności uczuć, wyobrażeń i pojęć, które ostatecznie skojarzyły się w formie wyboru (1). Następnikami wyboru (tj. pracy psychofizyologicznéj) i poprzednikami ruchów dowolnych są właśnie wyobrażenia ruchowe.

III.

Przechodzimy teraz do drugiéj kategoryi ośrodków: o naturze specyficznie zmysłowéj. Kwestya polega na tém, czy istnieje w korze półkul mózgowych okolica, któréj jedyną i wyłączną czynnością jest percepcya wrażeń wzrokowych lub słuchowych itd.; jakiego rodzaju związek zachodzi między taką okolicą zmysłową a obwodowymi organami zmysłowymi, oraz jakie występują zboczenia wskutek pewnych spraw patologicznych? Jak wszędzie, tak i tu zdania badaczy są nader rozmaite i sprzeczne; z tych najbardziéj uzasadnioném jest zdanie Munka (2).

Po obustronném wyłuszczeniu u psa kawałeczków kory, 15 mm. średnicy i 2 mm. grubości mających, w okolicy górnego tylnego końca zrazu potylicowego, dają się spostrzegać osobliwe zboczenia wzroku. Pies się porusza swobodnie, nie potrącając o przedmioty,

(1) Ribot. Choroby woli, zakończenie.

(2) Berliner Klin. Wochenschrift, 1877. Du Bois Reymond's Archiv, 1878, 1879. Sitzb. d. Berliner Akad. 1883, 1884, 1886.

ale zgoła nie poznaje ludzi, których dawniej radośnie witał, ani psów, z którymi chętnie się bawił, okazuje im zupełną obojętność; miskę z jadłem lub wiadro z wodą omija, jak gdyby ich wcale nie spostrzegał; nawet wobec pożywienia, trzymanego przed oczyma, stoi nieruchomy, dopóki nie poczuje jego zapachu. Nie wzrusza go też biczyk, którego się dawniéj lękał, ani wyciągnięta ręka, na którą zwykł był łapkę kłaść; dopiéro gdy usłyszy wyraz „łapa", podaje ją. Szereg tych obserwacyi dowodzi, że pies wprawdzie nie przestał odbierać wrażeń wzrokowych, pod wielu jednak względami podobny jest do pieska o bardzo szczupłém doświadczeniu (o ile dotyczy wzroku!), prawie żadném: pies nasz utracił wszystkie wyobrażenia wzrokowe, obrazy wszystkich otrzymywanych przedtém wrażeń wzrokowych, tak iż widzi wprawdzie, ale nie poznaje niczego. Stan to analogiczny z tym, któryśmy wyżéj opisali jako „bezwład duchowy", z tą różnicą, że w danym razie mamy do czynienia z wrażeniami i wyobrażeniami wzrokowemi. Jakże objaśnić ów dziwny stan?

Nie może być mowy o poznawaniu przedmiotów, po raz pierwszy w życiu widzianych, przedmiotów, które jeszcze nigdy nie były w naszéj świadomości, od których nigdy wrażeń nie otrzymaliśmy. Poznawać rzecz, lepiéj: wrażenie (gdyż rzeczy są dla nas tylko wiązką wrażeń), znaczy wydawać sąd, wnioskować, że jest ono podobne do innego wrażenia, któreśmy raz lub nieraz doświadczali. Jest tu niezbędny pewien pierwiastek czysto podmiotowy, z którym porównywamy świeże wrażenie. Otóż każde wrażenie zmysłowe pozostawia po sobie ślad w komórce mózgowéj—jak zresztą w każdéj komórce nerwowéj,—to co nazywamy wyobrażeniem; każde zatém powtarzające się wrażenie natrafia w mózgu na usłany już grunt, na wyobrażenie, z którém zostaje porównywane. Gdzie więc czynności zwierzęcia lub człowieka świadczą, że nie ma poznania, tam wnosić możemy o braku odpowiednich wyobrażeń, powodującym surowość percepcyi, i o jéj podobieństwie do percepcyi po raz pierwszy otrzymanych wrażeń. Nasz pies, z powodu takiego właśnie braku w zakresie wzroku, nie jest w stanie oceniać odbieranych wrażeń, nie ujmuje ich „duchowo": krótko mówiąc, dotknięty jest „ślepotą duchową" (*Seelenblindheit*), jak się wyraża Munk. Powoli jednak, w miarę powtarzania się wrażeń, odzyskuje on wszystkie wyobrażenia wzrokowe, na nowo uczy się widzieć i poznawać, zupełnie jak pies nowonarodzony, i po upływie 3—5 tygodni niczém się nie różni od psa zdrowego. Ztąd Munk wnosi, iż „w miarę jak wrażenia dochodzą do świadomości, pozostałe po nich wyobrażenia, wychodząc poniekąd z jednego ogniska, osadzają się w korze (półkul)

potylicowéj, zajmując coraz większy jéj obszar; jeżeli więc pomimo wyłuszczenia okolicy *A* (tak dla krótkości nazywać będziemy wyłuszczone miejsca), mieszczącéj w sobie większą część wyobrażeń wzrokowych, zwierzę wraca do stanu normalnego, dzieje się to skutkiem tego, że właściwa okolica wzrokowa *(Sehsphäre)* jest znacznie większa od miejsca *A*, i jéj nietknięta reszta zasiloną zostaje nowemi wyobrażeniami, ponieważ sam proces percepcyi wzrokowéj — jak się rzekło — wciąż trwa". Przypuszcza daléj Munk, że pierwiastki komórkowe siatkówki, czułe na fale eteru, oraz pierwiastki komórkowe okolicy wzrokowéj w korze, czyli ośrodkowe i obwodowe zakończenia nerwu wzrokowego są w odpowiedni sposób ułożone, tak iż sąsiednim pierwiastkom siatkówki odpowiadają sąsiednie pierwiastki okolicy wzrokowéj. Nadto doszedł on na mocy licznych i starannych poszukiwań do wniosku, dawniéj już na drodze anatomicznéj przez Guddena stwierdzonego, że mianowicie (przynajmniéj u wyższych ssaków) nerwy wzrokowe nie zupełnemu ulegają skrzyżowaniu, że każdy z nich zatém połączony jest z obydwoma ośrodkami wzrokowymi, ponieważ jednostronne obrażenie ośrodka wzrokowego wywołuje obustronne zboczenia wzroku. Jeżeli powyższe przypuszczenie jest słuszne, tedy doświadczenie powinno dać zupełną ślepotę obustronną, — po obustronném wyłuszczeniu zrazów potylicowych. Tak jest téż istotnie. Posłuchajmy, jak Munk opisuje psa, pozbawionego obu okolic wzrokowych. Pod każdym innym względem nie różni się on od psa zdrowego: czynności roślinne (trawienie, oddychanie etc.), słuch, smak, powonienie, dotyk, ruchy dowolne i odruchy — wszystko w stanie normalnym; oczy téż funkcyonują normalnie: źrenice rozszerzają się i zwężają (są to bowiem odruchy wzrokowe, których siedliskiem jest nienaruszone ciało czworacze); inteligencya, o ile nie zależy od wrażeń i wyobrażeń wzrokowych, ta sama, co i przedtém: słowem, nie masz tu nic nienormalnego, z wyjątkiem zupełnego braku wzroku. Do biegania, skakania pies nie jest skłonny. Tylko powonieniem i czuciem skórném znajduje swe pożywienie. Nie widzi nic przed oczyma: nagłe oświetlenie lub nagłe zaćmienie pokoju oddziaływają wyłącznie na muskulaturę źrenicy (odruch: ciało czworacze), Co jednak na najżywszą zasługuje uwagę, to nadzwyczajne wydoskonalenie pozostałych zmysłów; dochodzi do tego, że pies po pewnym przeciągu czasu potrafi się oryentować w przestrzeni, w któréj stale przebywa, żwawiéj się tu porusza, tak, iż człowiek po raz pierwszy obserwujący psa w téj przestrzeni (naturalnie, po kilku miesiącach) nie odróżni go zdrowego. Przenieśmy go jednak na inny, obcy mu grunt, a obraz wyżéj opisany wystąpi w całéj peł-

ni". Stan ten trwa wiecznie, gdyż bodźce świetlne, oddziaływające na siatkówkę, wywołują jedynie odruchy wzrokowe: dla wrażeń wzrokowych brak podścieliska materyalnego. Pies jest absolutnie ślepy, dotknięty „ślepotą korową" *(Rindenblindheit)*.

Co się tyczy innych zwierząt, to u małpy wyłuszczenie jednostronne całéj wypukłości zrazu potylicowego pociąga za sobą t. zw. *hemiopią*, czyli ślepotę połowiczną. Wycinamy, dajmy na to, lewą okolicę wzrokową; małpa nietylko nie poznaje, lecz oraz nie widzi nic, jeżeli obraz przedmiotu pada na lewą połówkę bądź jednéj bądź drugiéj siatkówki, podczas gdy widzi ona i poznaje wszystko, co się odbija na prawéj połówce każdéj siatkówki. Stan taki trwa miesiące, tylko, że zmyślna małpa, dzięki najrozmaitszym ruchom głowy i gałek ocznych, uczy się naprawiać luki, przez hemiopią powstałe, tak samo jak człowiek (lub zwierzę) zdrowy drogą doświadczenia uczy się zobojętniać wpływ t. zw. „miejsca ślepego" na siatkówce. Nie cała siatkówka obdarzona jest własnością odbierania wrażeń świetlnych, lecz wyłącznie zawarte w niéj *sui generis* pierwiastki nerwowe: pałeczki i czopki. Ilość tych ostatnich nie jest wszędzie jednakowa, są zaś dwa miejsca na siatkówce, z których jedno posiada największą ilość czopków i pałeczek; drugie—wcale ich nie posiada. Jeżeli — jak uczy fizyologia—pierwiastki nerwowe siatkówki, a nie inne, są wrażliwe na fale eteru, tedy wrażliwość ta powinna być proporcyonalna do ilości pierwiastków. Jakoż istotnie faktem jest, że sam środek siatkówki, odznaczający się nadzwyczajną obfitością pierwiastków nerwowych i dla żółtego koloru „miejscem żółtém" zwany, jest zarazem najwrażliwszy na bodźce świetlne. O rzeczach, których obraz odbija się na tém miejscu, mówimy, że są widziane prosto, bezpośrednio; temu též miejscu odpowiada okolica *A* zrazu potylicowego, będąca zbiornikiem prawie wszystkich wyobrażeń wzrokowych. Z drugiéj strony, to miejsce, gdzie nerw optyczny zanurza się w siatkówkę, jest zupełnie pozbawione czopków i pałeczek, a przez to i zdolności percepcyjnéj: nazywa się ono „miejscem ślepém". Rzeczywiście, jeżeli kierować okiem tak, iżby obraz przedmiotu odbijał się na miejscu ślepém, zobaczymy tylko próżnię, czyli raczéj nic nie zobaczymy. Jednak każdy z nas uczy się tak patrzéć, by właśnie unikać tego zbiegu, do tego stopnia, że żaden człowiek nawet nie podejrzywa siebie o taki brak w polu widzenia. To samo się dzieje u małpy, dotkniętéj ślepotą połowiczną. Posiada ona prócz normalnych, jeszcze dwa duże miejsca ślepe, które, lubo nie pozbawione czopków i pałeczek, nie są jednak zdolne do percepcyi wzrokowéj dla braku odpowiednich elementów w korze

mózgowéj. Po pewnym atoli przeciągu czasu, małpa uczy się pokonywać brak, którym dotkniętą została, i tak poruszać gałkami ocznemi, by obrazy przedmiotów odbijały się właśnie na zdrowych. tj. pierwiastki korowe posiadających miejscach siatkówek.

W razie gdy wyłuszczone zostały obie okolice wzrokowe, małpa przestaje zupełnie widzieć, dotknięta jest obustronną „ślepotą korową".

Zboczenia wzrokowe, napotykane u człowieka wskutek rozmaitych zmian patologicznych, odpowiadają prawie ściśle tym które Munk wywoływał u zwierząt. Mamy tu więc: 1) ślepotę połowiczną, 2) duchową, oraz 3) halucynacye wzroku.

Charcot i jego szkoła, Fürstner i inni, zebrali pokaźną ilość odnoszących się tu obserwacyi. Co do ślepoty połowicznéj nie różni się ona niczém od tegoż objawu u małp. Człowiek, dotknięty tą chorobą, raz zobaczy przedmiot, drugi raz—nie, zależnie od tego, czy obraz się odbija na części siatkówki, połączonéj z nienaruszoną lub naruszoną okolicą zrazu potylicowego. Przypadek z „ślepotą duchową" u człowieka pierwszy opisał Fürstner (1). Chory np. widzi pigułki, ale nie może ich zliczyć; poznaje litery wogóle, a nie może ich wskazywać w słowie pisaném. Jako szczególny przypadek ślepoty duchowéj uważać należy t. zw. „ślepotę wyrazową" *(Wortblindheit)* (2), która istniéć może obok wzroku zresztą nienaruszonego, oraz przy zdrowym umyśle i przy niezakłóconém wymawianiu. Chory widzi litery, ale nie jest w stanie ująć ich w wyrazy. Van den Abeele opowiada o pewnéj kobiécie, dotkniętéj udarem krwawym, co następuje. Następstwem napadu był bezwład prawostronny, ból nad lewém okiem, pewne osłabienie pamięci i inteligencyi. Mowa była swobodna. Po sześciu tygodniach prawie zupełnie przeminął bezwład, jak również osłabienie pamięci i inteligencyi. Po dwóch miesiącach chora spostrzegła, że utraciła możność czytania. Widziała jasno, rozróżniała kształty liter, nawet jéj się udawało naśladować wzór pisma, lecz nie była w stanie pojąć liter jako słowo, a nareszcie jako myśl. Umiała pojąć treść malowidła, rozwiązać rebus, rozumiała tedy ideograficzne przedstawienie rzeczy, tylko nie pismo.

Halucynacye polegają na reprodukcyi wyobrażeń, która bywa niekiedy tak jasna i silna, że chory wierzy w ich rzeczywiste istnienie. Przyczyna tkwi w podrażnieniu kory, jużto wskutek otrucia, już wskutek przekrwienia lub bezkrwistości. Jeżeli przyczyny te dotykają wzrokowéj okolicy kory, będziemy mieli halucynacye

---

(1) Arch. f. Psychiat. 1878. — (2) Kussmaul. Zboczenia mowy 178 — 186 (przekł. polski).

wzrokowe. Zresztą co się tyczy mechanizmu halucynacyi, nie masz nic pewnego, jeno same hipotezy.

Wszelkie tego rodzaju zboczenia łączą się ze zmianami patologicznemi w zrazach potylicowych. O ile to dotyczy zwierząt, Munk utrzymuje, iż nie dlatego tylko uważa zrazy potylicowe za siedlisko percepcyi wzrokowéj, że wyłuszczenia kory w tych miejscach pociąga za sobą zboczenia wzrokowe; byłby to oczywiście błąd logiczny, stały bowiem nawet zbieg dwu faktów nie oznacza jeszcze związku przyczynowego między nimi. Podstawą jest tu fakt, że obrażenia kory potylicowéj nie wywołują nic innego prócz opisanych wyżéj zaburzeń wzrokowych, te zaś występują nie inaczéj, jak tylko po obrażeniu okolicy wzrokowéj. Oto kilka faktów pośrednio przemawiających za umiejscowieniem percepcyi wzrokowéj w zrazach potylicowych. Monakow (1) znalazł zwyrodnienie nerwów wzrokowych po wyłuszczeniu okolic wzrokowych u młodych zwierząt (szczególny przypadek prawa wzajemnéj zależności funkcyi i organu: wskutek wyłuszczenia kory, nerw optyczny przestaje funkcyonować i dla tego ulega zanikowi). Munk (2) wycinał nowonarodzonym psom po jedném oku, i po kilku miesiącach stwierdził względnie mniejszy rozwój p r z e c i w l e g ł e g o ośrodka wzrokowego (ponieważ nerwy wzrokowe krzyżują się). Za klasyczne uchodzą dwa przypadki, opisane przez Huguenina (3). U osoby, która przeszło 50 lat przed śmiercią zaniewidziała na l e w e oko, sekcya pośmiertna skonstatowała w k o r z e p r a w e g o z r a z a p o t y l i c o w e g o miejsce zanikłe, wielkości pięciofrankówki, zaś w l e w y m zrazie taką samą atrofię, tylko że m n i e j s z ą. 2) Pewien człowiek bardzo mało widział od wczesnéj młodości obustronnie i umarł w 42 roku życia. Znaleziono w tych samych, co i poprzednio okolicach, zanikłe miejsce wielkości dwufrankówki. Również Giovanardi (4) obserwował przy wrodzonym braku oczu, zanik zrazów potylicowych, które nadto były zupełnie oddzielone głęboką brózdą od reszty kory.

Poświęciliśmy tyle miejsca ośrodkowi wzrokowemu, albowiem *mutatis mutandis* wszystko to stosuje się także do okolicy słuchowéj, znajdującéj się w z r a z i e s k r o n i o w y m (5). Mamy więc „głuchotę duchową“ *(Seelentaubheit)*, jako skutek wyłuszczenia dolnego końca zrazów skroniowych (miejsca *B*): pies słyszy wprawdzie, ale nie rozumié tego wcale; uczy się na nowo słyszéć, tak iż po

(1) Arch. f. Psych. Bd. XII, XIV. — (2) Berl. Klin. Woch. l. c. — (3) Exner. Unters. über d. Local. d. Funct., rozdział: Das Rindenfeld d. Gesichtsinnes. — (4) Landois. Fizyologia § 381. — (5) Munk, l. cit.

kilku tygodniach zboczenia znikają. Usunięcie obu zrazów skroniowych sprowadza obustronną „głuchotę korową“ *(Rindentaubheit)*, a jednego zrazu — „głuchotę korową p r z e c i w l e g ł e g o ucha, co dowodzi krzyżowania się nerwów słuchowych. Skonstatowano ośrodek słuchowy u małpy, psa, kota, szakala i królika. U człowieka umiejscowienie percepcyi słuchowéj nie jest jeszcze zbadane szczegółowo. Na uwagę zasługuje tak zw. g ł u c h o t a w y r a z o w a (1) (*Worttaubheit*)—szczególny przypadek głuchoty duchowéj. Chory wprawdzie słyszy, co się mówi, ale nie łączą się u niego wrażenia słuchowe w słowa. Zazwyczaj miesza się to zjawisko z głuchotą ogólną, dopiero bliższe badanie i pilniejsza obserwacya wyświetlają rzeczywisty stan choroby. Osoby, dotknięte głuchotą wyrazową, słyszą wszystko i rozumieją, z wyjątkiem słów. Wraz z „ślepotą wyrazową“, omawiane zjawisko tworzy tak zw. a f a z y ą z m y s ł o w ą, gdyż słowa słyszane i widziane są to jedynie wrażenia i wyobrażenia zmysłowe: słuchowe i wzrokowe (2).

O zmyśle smaku i powonienia mało co wiemy dotychczas, zarówno u zwierząt, jako téż u człowieka; wprawdzie Ferrier i tym zmysłom wyznacza określoną okolicę kory, ośrodek to atoli domyślny raczéj, niż na pewnych doświadczeniach oparty.

IV.

Wniosek, do którego prowadzi teorya umiejscowienia po za obrębem różnorodności funkcyi kory mózgowéj, jest ten, że omawiane funkcye polegają wszędzie na p e r c e p c y i w r a ż e ń i r e p r o d u k c y i w y o b r a ż e ń. Nie jest to bynajmniéj rzecz obojętna. Po większéj części uważano korę mózgową za siedlisko wyobrażeń i wogóle wyższych procesów psychicznych, podczas gdy samę percepcyą umiejscowiano w zwojach podkorowych mózgu. Ztąd wniosek, że po usunięciu półkul mózgowych, wrażenia wciąż trwają, tylko, że w stanie surowym.

Nawet Ferrier, jeden z twórców i koryfeuszów kierunku umiejscowienia w fizyologii, podziela to zdanie. Przez percepcyą zmysłową, czyli sensacyą pojmuje on ś w i a d o m e o d r ó ż n i a n i e wrażeń, nie zaś wrażenia same. Pierwsze znika, drugie nadal trwają, po usunięciu pewnych okolic kory: pierwsze zatém tj. świadome odróżnianie wrażeń, jest funkcyą wyższych ośrodków. Bezwład,

(1) Kussmaul, l. cit. — (2) Jakkolwiek ciekawym jest psychofizyologiczny mechanizm mowy i jéj zboczenia, przedmiot to jednak zbyt obszerny, by mógł być traktowany z całą swobodą w niniejszym artykule: pociągałoby to znaczne rozszerzenie ram artykulu. Dla tego zamierzamy poświęcić mowie osobny artykuł.

ślepota, głuchota korowa, jak nam wiadomo z rozdziału poprzedniego, świadczą wymownie za tém, że *percepcya zmysłowa jest również czynnością kory*. W ten sposób mamy dwa przeciwne wnioski, z których każdy jest oparty na doświadczeniu i obserwacyi. Któryż z nich jest słuszniejszy? Doświadczenia Munka cieszą się większém uznaniem, gdyż są liczniejsze, ściśléj wykonane i najlepiéj harmonizują z ogólnemi pojęciami psychologii współczesnéj oraz zboczeniami, obserwowanemi u ludzi. Przytém wnioskowi Ferriera możnaby jeszcze dwa zarzuty stawić. Przypuśćmy, że świadome odróżnianie wrażeń i same wrażenia są procesami z gruntu różnymi. Otóż jest faktem niezaprzeczonym, że wrażenie powtórzone jaśniéj i jakby świadomiéj się odczuwa, niż wrażenie po raz pierwszy otrzymane. Jeżeli nie za jedyną, to przynajmniéj za jedną z głównych przyczyn tego zjawiska, uważać należy przyłączenie się wyobrażenia, pozostałego po pierwszém wrażeniu, do każdego nowego procesu percepcyi, tak, iż świadome odróżnianie wrażenia jest właściwie procesem złożonym: składa się ono z czystego czucia zmysłowego i domieszki wyobrażenia. Czyż jednak istnieje jakaś zasadnicza różnica między wrażeniem a wyobrażeniem? Bynajmniéj: ostatnie jest odtworzeniem, słabszym stanem pierwszego. Obydwa stany świadomości pociągają za sobą te same skutki: zarówno obelga, jak i jéj wyobrażenie wywołują ten sam gniew, tę samą pogardę; wyobrażenie spodziewanéj rozkoszy niemniéj nas upaja, niż sama rozkosz. W halucynacyi, różnica między wyobrażeniem a wrażeniem zupełnie znika. Wprawdzie wrażenie jest skutkiem podrażnienia, z zewnątrz otrzymanego, zaś wyobrażenie — stanem czysto podmiotowym, wewnętrznym. Ale najczęściéj—a może i za każdym razem, gdyż analiza nie zawsze jest tu możliwa—momentem wywołującym wyobrażenie, bywa ostatecznie również jakieś podrażnienie zewnętrzne. Dość, że zachodzi tu różnica, jak to mówią, tylko ilościowa, nie zaś jakościowa. Tak jeden, jak i drugi stan świadomości polega przedmiotowo na pewnym— dajmy na to — ruchu cząsteczkowym w komórce mózgowéj; tylko, że wrażenie, jako bezpośredni skutek podrażnienia, może być ruchem silniejszym, zaś wyobrażenie, jako skutek pośredni, słabszym. Wobec tego, czyż nie prostszém wydaje się przypuszczenie, iż siedliskiem obu procesów (wrażenia i odpowiedniego wyobrażenia) — obu rodzajów ruchu—jest ta sama komórka *korowa*? Dla czego mamy jeden umiejscawiać w komórce korowéj, drugi—w podkorowéj? Ferrier powinien był dowieść, że wyobrażenie i wrażenie *nie mogą* być funkcyami téj saméj komórki. Tymczasem Exner, na mocy swych obserwacyi zmuszonym się widzi przyjąć, że już

nietylko dwie postaci jednego zjawiska, ale dwa zasadnicze i jakościowo różne zjawiska psychiczne — wrażenie dotykowe i innerwacyjne — mają za siedlisko jednę komórkę kory mózgowéj. Wyszliśmy z przypuszczenia, że odróżnianie wrażeń i same wrażenia są to dwa procesa różne, i doszliśmy do wniosku, że są one własnościami jednéj komórki: to jeden zarzut. Drugi jest głębszy, gdyż samo przypuszczenie (tj. wniosek Ferriera) jest nieuzasadnione. Znaczy ono bowiem, że świadomość dwu wrażeń i świadomość ich różnicy są różnemi zjawiskami, podczas gdy właściwie są jedném i tém samém zjawiskiem. Czuję różnicę dwu wrażeń, odczuwając je kolejno lub spółcześnie. Bain uważa to za zasadniczy warunek wszelkiéj świadomości, zasadnicze prawo psychologii. Różnica dwu wrażeń tkwi już w nich samych, jest od nich nieodłączna. Gdy wrażenie trwa ciągle i jednostajnie, nie towarzyszy mu świadomość, nie wiemy o niém. Skoro tedy mamy tu do czynienia z dwoma faktami, wobec których analiza psychologiczna jest zupełnie bezsilna, możnaż mówić o jakiémś anatomiczném rozgraniczeniu takich faktów? Ferrier popełnia tu jeszcze grubszy błąd psychologiczny.

Kiedyśmy już weszli na drogę krytyki psychologicznéj, nie od rzeczy będzie wytknąć jeszcze jeden błąd, popełniany powszechnie przez fizyologów umiejscowienia. Utrzymują oni, jawnie lub milcząco, że wyobrażenia t k w i ą w komórkach kory mózgowéj, jako ślady wrażeń; wycinając kawałek kory, usuwają oni tém samém t k w i ą c e w n i m wyobrażenia. Słusznie nazywa Wundt taki sposób myślenia zmodyfikowaną frenologią. „Jeżeli stara frenologia błędnie przypisywała pewnemu zbiorowi pierwiastków złożoną władzę duchową, tedy błąd jéj młodszéj siostry na tém polega, że przedstawia ona pojedyncze rzekome pierwiastki psychiczne, mianowicie wyobrażenia, jako wcielone w pierwiastkach morfologicznych organów ośrodkowych. Pogląd taki jest podwójnie mylny. Najprzód bowiem, każde z tych wyobrażeń, które się tu za pierwiastki psychiczne uważa, np. wyobrażenie wzrokowe, wyrazowe, jest w rzeczywistości wytworem w najwyższym stopniu złożonym, przypuszcza zatém zawiłą współczynność licznych pierwiastków ośrodkowych. Powtóre (zarzut to może jeszcze ważniejszy), wyobrażenia nie są substancyami, lecz funkcyami“ (1). Wyżéj rozbierając zapatrywanie Ferriera, przedstawiliśmy najlepsze spółczesne poglądy na naturę wrażenia i wyobrażenia. Dodajemy do tego jeszcze następujące uwagi. Fizyologiczną podstawą wrażenia i wyobrażenia jest pewna modyfikacya komórki korowéj, pewien ruch cząsteczkowy.

(1) Wundt, *loco cit.* Bd. I, 213.

Gdy znika percepcya, komórka wraca do pierwotnego stanu, zachowując jednak zdolność powtarzania tego ruchu, gdy zajdą odpowiednie warunki. To co nazywamy odtworzeniem wrażenia, wyobrażeniem, jest tylko powtórzonym ruchem cząsteczkowym, zachodzącym w komórce. O żadném przeto tkwieniu wyobrażenia w komórce mowy być nie powinno. Gdy nie jesteśmy świadomi pewnego wyobrażenia, znaczy to innemi słowy, że go nie masz, lub że ruch cząsteczkowy komórki, będący przyczyną a raczéj stroną przedmiotową wyobrażenia, jest nader słaby. Przemawia za tém fakt, że przecież nie jesteśmy ciągle świadomi naszych wyobrażeń, a powinnoby było tak być, gdyby wybrażenia tkwiły w naszych komórkach. Przedstawiony pogląd na istotę wyobrażenia pozwala stosować ten termin do całego układu nerwowego i mówić o zdolności powtarzania téj saméj czynności automatycznie, bez udziału zewnętrznéj przyczyny, jako atrybucie wszelkiéj substancyi nerwowéj.

V.

Teraz możemy przejść do wyższych czynności psychicznych, tych mianowicie, które obejmujemy zwykle mianem inteligencyi. Psychologia asocyacyjna przyjmuje tylko dwa zasadnicze fakta psychiczne: percepcyą zmysłową i zdolność kojarzenia wyobrażeń; z tych dwu danych wyprowadza ona wszelkie złożone stany psychiczne, nie wyłączając i tych, które filozofowie szkoły intuicyjnéj uważają jako dane nam *à priori*, a więc wszelkie „formy spostrzegania" i „kategorye umysłu". Jakież są *correlata* fizyologiczne téj psychologii? Co się tyczy przedewszystkiém percepcyi zmysłowéj i reprodukcyi wyobrażeń, są to, jak wiadomo, procesy, w komórkach kory zachodzące. Ponieważ stopień inteligencyi mierzy się ilością wyobrażeń, możemy zatém za miarę wyższych procesów psychicznych uważać ilość pierwiastków morfologicznych, zawartych w korze mózgowéj. Ilość tę Meynert i Bain (niezależnie od siebie) podają na 1 miliard u człowieka. Dwa fakta, nierozerwalnie ze sobą spółistniejące: 1° najwyższy stopień inteligencyi, oraz 2° niesłychana ilość pierwiastków nerwowych w korze człowieka, dostatecznie przemawiają za umiejscowieniem wyższych spraw duchowych w korze półkul. Z drugiéj strony, stopień inteligencyi mierzy się jeszcze bardziéj sumą kombinacyi zasadniczych procesów. Meynert (1) wykazał w półkulach mózgowych istnienie dwoja-

(1) Stricker's Handb. d. Lehre von d. Geweben, Bd. II, 698.

kiego rodzaju dróg łączących: układ spoidłowy i kojarzący. Półkule mózgowe łączą się u dołu za pomocą t. zw. spoidła wielkiego i spoidła przedniego. Włókna tych spoideł łączą ze sobą identyczne miejsca obu półkul, np. dwie komórki potylicowe, skroniowe itd., a więc kojarzą zachodzące w nich procesy psychiczne. Prócz tego, w każdéj półkuli znajduje się niezliczone mnóstwo włókien łukowatych, łączących dwie rozmaite okolice kory. Że między stopniem inteligencyi i układem asocyacyjnym istnieje związek konieczny, dowodzą następujące spostrzeżenia: 1° im niżéj stoi zwierzę pod względem umysłowym, tém mniéj rozwinięty posiada ono układ asocyacyjny, i na odwrót; 2° u idyotów skonstatowano nieznaczną ilość substancyi białéj w półkulach; 3° Flecksig znalazł u dzieci nowonarodzonych bardzo małą ilość substancyi białéj, natomiast znacznie rozwinięte zwoje podkorowe, w miarę zaś rozwoju dziecka, coraz więcéj rozwiniętą białą masę.

Rozumié się, wobec tego wszystkiego, umiejscowienie inteligencyi w ograniczonéj okolicy kory jest niemożliwe. Inteligencya—powiada Meynert (1), jest czynnością całéj kory. Mechanizm mózgowy mieści w sobie pierwiastki, niezbędne w procesie wnioskowania. Półkule mózgowe przedstawiają cały system wszędzie działających przyrządów wnioskowania, ponieważ w budowie ich powtarzają się połączenia odosobnionych pęczków projekcyjnych za pomocą układów kojarzących. Tegoż zdania jest Munk (2) „Inteligencya ma swe siedlisko wszędzie w korze półkul i nigdzie w szczególności, gdyż jest ona ogółem i wypadkową wszystkich wyobrażeń, pozostałych po wrażeniach. Wszelkie obrażenia kory wywołują zaburzenia w inteligencyi, i tém większe, im obrażenie było rozleglejsze, zawsze z powodu utraty owych grup wyobrażeń prostych i złożonych, które wynikają z wrażliwości dotkniętych okolic. Bezwład, ślepota, głuchota duchowa są właśnie zaburzeniami inteligencyi, są one bowiem skutkami braku wyobrażeń odpowiednich".

Wprost przeciwnym jest pogląd Hitziga i Ferriera. Przedewszystkiém rzuca się w oczy fakt, że ośrodki czynnościowe (t. j. zmysłowe lub ruchowe) nie zajmują całéj kory, że z przodu okolicy ruchowéj znajduje się jeszcze niezajęty pas zrazu czołowego (3). Naprowadza to na domysł, że być może w tém miejscu mieści się siedlisko wyższych czynności psychicznych. Za tym do-

---

(1) Zur Mechanik d. Gehirnbaues, *passim*, jako też Anatomie d. Hirnrinde w Leidesdorf's Lehrbuch d. psych. Krankheiten, 1865. — (2) Arch. f. Physiol. 1878. — (3) Hitzig. Zeitschrift f. Ethnol. Bd. VI.

mysłem, zdaniem Hitziga (1), przemawiają następujące spostrzeżenia: 1° Niemota (afazya) następuje po zmianach, zachodzących w określoném miejscu zrazu czołowego (zawój Broca w lewym zrazie czołowym). 2° Względny rozwój zrazów czołowych u rozmaitych zwierząt. „Nieznaczny rozwój części czołowych, ale dobrze wyróżniać się dający ich zarys u psa, w zupełności odpowiada niedostatecznemu wykształceniu wyższych spraw duchowych u tego zwierzęcia; zaś mniéj inteligentny kot posiada części czołowe mózgu bardziéj jeszcze zredukowane. Z drugiéj strony, już u niższych małp znajdujemy znacznie uwydatnione zrazy czołowe, a przegląd tego rzędu ssaków wykazuje coraz większy ich rozwój tak pod względem masy, jako téż zróżnicowania". 3° „Po wyłuszczeniu zrazów czołowych u psa, nie spostrzegamy najmniejszych zaburzeń czynnościowych, bez względu na to, czy obrażenie było powierzchowne, czy téż bardzo głębokie". Ferrier (2) w zupełności potwierdził doświadczenie Hitziga. Po wyłuszczeniu u małp obu zrazów czołowych, znalazł on stan niedołęstwa umysłowego, wyraźne uszkodzenie inteligencyi i zdolności do uważnego spostrzegania. Wzrok, słuch, smak, powonienie, dotyk, zdolność ruchów dowolnych całkowicie zachowane, również apetyt, instynkty i ruchy wyrażenia (*Ausdrucksbewegungen*). Widoczne były jednak wyraźne jakieś zboczenia w charakterze i zachowaniu się zwierząt. Były one apatyczne, tępe, odurzone: odpowiadały jedynie na świeże bodźce, lub téż zachowywały się niespokojnie, chodząc bez celu tam i napowrót. Ferrier (3) wyciąga ztąd wniosek, że w zrazach czołowych mieszczą się ośrodki powściągające, których czynność polega na pewném wewnętrzném oddziaływaniu na funkcye ośrodków ruchowych. Ośrodki powściągające są siedliskiem owych procesów fizyologicznych, które z podmiotowego stanowiska nazywamy uwagą, ta zaś rozwija się równolegle i w stosunku prostym do inteligencyi i myślenia. Zdolność uwagi i skupiania myśli jest nieznaczna i niezupełną u idyotów z wadliwym rozwojem zrazów czołowych; te ostatnie są również małe i w wysokim stopniu zredukowane u niższych zwierząt, odpowiednio do inteligencyi i siły refleksyjnéj, Przeciwnie u człowieka, odznaczającego się największą inteligencyą, znajdujemy téż najbardziéj rozwinięte i zróżnicowane zrazy czołowe.

Przyjrzyjmy się bliżéj tym *par excellence* frenologicznym wnioskom. Że niemota bywa skutkiem procesów patologicznych w t.

(1) Arch. f. Physiologie, 1874.—(2) Ferrier. Functionen d. Gehirns, 1879, 286 i nast.
(3) *Loco cit.* 324 i nast.

zw. zawoju Broca, to prawda. Ale 1-o, mowa jest sprawą zarówno zmysłową, jak i ruchową, zaś zawój Broca w zrazie czołowym lewym jest właśnie siedliskiem procesów ruchowych mowy, zmiany patologiczne, zachodzące w tém miejscu, wywołują niemotę ataktyczną: obrazy wzrokowe liter, obrazy słuchowe dźwięków mownych istnieją nadal, utracone zostały natomiast owe wyobrażenia innerwacyjne, których pobudzenie jest niezbędném do wprawiania w odpowiedni ruch organów mowy. Jeżeli zatém mamy, aż trzy ośrodki mowy artykułowanéj: w zrazie czołowym —innerwacyjny, skroniowym — słuchowy i potylicowym — wzrokowy, w jakiż więc sposób można jeden z nich łączyć specyficzne z inteligencyą? 2-o Nie masz bezwzględnego ośrodka mowy, tj. ośrodka, którego uszkodzenie sprowadzałoby nieodwołalnie i zawsze afazyą. Istnieją, z jednéj strony, miejsca kory, których obrażenie wywołuje niemotę, z drugiéj strony — mamy w literaturze przypadki uszkodzenia zawoju Broca bez najmniejszych objawów niemoty (1). 3-o. U osób afatycznych, a tém bardziéj u niemych od urodzenia, bynajmniéj proces myślenia nie znika. Jeżeli nawet przypuścimy pewne osłabienie inteligencyi, to na téj saméj zasadzie, na jakiéj wszelkie obrażenie kory sprowadza ten sam objaw, tj. po prostu dla tego, że znikła grupa wyobrażeń, znikł jeden z licznych czynników, składających się na tak zawiły proces, jak myślenie. Chybaby należało przyjąć, że bez wyrazów niemożliwym jest proces myślenia, a to już jest, co najmniéj, kwestyą nierozstrzygniętą.

Niemniéj wątpliwém jest przypuszczenie, jakoby między rozwojem inteligencyi i rozwojem zrazów czołowych bezpośredni zachodził związek. Ferrier powiada, że u idyotów znajdują się wadliwie rozwinięte zrazy czołowe, ale też jednocześnie i inne zrazy półkul w takim samym są stanie. Pojedyńczym wypadkom z całkowitym brakiem lub szczególnym zanikiem zrazów czołowych można przeciwstawić inne wypadki, gdzie te części mózgu są właśnie normalne. Wprawdzie jest ogromna różnica pomiędzy psem a małpą pod względem inteligencyi i rozwoju zrazów czołowych; ale w takim razie dziwném jest nadzwyczaj, że jeszcze większa różnica intelektualna pomiędzy człowiekiem a małpą, tak mało się odbija na zrazach czołowych pierwszego. Jeżeli tu wogóle o jakiémś przeciwstawianiu może być mowa, to jedynie o przeciwstawianiu całéj kory jednego całéj korze drugiego zwierzęcia. Pozostają jeszcze dane czysto doświadczalne. I tu Munk (2) dochodzi do

(1) Exner, l. cit. str. 53.— (2) Munk. Ueber d. Stirnlappen d. Grosshirns (Berichte d. Berliner Akad. 1882).

wręcz przeciwnych rezultatów. Po wyłuszczeniu kory z przodu okolicy ruchowéj, znalazł on u psa — bezwład mięśni grzbietowych, u małpy — grzbietowych i karkowych; drażnienie elektryczne tych okolic kory wywoływało ruchy wskazanych grup mięśniowych. Co więcéj, przeglądając literaturę patologiczną, dotyczącą idyotów, małogłowych lub przypadków z rozległemi obrażeniami zrazów czołowych, Munk niejednokrotnie miał sposobność konstatować krzywy grzbiet, zgięcie do przodu itd., obok całkowicie normalnych ruchów kończyn.

Z tego wszystkiego, cośmy mówili o umiejscowieniu inteligencyi, łatwo się przekonać, jak sprzeczne są ze sobą zarówno wnioski, jak i same obserwacye w omawianéj tu dziedzinie zjawisk psychicznych. Żadna z wygłoszonych teoryi nie obejmuje wszystkich obserwacyi, nie uwzględnia wypadków ujemnych, i dla tego żadna z nich nie jest wystarczająca. Że jednak umysłowi ludzkiemu trudno jakoś obejść się bez wszelkiéj hipotezy, ponieważ — jak to kiedyś wyrzekł Haeckel — i najśmielsza, najbłędniejsza hipoteza jest zawsze lepszą, niżeli żadna, przeto Wundt (1) wystąpił z teoryą pośrednią, a w gruncie z modyfikacyą teoryi Hitziga i Ferriera. Dziwna to zaiste rzecz, iż Wundt, tak krytycznie zapatrujący się na umiejscowienie czynności zmysłowych i ruchowych, nie waha się bynajmniéj z przyjęciem lokalizacyi tak zawiłego procesu duchowego, jak inteligencya. Postaramy się przedstawić tę hypotezę *ipsissimis verbis* znakomitego filozofa.

Za punkt wyjścia służą mu te same obserwacye, któreśmy wyżéj przytoczyli, gdy była mowa o teoryi Hitziga i Ferriera. Wnosić z tego jednak, że „czynności duchowe mają swe siedlisko w okolicy czołowéj mózgu, byłoby również błędem, jak umiejscawiać wolę w okolicy ruchowéj lub czynności mowy w trzecim zawoju czołowym. Wszystkie te obserwacye dowodzą jedynie, że w okolicy czołowéj mieścić się winny pierwiastki, które dostarczają ogniw pośrednich procesom fizyologicznym, towarzyszącym czynnościom intelektualnym". Na uwagę zasługuje fakt „bezpośredniego sąsiedztwa okolicy ruchowéj kory, jakoteż téj, która bierze udział w czynnościach mowy". Otóż „okolicę czołową mózgu uważać możemy za podścielisko procesów fizyologicznych, towarzyszących apercepcyi wyobrażeń zmysłowych. Przypuszczamy tedy, że wrażenia zmysłowe dopóty pozostają w stanie percepcyi, dopóki pobudzenia ośrodkowe ograniczają się do właściwych ośrodków zmysłowych; przeciwnie apercepcya ich, czyli

(1) L. c. 216—224.

uważne ujęcie, łączy się stale z jednoczesném pobudzeniem pierwiastków czołowych. Dodajmy jeszcze, że uwaga okazuje się najjaśniejszą, odnośnie do wspomnień i w ten sposób powiększa siłę wrażeń zmysłowych, których dotyczy, wtedy hipoteza procesu, towarzyszącego apercepcyi, będzie następująca: Organ apercepcyi posiada drogi przewodnicze dwojakiego rodzaju: dośrodkowe, doprowadzające doń wszelkie, w całém ciele zachodzące pobudzenia zmysłowe, i odśrodkowe, które doprowadzają wychodzące z organu apercepcyi podniety do ośrodków zmysłowych i ruchowych. Zależnie od tego, dokąd idą te przedmioty: do ośrodków zmysłowych lub ruchowych, mamy apercepcyą wrażeń zmysłowych lub wykonanie ruchów dowolnych. Bardzo jednak często oba dwa procesy odbywają się jednocześnie: apercepujemy jakieś wyobrażenie i jednocześnie wykonywamy jakąś odpowiadającą mu czynność zewnętrzną"... Podług hipotezy, towarzyszące apercepcyi procesy fizyologiczne bynajmniéj się nie koncentrują w oznaczoném miejscu mózgu; pierwiastki „organu apercepcyi" są niczém, jeno pośredniemi ogniwami całego procesu, wprawdzie niezbędnemi, ale zawsze tylko w tém znaczeniu, w jakiém uważamy za niezbędny ten lub inny ośrodek do uskutecznienia wszelkiéj czynności złożonéj. „Sam proces fizyologiczny jest tu jedynie sumą wszystkich do organu apercepcyi doprowadzanych i wychodzących zeń podniet. Całe znaczenie téj okolicy jedynie i wyłącznie na tém polega, że brak jéj usuwa wszystkie w mowie będące procesy, podczas gdy usunięcie jakiegolwiek innego współdziałającego ośrodka uniemożliwia tylko jednę część apercepcyi. Tak np. wyłuszczenie zmysłowego ośrodka mowy czyni niemożliwą apercepcyę słów, ale apercepcya wrażeń wzrokowych i prostych wrażeń słuchowych trwa nadal".

Cała oryginalność téj hipotezy polega na tém, że organ apercepcyi uważany jest za punkt zbieżny dla wszelkich wrażeń a jego czynność za równoległą z czynnością innych ośrodków korowych. Nie wymaga się tu żadnéj specyficznéj własności pierwiastków organu apercepcyi; przeciwnie, Wundt jest zaciętym przeciwnikiem wszelakich specyficznych energii nerwów lub komórek mózgowych. Czynność organu apercepcyi, zależy wyłącznie od położenia i stosunku do innych ośrodków. W każdym razie pamiętać należy, że jest to hipoteza, i jako taka powinna czynić zadość dwom wymaganiom: harmonizować z ogólnym duchem spółczesnéj psychologii i z faktami, zdobywanymi na drodze wewnętrznéj i zewnętrznéj obserwacyi. Co do pierwszego wymagania, nikt go nie jest w stanie

zadowolnić w większym stopniu, aniżeli właśnie Wundt, którego dzieło wolném jest od przesądów zarówno starych jak i nowych fizyologów. Za to o drugiém wymaganiu trudno powiedzieć coś pozytywnego; o tém wyrokować mogą tylko przyszłe badania. Wiadomo zaś, że nieraz najprostsze doświadczenia wyprawiają największe psoty różnym hipotezom i systematom. Bądźcobądź możemy z całą słusznością ograniczyć (jakkolwiek nie odrzucić zupełnie) twierdzenie Langego (1), że „nie podobna postawić ani jednego zdania o mózgu i duszy, któregoby nie obaliły fakty". Gdyby Lange był dożył do naszych czasów i poznał nowszą literaturę fizyologiczną i patologiczną, byłby z pewnością zmienił swe zdanie, i wówczas może zbyt nieoględnie wyrzeczone w zasłużenie znakomitém dziele.

A. Grosglik.

---

(1) Historya materyal., t. 2. str. 309.





KODEKS CZARNOGÓRZA.[1]

Dzień 25 marca r. 1888 pozostanie dniem pamiętnym w dziejach uspołecznienia Czarnogórza. W dniu tym, obecnie panujący książę Mikołaj I zatwierdził i ogłosił nowy kodeks, nadając mu miano: Powszechny Zakonnik majątkowy dla księstwa Czarnéj Góry (Opszti imovinski Zakonik za kniaževinu Crnu Goru).

Ogłoszony kodeks, już od dnia 1 lipca r. z. wprowadzony został w wykonanie i o ile nas dochodzą wiarogodne wiadomości, korzystnie funkcyonuje.

Pracę przygotowawczą i samę redakcyą Zakonnika wykonał za zezwoleniem i upoważnieniem Cesarza Aleksandra II i Cesarza Aleksandra III, profesor prawa uniwersytetu Odeskiego dr. Baltazar Bogiszycz, z rodu patrycyuszów dubrownickich, mąż niepospolitéj, rozległéj nauki i głęboki znawca obyczajów i praw południowych Słowian, od dawna rozgłośnie znany w świecie naukowym (2).

Praca cała, poddawana kilkakrotnie pod szczegółowy rozbiór wybranych przez księcia osób, przy ciągłym osobistym jego udziale, zajęła około piętnastu lat czasu (3). Sam redaktor w osobném piśmie wyłożył główne zasady, jakich się trzymał w jéj dokonaniu (4).

---

(1) Dotąd rozbiorem i ocenieniem kodeksu zajęli się: ekonomista Toubeau (*La propriété et la famille au Monténégro d'après le nouveau Code civil* w *La Nouvelle Révue* Paris 1888. III. p. 66. 85), członek Instytutu paryskiego Dareste (*Le nouveau Code civil du Monténégro.* Paris, 1888, Picard), profesor uniwersytetu Warszawskiego Siegel („Powszechny Zakonnik majątkowy dla Księstwa Czarnogórskiego" r. 1888), dr. Spasowicz w *Kraju* N. 3 r. b.

(2) Główne prace d-ra Bogiszycza, poświęcone zbadaniu zwyczajów prawnych i praw Słowian południowych, są: *Pisani Zakoni na Slovenskom Jugu.* U Zagrebu 1872. *Zbornik sadasznjih prawnih obiczaja u jużnih Slovena.* U Zagrebu 1874.

(3) Prof. Siegel w powołaném powyżéj piśmie, dokładnie opisał szczegółowe przejścia podjętéj roboty. — (4) *Quelques mots sur les principes et la methode suivis dans la Codification du droit civil au Monténégro.* Paris. 1888. Pichon.

Aby ile możności znaczenie tej nowej, wielce ciekawej pracy prawodawczej, jasno przedstawić, uważamy za właściwe rzucić okiem na przebieg całej historyi Czarnogórza i podać krótką wiadomość o poprzednich pracach ustawodawczych, podjętych w tym kraju. Ułatwi to nam następnie, oznaczenie stanowiska, jakie zajął nowy kodeks względnie dotychczasowego społeczeństwa i jakie przygotował drogi dla rozwiązania wyższych zadań.

Kiedy Turcy ku końcowi wieku XIV złamali potęgę Serbii i kraj różnemi kolejami losu przechodził, to pod ich władzę, to pod zarząd Węgrów, jedna tylko jego część południowo-zachodnia (Zeta), zachowała swą niepodległość, lecz i ona musiała być drogo okupiona (1). Niemogąc własnemi siłami oprzeć się, co raz natarczywiej wznawianym napaściom Islamu, trzeba było wezwać pomocy sąsiedniej potężnej Wenecyi, opłacając takową ustąpieniem najpiękniejszych ziem przymorskich. Nareszcie książe Jan Czernojewicz (2) przyparty przez Turków (r. 1479), opuścił południową część kraju i przeniósł rezydencyą swą w góry północne. Tak uszczuplony kraj, utworzył dzisiejszą Czarnogórę, lecz nie długo już cieszył się swemi staremi książętami. W r. 1499 Grzegorz syn Jana władzę swą przelał na władykę czyli metropolitę cetyńskiego i opuścił na zawsze rodzinną swą ziemię.

Opisanie ciągłych morderczych walk, jakie odtąd aż do dni naszych staczać znowu byli zniewoleni Czarnogórcy w obronie swej niepodległości, a które pokryły ich wieczną sławą, nie jest naszym zamiarem; raczej zwróćmy uwagę na wewnętrzny ustrój ich społeczeństwa.

Zmiana władzy, jej właściwy charakter, nieustanne wojny o istnienie z dnia na dzień, i obficie wyradzające się z nich zatarg graniczne i łupieżne napady, nie sprzyjały wytworzeniu się tego, co nazywamy rządem centralnym i uporządkowaniu prawidłowemu stosunków społecznych. Vuk Karadzicz opisując w roku 1837 Czarnogórę, powiada: że choć w niej dostrzegają się zarody różnych kształtów rządu, że jednak w rzeczywistości kraj pozostaje bez regularnego rządu (3). Jakoż w istocie, każde plemie, każden ród (bractwo) i każda familia, pod swemi starszynami rządziła się sama w sobie, wedle własnej woli. Sądownictwo było wyłącznie plemienne i rodowe, przytem wymierzanie sobie samemu sprawiedliwości

(1) Najdokładniej historyą Czarnogórza przedstawia dzieło G. Chludina: *Storia del Montenegro.* Spalato 1882.

(2) O Czernojewiczach ważną pracę zawdzięczamy członkowi Akademii nauk wiedeńskiej Mikłoszicowi: *Die serbischen Dynasten Crnojevics.* Wien 1886.

(3) *Montenegro und die Montenegriner.* Stuttgard 1837, Cotta str. 30.

niemal uprawnione. Sąd, jakkolwiek podtrzymywał zachowanie prastarych zwyczajów prawnych, często ustępował okolicznościom i załatwiał sprawy raczéj zgodnym sposobem, niż prawnym porządkiem. W tym stanie rzeczy, społeczeństwo ciągle było nurtowane zwaśnieniami, a co gorsza wystawione na częste wybryki zemsty krwawéj. Zgodę i trwalszy pokój wewnętrzny właściwie sprowadzała tylko wojna. W chwili wybuchu wojny, głuchły namiętności i cały naród, w zgodzie, z bratnim poświęceniem łączył się w jednym celu i stawał pod bronią. Na szczęście w trudnych położeniach, zbawienny moralny wpływ władyki, ratował społeczeństwo, a mądre, rozważne i wytrwałe zabiegi dwóch ostatnich metropolitów Piotra I i Piotra II wielce pomyślnie pokierowały losami kraju. Im winien téż kraj, że wytwarzać się poczęła możność zajęcia się pracami ustawodawczemi.

Pierwszym ważniejszym aktem prawodawczym (1) Czarnogórza, była ustawa władyki Piotra I, złożona z dwóch części, jednéj z r. 1796, drugiéj z r. 1803, a obejmująca w sobie 33 artykuły (2). Główném jéj zadaniem było: powściągnąć zemstę krwawą i wszelkie wymierzanie sobie samemu sprawiedliwości. Do celu tego doprowadzić miało oznaczenie skuteczniejszych kar za ważniejsze przestępstwa i zaprowadzenie regularnego, że się tak wyrazimy, społecznego sądownictwa, na miejsce sądownictwa plemiennego i rodowego. Każden Czarnogórzec, któryby zabił rozmyślnie Czarnogórca, nie miał już miéć prawa do odkupienia się (3), lecz miał być skaza-

---

(1) Pierwsze wydanie Uchwały znajdujemy u Popowa: *Podróż po Czarnogórzu*. Petersburg 1847. Drugie u Jireczka: *Svod Zakonu Slovanskych. Praga* 1880.

(2) Dokładny zarys Ustawy Piotra I następnego Zakonnika Daniły I winni jesteśmy p. Darestowi, w obszerném dziele noszącém tytuł: *Etudes d'histoire du droit* (Paris 1889 Larose), poświęconém zbadaniu porównawczemu starożytnych prawodawstw. Znalazły w niém miejsce i prawa wszystkich plemion słowiańskich.

(3) G. Popowicz w dziełku: *Recht und Gericht in Montenegro*, Agram, 1887, na str. 87—90 podaje następujący ciekawy opis aktu przebłagania i okupienia krewnego upoważnionego zwyczajem do spełnienia zemsty krwawéj: „Mściciel (oświetnik), zwyczajnie ojciec, syn, brat albo inny krewny zabitego czyha na życie zabójcy (krwnik). Aby ochronić się od zemsty zabójca prosi swych przyjaciół o przejednanie go ze mścicielem. Przyjaciele przekonawszy się, że mściciel da się przeprosić, powinni mu złożyć podarek (dar). Przychodzi więc pewnego poranku przed dom skłonnego do przeproszenia mściciela czyli tak zwanego *umirnika* dwanaście kobiet z dwunastu kolebkami, mając w każdéj po jednemu chłopięciu, a przed kolebkami dwunastu starszyn z rodu zabójcy. Wtedy umirnik występuje z domu, a starsi wołają: *przyjmij dwunastu błagających*, *prosimy na Boga*, *św. Jana i weź co się podoba*. Czasem umirnik pokazuje się niesklonnym do pojednania, więc trzeba się przed nim stawić trzy razy i dopiero za trzeciem razem wygłasza, że się da przeprosić: *dobrze zgadzam się na zaprzedanie mego brata*, *pogodzę się*, *ale wy mnie musicie dać* 10 *cekinów*, *w zakład* (wiera) *dotrzymania pokoju*, *a moję krew ma sądzić dwudziestu czterech*

ny na śmierć przez powieszenie albo ukamienowanie albo rozstrzelanie, a w razie gdyby z kraju zbiegł, majątek jego miał być zajęty i w jednéj połowie oddany krewnym zabitego, a w drugiéj przyznany jako ziemska kara (gleba). Zbiega takiego, gdziekolwiekby się napotkało, wolno téż było zabić. Tak samo mieli być karani dopuszczający się zemsty krwawéj na niewinnym krewnym zabójcy, jako i ci, którzy dopuszczą się łupieży i rabunków pogranicznych. Za kradzieże, w miejsce dotychczasowych opłat, postanowiono chłostę od 20 do 100 razów, a za każde czynne zelżenie aż 50 dukatów opłaty.

Ustawa zaprowadzając nowe sądownictwo, dokładnie oznacza obowiązki sędziów i ich odpowiedzialność, zapewniając im powszechne uszanowanie i stosowne wynagrodzenie za trudy. Ale, aby ostatniemu temu warunkowi zadość uczynić, należało po raz pierwszy zaprowadzić obowiązek opłacania podatku.

Zbawienne te postanowienia nie odniosły wprawdzie zaraz bezpośredniego skutku, zaszczepiły jednak w społeczeństwie przeświadczenie o wyższym porządku rzeczy i otworzyły przystęp do powolnego przejęcia się pojęciami i poczuciami nowszéj kultury (1). Przeświadczeniom tym był téż winien władyka Piotr II, że w roku 1831, za zgodą zgromadzenia narodowego utworzył senat, który w ręce swoje objął cały wewnętrzny zarząd kraju i miał być zarazem najwyższym w kraju sądem. Tak zrodziła się w Czarnogórzu nie tylko idea rządu centralnego, ale w istocie i faktycznie rząd takowy pod formą senatu, obok zwierzchnika kraju, funkcyonować zaczął i dotąd funkcyonuje; trzeba tylko było doczekać się sprzyjających wypadków, aby rozpoczęte dzieło uspołecznienia kraju, w miarę nastręczających się okoliczności, co raz daléj posuwać. Część pracy téj, trudnéj ale wdzięcznéj podjął téż skutecznie następca Piotra II, Daniło, pierwszy znowu książę świecki Czarnéj Góry.

---

starszyn, których ja wybiorę. Za krew moję będę żądał 133 1/2 *cekinów*, 1 1/2 *piastra*, 1 1/2 *para*. Wyrzekłszy te słowa umirnik zbliża się i odsłoniwszy głowę, całuje jedno chłopię w kolebce; poczém jedenastu jego krewnych całuje resztę chłopiąt. Umirnik obwieszcza zaraz nazwiska wybranych przez siebie 24 starszych, którzy mają sądzić krew. Starsi z kolebkami wracają do domu zabójcy, który zwołuje całe swe bractwo i prosi, aby go bronili i wspierali itd. Wyrok przysądzający spłatę za krew brzmiał tak: *W imie Chrystusa Pana* (data) *Amen. Zeszliśmy się i w imie Boga, my* 24 *starszyny i ich synowie, cośmy w sądzie siedzieli, w zwykłém miejscu, stosownie do zwyczaju ziemi, zasądziliśmy za ś. p. N. N.* 133 1/2 *dukatów* 1 1/2 *piastra i* 1 1/2 *para*...

(1) Już Piotr I w Ustawie swéj, dla poparcia zaprowadzonych porządków, kilkakrotnie powołuje się na przykład narodów europejskich.

Już w cztéry lata po objęciu rządów, za zgodą naczelników (gławarów) i starszyn ogłosił dnia 25 kwietnia 1855 roku: Powszechny ziemski zakonnik (Obsztyi ziemalski Zakonik) (1), czyli jakby go słusznie nazwać można, fundamentalne prawo kraju, mieszczące w sobie prawo publiczne, karne, celniejsze rozporządzenia z prawa cywilnego i zarys prawa administracyjnego.

Cały Zakonnik składa się z 95 artykułów. Pierwsze 26 artykułów poświęcone zapewnieniu zasadniczych gwarancyi i prawu publicznemu. Wszyscy Czarnogórcy są równi w obliczu prawa. Cześć ich, majątek, życie i osoba zabezpieczone. Książe, jako władca kraju, jest osobą nietykalną. Kto na osobę księcia lub godność jego targnie się, karany będzie śmiercią. Książe ma prawo ułaskawienia od kary śmierci. Ubezpieczona godność sędziów, oznaczone ich obowiązki i postanowione kary za ich przekroczenia. W razie zéwnętrznego napadu, wszyscy obowiązani natychmiast stanąć pod bronią. W czasie pokoju wzbronione wszelkie na zewnątrz napady. Kto za granicą popełni przestępstwo, karze się tak, jak gdyby je popełnił w kraju.

W części prawa karnego (art. 27—42) powtórzone i dopełnione rozporządzenia Ustawy Piotra I. Dodana kara za świętokradztwo, za podpalenie, za dzieciobójstwo. Trzecia kradzież karana śmiercią. Jako kara śmierci dla mężczyzn postanowione wyłącznie rozstrzelanie, a majątek zbiegłego zabójcy idzie już całkowicie na skarb i zbieg nie może nigdy do kraju powrócić.

Między rozporządzeniami z zakresu prawa prywatnego, zwracają na siebie uwagę: postanowienia o formie aktów sprzedaży nieruchomości, o prawie wykupu, o nieograniczonéj swobodzie rozporządzania osobistym majątkiem, o spadku w majątkach osobistych, o wdowach, o formie zawierania małżeństwa, o rozłączeniu małżonków i o władzy rodzicielskiéj.

Potwierdzony wreszcie obowiązek składania datku na ogólne potrzeby ziemskie. Kto wyłamuje się od tego obowiązku, ma być uważany za zdrajcę i nieprzyjaciela ojczyzny. Obowiązek zbierania podatku i wnoszenia go do kasy ziemskiéj włożony, pod surową odpowiedzialnością, na głowarów i starszyny.

Porównywając Zakonnik ten z Ustawą poprzednią, przyznać należy, że kraj w ciągu lat 50 pod względem uporządkowania we-

---

(1) Tekst Zakonnika podaje H. Jireczek: *Svod Zakonuv Slovanskych*. Praga 1880. Tłómaczenie francuskie sporządził *Delarue*, b. sekretarz Danila w dziele: *Le Monténégro*. Paris. 1857. Niemiecki przekład wydany w Wiedniu r. 1859: *Gesetzbuch Daniel's* I. Czeski przekład ogłosił Jezbera w Pradze, 1864: *Zakonnik samostatnych Czernohorcuv*.

wnętrznych swych stosunków i rozwinięcia swego ustawodawstwa, zrobił ogromne postępy, zwłaszcza jeśli się zważy, że naczelnicy kraju w pracach swych ustawodawczych, często zmieniających dawne porządki, napotykali zawsze na najchętniejsze współdziałanie starszyn.

Pod wpływem tych ciągłych zabiegów, zemsta krwawa znika, nowe ustawodawstwo ogranicza wszechwładność sądów plemiennych i rodowych, zarząd centralny coraz więcéj rozwija swą działalność, władza księcia otacza się niezwykłą powagą i powszechném uznaniem, a co jeszcze ważniejsze widoki na ostateczne wywalczenie niepodległości wzmagają się.

Czarnogórze nareszcie zdobywa swą niepodległość, uznaną traktatami międzynarodowemi. Odtąd zabłysnęły dla kraju, nieznane dotąd dni pokoju.

Chwila ta wywołuje przełom stanowczy w jego dziejach. Zmieniły się od razu zadania życia. Nie idzie już teraz wyłącznie o zabezpieczenie z dnia na dzień istnienia, ale o wytknięcie życiu do rozwiązania nowych szlachetniejszych zagadek.

Zasługa wielka, dziś panującego księcia Mikołaja, że oceniając trafnie to położenie, powziął zaraz myśl obdarzenia swego narodu pełnym kodeksem praw, aby za pośrednictwem jego wprowadzić naród na trwałe tory pokojowe i zbliżyć go do społeczeństw więcéj naprzód posuniętych, w rzędzie których zajmował dotąd choć świetne, ale anomaliczne stanowisko.

Szczęśliwie powołany do spełnienia ważnéj téj pracy redaktor, rozpoznawszy i oceniwszy dokładnie stosunki kraju, bardzo właściwie zauważał, że pozostawiając na uboczu zajęcie się prawem karném i administracyjném, które tylko częściowo i powoli w miarę potrzeby wytwarzać się powinny, iż tymczasowo wyłącznie zająć się należy ułożeniem kodeksu prawa cywilnego, jako podwaliny, na któréj ma się oprzéć stopniowy wyższy rozwój prywatnych stosunków społecznych.

Z myślą zajęcia się wyłącznie ułożeniem kodeksu cywilnego, powstała atoli zarazem druga myśl, aby na razie w skład jego, weszły tylko stosunki majątkowe, wszystko zaś co wchodzi w zakres prawa familijnego, w ścisłém znaczeniu tego wyrazu, zostało zeń wykluczone.

Równie trafnie rozwiązane zostało pytanie, skąd wziąć główny wątek do zamierzonéj pracy. Redaktor nie wahał się przyjąć za zasadę, najprzód, że za podstawę specyalnych instytutów użyty być zawsze winien dotychczasowy starodawny zwyczaj prawny, a następnie, że wszelkie rozwinięcia i dopełnienia, o tyle są do-

puszczalne, o ile wprost wiążą się z tém, co zwyczaj uświęca i co odpowiada głównemu zadaniu, otwarcia nowych dróg, dla dalszego rozwoju użytecznéj pracy społeczeństwa.

Wychodząc z tego stanowiska, czekała przedewszystkiém redaktora mozolna i bardzo drobiazgowa praca zbadania i konstatowania zwyczajów prawnych, a następnie dokładnego ich sformułowania. Była to taka sama praca, jaką kiedyś podjęto we Francyi, kiedy uznano za konieczne przystąpić do oficyalnego zredagowania zwyczajów prawnych różnych prowincyi i zreformowania ich w widokach zbliżenia do siebie i skierowania ku wyższym, wspólnym celom. O ile praca ta we Francyi, przy układaniu kodeksu cywilnego, okazała się użyteczną, dostatecznie wiadomo. Tak samo i praca naszego redaktora, choćby nawet nadszedł czas wstrząśnienia cząstkowego podwalinami dawnego zwyczaju, zachowa na zawsze niezaprzeczoną wartość w nauce, jako skodyfikowanie starego prawa zwyczajowego Słowian południowych, a zarazem jako ważna składowa część nowego kodeksu.

Aby dokładniéj ocenić tę pracę, zwłaszcza w tym zakresie, który stanowi główny przedmiot rozporządzeń kodeksu, uważamy za stosowne przedstawić, jakie wyrobiły się były z dawien dawna w Czarnogórzu pojęcia o własności i wynikających z niéj zobowiązań, tak w związku z całym ustrojem społeczeństwa, jako i z organizacyą familii, a które redaktor obowiązany był szanować i uważać za punkt wyjścia całéj swéj pracy (1).

W Czarnogórzu, w zwyczajnym porządku, nie ma właściwie własności indywidualnéj ziem, znana tylko na nieruchomościach własność kolektywna. Ziemia w Czarnogórzu należy w części do plemion, w części do rodów (bractw), a w większéj części do pojedyńczych familii. Cząsteczka jéj jest własnością klasztorów i korporacyi. Ziemię plemion i bractw tworzą lasy i pastwiska, a użytkowanie z niéj przysługuje familiom. Reszta ziemi rozdzielona jest między familie. Każda familia w całym swym składzie posiada swój obszar ziemi i jest wyłączną jego właścicielką. Wyjątek od téj ogólnéj reguły, tworzy ziemska własność osobista, przysługująca jednéj tylko osobie, wrazie gdy osoba ta zostanie wydzieloną, lub gdy cała familia wymrze i pozostanie z niéj ta tylko osoba, lub gdy otrzyma ziemię przez dar albo spadek. Osobisty

---

(1) Stan zwyczajów prawnych i ustawodawstwa w Czarnogórzu, bezpośrednio przed ogłoszeniem kodeksu, przedstawia nieźle zacytowane dziełko G. Popowicza.

majątek ziemski, przestaje atoli nim być i zamienia się w majątek kolektywny, jak tylko właściciel jego zawrze małżeństwo i obdarzony zostanie potomstwem.

Majątek familii składa się prócz saméj ziemi, z tego wszystkiego, co na niéj wzniesiono lub urządzono, z całego inwentarza i przyboru gospodarskiego i z tego wszystkiego, co członkowie familii pracą swą, czy to w domu, czy po za domem zarobią. Wszyscy członkowie familii, bez względu na pokolenie, do którego należą, żyją we wspólności majątkowéj i mają w téj wspólności pewną idealną część, która im przypada na przypadek wydzielenia ich z familii. Ojcu w majątku wspólnym, przypada taki sam dział idealny, jaki mają dzieci. Bracia względnie siebie mają także równe działy idealne. Zatém idzie daléj, że jeśli familia składa się z kilku pokoleń, wtedy prawa ojców do wspólnego majątku są te same, a dzieci ich mają już tylko prawo do działu, który przypada na ich ojców. W tém położeniu rzeczywiście w Czarnogórzu nie ma sukcesyi, tylko idealna część w majątku wspólnym przypadająca zmarłemu, przyrasta do części idealnéj albo jego dzieci, albo braci. Sukcesya otwiéra się tylko w majątku osobistym.

Kobiety wyłączone są od własności ziemi, chyba, że ją posiadają jako majątek osobisty.

Majątek ziemski familijny nie może być inaczéj sprzedany, jak za zgodą członków familii.

W razie sprzedaży ziemi, bliscy sprzedawcy, mogą występować z prawem bliskości i wykupu.

Majątkiem osobistym można rozporządzać podług swéj woli na rzecz dzieci, krewnych lub obcych.

Familie oddzielne, tworzą tak zwane zadrugi. Są one proste, jeśli familia składa się z jednego ojca i jego potomstwa, złożone, jeśli się składa z kilku pokoleń razem żyjących. Zwyczajnie familie na Czarnogórzu liczą po dwadzieścia i więcéj osób, gdyż życie we wspólności, przedstawia dotąd najwięcéj wzajemnych korzyści.

Na czele zadrugi stoi domaczin, najstarszy z familii, albo jeden z jéj członków podług wyboru. On zarządza i kieruje interesami familii. Zwykle żona jego, jako domaczica prowadzi całe gospodarstwo domowe.

Ponieważ wszystko co zarabia pracą swą każdy członek familii, przechodzi na wspólność, przeto familia obowiązana jest zaspakajać zaciągnięte przez niego długi i opłacać kary pieniężne i wynagrodzenia, na jakie zostanie skazany.

Oddzielnych zobowiązań prócz sprzedaży, dzierżawy ziemi, domów, młynów, najmu bydła i trzody, pożyczek mała tylko liczba i to bez stałego ich uregulowania.

Redaktor, zachowując główniejsze z tych principiów, starał się przez zmodyfikowanie ich lub dopełnienie, skierować całość, jak to nadmieniliśmy, ku wyższym celom i zbliżyć do zasad powszechnie uświęconych w nowszych prawodawstwach.

Przedstawiamy ważniejsze i celniejsze modyfikacye i dopełnienia.

Wyróżniono posiadanie od prawa własności. Posiadacz, nieprawnie w posiadaniu zaniepokojony lub z niego wyparty, nie powinien sam sobie sprawiedliwości wymierzać, lecz ma prawo w ciągu trzech miesięcy od czasu spełnienia nagabania, domagać się sądownie, aby przywrócony został do spokojnego posiadania.

Akt sprzedaży nieruchomości powinien być nietylko, jak dawniejsze postanowienia mieć chciały, sporządzony na piśmie i podpisany przez sprzedającego i świadków, ale dla uzyskania prawnéj mocy, winien być zatwierdzony przez sąd.

Tytuł własności na ruchomościach nabywa się przez tradycyą ich kupującemu.

Sprzedający nieruchomość w akcie sprzedaży, może sobie zastrzedz prawo pierwszeństwa kupna, w razie odprzedawania jéj przez nabywcę, lecz nie więcéj, jak w ciągu lat 5o.

Przy sprzedażach nieruchomości zachowany starodawny zwyczaj ofiarowania kupna bliskim (krewnym, sąsiadom, mieszkańcom osady), lecz zastrzeżono, że jeśli bliscy zostaną zawiadomieni o zamierzonéj sprzedaży i z zawiadomienia tego nie korzystają w ciągu jednego tygodnia, upadają w swém prawie, wrazie zaś gdyby nie zostali zawiadomieni, że mają prawo wniesienia swéj reklamacyi w ciągu jednego miesiąca od zatwierdzenia przez sąd sprzedaży.

Jako środek nabycia nieruchomości przyjęta dawność, czyli spokojne, w dobréj wierze posiadanie przez przeciąg piętnastu lub trzydziestu lat, w miarę tego, czy posiadający jest w stanie udowodnić prawny swój tytuł posiadania, czy téż zbywa mu na tym środku.

Podobnie zastosowana dawność do nabycia własności na ruchomościach w ciągu lat pięciu lub piętnastu.

Dokładnie zebrane i sformułowane gatunki własności osobistéj (osobiny). Do dawnych zasad zwyczajowych dodane tylko nowe, bardzo ważne prawidło, że poczytuje się także za własność osobistą wszystko to, co nabędzie członek familii własną pracą, jeśli familia dozwoliła mu pracować na siebie. Prawidło to ułatwi rozpowszechnienie się użytecznych rzemiosł.

Własność osobistą kobiety tworzy posag, oraz wszystko, co w chwilach wolnych od zajęć domowych, własną pracą zarobi i co otrzyma przez dar lub spadek.

Własnością osobistą może każdy rozporządzać podług własnéj swéj woli, wszakże za wyłączeniem kobiet zamężnych i wdów, które w tym względzie, na wzór nowszych prawodawstw, poddane zostały niejakim ograniczeniom.

Na szczególniejszą uwagę zasługują rozporządzenia nowe, przyjęte w celu ubezpieczenia wspólnego majątku familijnego. Jedynie domaczin ma prawo, działać w imieniu familii i zobowiązywać się za dom, na którego czele stoi, osobiste długi sam spłaca ze swego osobistego majątku. Podobnie każdy domaczyc (członek familii) za długi zaciągnięte bez zezwolenia domu, odpowiada wyłącznie swoim osobistym majątkiem, chyba że dług zaciągnięty został z konieczności, w razach, w których pracował na rzecz domu. Równie za popełnione przestępstwa domaczyc odpowiada sam ze swego majątku, wyjąwszy przypadki, w których dom miał sposobność zapobiedz popełnieniu bezprawia, i tego nie uczynił lub sam w dokonaniu jego uczestniczył. Jeśli na spłatę długów domaczyca nie wystarcza jego majątek osobisty, wtedy familia winna mu wydzielić jego dział w ciągu dwóch miesięcy, a jeśli tego nie uczyni, sama za niego płaci. Domaczin za roztrwonienie majątku familijnego poddany ścisłéj odpowiedzialności.

Dla zapewnienia swobodnego i prawidłowego użycia własnością gruntową i zapobieżenia licznym sporom, w zakres kodeksu wprowadzone zostały rozporządzenia o służebnościach, obrobione ze szczególną starannością. Redaktor rozdziela służebności na dwa główne rodzaje: służebności wynikające z sąsiedztwa ziem nimi obciążonych, czyli służebności naturalne, i umówne. Mianowicie rozporządzenia o irrygacyach, jako jedném z najważniejszych w kraju źródeł pomyślności gospodarstwa rolnego i pastewnego, godne uznania.

W rzędzie rozporządeń o zobowiązaniach i prowadzących do nich umów, odznaczają się bardzo szczegółowe postanowienia o różnych gatunkach najmu ziemi, domów, zakładów, bydła, najem do wykonania pewnych robót, układ o udzieleniu sobie wzajemnéj pomocy przy wykonaniu oznaczonych prac, układ o zachowanie części uzbieranego nawozu i dostawienie w tym celu bydła i trzody na paszę. Pomoc w pracy, udzielona z miłosierdzia wdowie, sierocie lub nędzarzowi, nie daje prawa do wymagania pożywienia przez czas jéj trwania.

Pożyczka pieniędzy daje prawo do pobierania procentu prawnego po osiem od sta na rok. Umówny procent może dochodzić do 10-ciu od sta.

Co do zaciągniętych z gry zobowiązań przyjęte rozporządzenia nowszych prawodawstw.

Kto przyjmie pieniądze na skład konieczny, obowiązany jest w razie użycia ich na własne potrzeby, zapłacić od nich, w miarę zachodzących okoliczności, aż do dwudziestu od sta.

Urządzona hypoteka, mająca być utrzymywana przez sądy, tylko termin wprowadzenia jéj w wykonanie jeszcze nieoznaczony.

Za rok pełnoletności oznacza nowy kodeks lat 21, zmieniając w tym względzie dawny zwyczaj podług którego lat 20 dawało pełnoletność. Nowy termin może być wszakże skrócony do lat 18-stu, skoro sąd uzna w proszącym pełną zdolność do samorządu lub proszący zawiera małżeństwo i zakłada oddzielne gospodarstwo.

Kodeks urządza też kuratelę nad nieobecnemi, nad wdowami i spadkiem wakującym.

Przytoczmy wreszcie jeszcze jedno nader ważne postanowienie.

Podług Zakonnika Daniła, syn mógł wystąpić ze wspólności familijnéj i otrzymać swój wydział, tylko wtedy, gdy to zgadzało się z widokami jego rodziców; obecnie każdy syn pełnoletni ma prawo żądać wydzielenia go, gdy się żeni i zakłada osobne gospodarstwo. Jest to krok ważny w kierunku rozwolnienia stosunków, wynikających z organizacyi zadrugi.

Metoda obrobienia i uporządkowania kodeksu, oraz redakcya nie pozostawiają nic więcéj do życzenia.

W układzie przedmiotów i następstwie po sobie pojedyńczych rozporządzeń, redaktor trzymał się téj prostéj zasady, aby pojęcia najprostsze, postawione były ile możności na czele, za nimi dopiero pojęcia więcéj złożone i bardziéj abstrakcyjne.

Kodeks rozdzielony jest na sześć działów, a działy w miarę potrzeby na rozdziały.

Pierwszy dział wstępny w 25 artykułach podaje zasadnicze przepisy o stosowaniu rozporządzeń w nim zawartych i o ich legalnéj obronie.

Drugi dział (art. 26—221) poświęcony wykładowi przepisów o własności i prawach rzeczowych.

Trzeci dział (art. 222 — 493) ma napis o kupnie i innych umowach. W nim pomieszczone same tylko specyalne rozporządzenia. Dopiero w dziale czwartym (494—635) są podane ogólne postanowienia o umowach i zobowiązaniach.

Dział piąty (636—766) wykłada przepisy o osobach (obejmując pod tém nazwiskiem i osoby moralne) i uzdolnieniu ich prawném do rozporządzania swém dobrem. W dziale tym objęte są roz-

porządzenia o wspólności familii, o prawach plemion, rodów (bractw), klasztorów, kościołów i rządu w zakresie ich praw majątkowych.

Ostatni dział szósty zawiera: objaśnienia, definicye, dopełnienia. W nim na końcu zebrane i dodane na wzór Digestów Justyniana reguły prawne. Dodatek ten w myśli redaktora ma przyczynić się do zaszczepienia w Czarnogórzu ogólnych pojęć prawnych, na których mu dotąd zbywa, co naturalnie stopniowo da się osiągnąć, jeśli sądy przejmą się uczuciem potrzeby ścisłego i jednostajnego stosowania przepisów kodeksu.

Cały kodeks liczy 1031 artykułów.

Sama redakcya rozporządzeń pojedynczych jest ciągle jasna, zastosowana do pojęć zwykłych narodu i odznaczająca się niezwykłą precyzyą. Trudność w tworzeniu wyrazów technicznych prawnych, na których zbywało, szczęśliwie pokonana.

Jednem słowem, nowy kodeks Czarnogórza, ze względu na szlachetne swoje dążenia i na staranne obrobienie, zajął nietylko bardzo poważne miejsce w gronie dzisiejszych prac prawodawczych, lecz przewyższa je nawet często rzeczywistą swą wartością. Szczególniéj téż, biorąc na uwagę praktyczne potrzeby społeczeństwa, dla którego jest przeznaczony, redaktor jego godzien jest szczeréj pochwały, że w innowacyach swoich nigdy nie posunął się za daleko i umiał się utrzymać w granicach bezpośredniéj użyteczności i możliwéj wykonalności. Zresztą wszystkie nowe rozporządzenia były na miejscu poddane kilkokrotnemu rozbiorowi i uznane zostały za potrzebne i użyteczne.

R. Hube.





SIENKIEWICZ I KACZKOWSKI.

H. Sienkiewicz. Potop, 6 tomów.—Pan Wołodyjowski, 3 tomy.—*Z. Kaczkowski,* Olbrachtowi rycerze, 3 tomy, Lwów. 1889.

Druga z kolei wielka powieść Sienkiewicza p. n. „Potop“ wzbudzała w czytelnikach nie mniéj zajęcia jak pierwsza „Ogniem i mieczem“, nie mniéj gorączkowo była pochłaniana, nie mniéj wywoływała uwielbienia w rozmowach. Trzecia natomiast: „Pan Wołodyjowski“, kończąca cykl, znacznie chłodniéj przyjętą została i jakby tylko dla „konsekwencyi“ była chwalona.

Zachowanie się krytyki w czasopismach było teraz zupełnie inne aniżeli przy pojawieniu się „Ogniem i mieczem“. Gdy wówczas po każdym niemal ustępie, daleko przed ukończeniem całości, pojawiały się w dziennikach nie tylko wzmianki, ale i przesadne pochwały, gdy wzywano publicznie krytyków do zabierania głosu; a po ukończeniu natychmiast posypały się całe szeregi entuzyastycznych rozbiorów, ci zaś, którzy nie we wszystkiém autora chwalić mogli, byli poczytywani niemal za heretyków;—o „Potopie“ już się odzywano mniéj, analizy pojawiały się leniwie; skala entuzyazmu obniżyła się; najzapaleńsi dawniéj chwalcy zaczęli, przy całém uwielbieniu dla talentu Sienkiewicza, dopatrywać stron słabych w jego drugiém dziele. O „Panu Wołodyjowskim“ wreszcie napomykano prawie już półgębkiem tylko.

Było to oczywiście zwykłym wynikiem naszego usposobienia gorączkowego: w początkach płoniemy jak świece, niebawem dymimy jak kaganki. Niepodobna wszakże nie zauważyć w tym objawie i innych także czynników.

Najprzód, niewątpliwie głosy chłodniejsze, które się o powieści „Ogniem i mieczem“ słyszéć dały, musiały, choćby ubocznie, oddziałać na zapalonych wielbicieli, co miary w pochwałach swych

znaleść nie mogli i aż do zestawiania powieści Sienkiewicza z „Panem Tadeuszem“ uciekać się potrzebowali. Wykryły te głosy, że „Ogniem i mieczem“ nie jest taką doskonałością, za jaką ją podać chciano, że obok wspaniałych wizerunków ludzi i położeń, było tam dużo nieprawdy historycznéj i psychologicznéj, dużo naciągań i nieprawdopodobieństw, praktykowanych w dawniejszém powieściopisarstwie, ale z dzisiejszego starannie rugowanych. Choćby kto nic wiem jak był zaślepiony w sądzeniu dzieł sztuki, takie wywody, spokojnie, bez namiętności, ze szczeréj chęci przyczynienia się do rozjaśnienia prawdy podane, musiały przecie zrobić pewien skutek; bezwiednie może w umyśle przesadnych chwalców pozostały ślady mniemań przeciwnych i uczyniły ich ostrożniejszymi zarówno w przyjmowaniu wrażeń z następnych dzieł tegoż autora, jako téż w głoszeniu swych zachwytów.

Powtóre, treść i duch „Potopu“ oraz „Pana Wołodyjowskiego“ może także bezwiednie, dla krytyków ze sfery arystokratycznéj nie mogły być w tak wysokim stopniu sympatyczne jak treść i duch „Ogniem i mieczem“. Tu była w pewnéj mierze, w osobie Wiśniowieckiego, apoteoza oligarchii naszéj XVII wieku, przez wskazywanie (wbrew dziejom) jéj płomiennéj miłości dla kraju, jéj rycerskiego animuszu i jéj wzniosłéj pobożności; a tam przeciwnie w Januszu i Bogusławie Radziwiłłach, Radziejowskim, Opalińskim, wystawił autor zwyrodnienie téj oligarchii, przepaścistą, niczém napełnić się nie dającą jéj pychę, ambicyę, samolubstwo, żądzę władzy, prowadzące do zdrady i wyrzeczenia się własnéj ojczyzny, gdy przeciwnie cnotę, męstwo, poświęcenie przyznał nieznanym wśród arystokracyi, skromnym rodom szlacheckim Czarnieckich, Kmiciców, Wołodyjowskich, ba, takim mieszczanom z rodu jak Kordecki, lub chłopom góralom. W „Ogniem i mieczem“ byli wprawdzie także i to na pierwszy plan wysunięci przedstawiciele szlachty (Skrzetuski, Podbipięta, Wołodyjowski), ale pomimo wszelkich przyznanych im czynów bohaterskich, byli oni właściwie akolitami tylko, a wielkim celebrantem książę Jeremi, boć oblężenie Zbaraża stanowiło środkowy punkt całego utworu. Czyny pojedyńczych rycerzy-szlachty służyły tylko do tém świetniejszego i wypuklejszego przedstawienia wielkiéj postaci oligarchy. W „Potopie“ i „Panu Wołodyjowskim“ jest wprost przeciwnie. Tu jednostki z pomiędzy szlachty występują w roli zbawców kraju wśród najstraszliwszéj zawieruchy nieszczęść, oligarchowie zaś w roli nikczemników, co tylko swoje prywatne interesa pragnęliby uratować i egoizmowi osobistemu lub kastowemu dogodzić bez względu na to, co z krajem się stanie. Takie obrazy nie mogły być rozpatrywane z upodobaniem przez wiel-

bicieli bohaterstwa księcia Wiśniowieckiego z „Ogniem i mieczem“, bo choćby nawet w rozważaniu dziejów przyznawali im trafność i prawdę, to przecież woleliby zapewne, ażeby taki sąd o oligarchii pozostał w dziełach historycznych a nie przenosił się do utworów sztuki jako działających na ogół bardziéj bezpośrednio i skuteczniéj niż wywody ściśle naukowe. Gdyby takie obrazy namalowane były przez którego z powieściopisarzów o silnie zaznaczonych demokratycznych rysach, to możeby krytycy z owéj sfery arystokratycznéj znaleźli sposobność do krzyków o zohydzanie przeszłości dla tendencyi; ponieważ jednak zrobił to twórca postaci księcia Jeremiego, nie poczytali mu za grzech wystawienie prawdy dziejowéj, ale niesmak swój wewnętrzny wyrazili chłodniejszém przyjęciem „Potopu“ i zdaniem o jego niższości artystycznéj w porównaniu z pierwszą powieścią.

Tymczasem, jeżeli zechcemy w rozpatrywaniu dzieła sztuki usunąć od siebie, o ile podobna, wszelkie uprzedzenia czy arystokratyczne czy demokratyczne, a zastanowić się wyłącznie nad pomysłem i sposobem jego wykonania, to „Potopowi“ przyznać wypadnie i pod względem szerokości pomysłu i pod względem roboty artystycznéj pierwszeństwo nad „Ogniem i mieczem“.

Rozstrój wewnętrzny i cały szereg klęsk wojennych w początkach panowania Jana Kazimierza pociągał ku sobie już niejednego powieściopisarza jako wyborny temat do rozsnucia wielkich, wzruszających obrazów. Pierwszy pokusił się o to Michał Czajkowski w „Stefanie Czarnieckim“ (r. 1840) i w swoim czasie wywarł bardzo silne wrażenie, które jednakże następnie słabło z każdym niemal rokiem tak, że wreszcie książka poszła w zupełne zapomnienie. Bardzo słaba znajomość dziejów, urywkowość traktowania scen wzniosłych, luźność kompozycyi, a przedewszystkiém brak prawdy psychicznéj i plastyki są tak wybitnie ujemnemi cechami tego utworu, że niepodobna przypuścić, ażeby on kiedykolwiek jeszcze mógł zwrócić na siebie uwagę. Po Czajkowskim, dwóch równocześnie r. 1852 wystąpiło znakomitych powieściopisarzów, rozsnuwających wątek historyczny z czasów Jana Kazimierza—w zupełnie odmienny sposób. Kraszewski w „Kordeckim“, idąc trop w trop za pamiętnikiem oblężenia Częstochowy, napisanym przez wielkiego przeora paulinów, dał obraz podniosły treścią, ale słaby wykonaniem tak dalece, że nawet pierwiastek najważniejszy, jaki zgodnie z „Gigantomachią“ chciał rozwinąć, tj. nastrój religijny, nader ułomnie został uzewnętrzniony. Jest to szczegółowa, a nawet drobiazgowa kronika, bez artystycznych zalet. Rzewuski przeciwnie, z prawdą dziejową mijał się często, lecz tworzył śmiało, z niezwykłą siłą, postaci żywe

i psychologicznie prawdziwe, tak, że jego „Rycerz Lizdejko“ pod względem artyzmu tuż obok „Listopada“ postawionym być może. Teorye arystokratyczne autora, obficie tu rozlane, można pominąć; w zapatrywaniu się na wartość moralną i polityczną wystawionych przez niego figur, można zupełnie rozejść się z autorem, ale niepodobna mu odmówić umiejętności malowania ludzi i niepospolitéj werwy w opowiadaniu. On pierwszy wprowadził u nas do dziedziny powieści świetną artystycznie postać Bogusława Radziwiłła i jego dworu, on pierwszy przedstawił działalność rycerską oddziałów partyzanckich, dowodzonych przez ludzi o przybranych imioniskach.

Sienkiewicz w pojęciu grozy położenia dziejowego, za czasów owego „potopu“, miał ułatwione zadanie nie tylko przez wyliczonych tu poprzedników na polu powieściopisarstwa, ale téż przez badania naukowe nowszych czasów. Przejął się nawskroś poczuciem téj grozy i umiał jéj nadać wyraz artystyczny prawdziwie wspaniały. Nigdy przedtém nie malował charakterów i scen z taką śmiałością, siłą, brawurą, nieraz w zdumienie wprawiającą, jak właśnie w „Potopie“. Możnaby powiedzieć, że w „Ogniem i mieczem“ są dopiéro rozkwitające pączki tego pysznego kwiatu, jakim rozkoszujemy się w drugiéj powieści. Autor pisząc, rozgrzewał się i potężniał. Takie sceny, jak uczta na zamku Janusza Radziwiłła, rozmowa tegoż z Kmicicem, w któréj, starając się go sobie pozyskać, oligarcha rozwija całą moc swego sofistycznego umysłu, rozmowa Olenki z Kmicicem, w któréj ta wypowiada swą wzgardę dla zaprzedańca sprawie prywatnéj a jednak nie może z swego serca wyrwać miłości, pogoń Kmicica za Bogusławem Radziwiłłem, bitwa w Tatrach, epizody z oblężenia Częstochowy, tak się wpijają w wyobraźnię czytelnika, że niemal na jego własność przechodzą, świadcząc o nadzwyczajnéj potędze plastycznego talentu u autora. To co dawniéj w drobnych rysach przedstawiał, tutaj rozwija się w przepysznych obrazach, kreślonych ręką pewną, niewątpiącą, że nie zawiedzie oczekiwań mistrza-artysty. Sienkiewicz zużytkował po swojemu, i to w sposób gienialny, postać Bogusława Radziwiłła i pomysł wprowadzenia owych kup partyzanckich, jakie Rzewuski pierwszy wystawił; co więcéj robiąc Kmicica pod imioniskiem Babinicza główną postacią swego utworu, na tych oddziałach ześrodkował prawie całą jego akcyą, a przynajmniéj chciał na nich skupić uwagę czytelnika. Pod względem wykonania, czyli „roboty“ artystycznéj „Potop“ nie ma dotychczas równego sobie w powieściopisarstwie naszém.

Nie znaczy to, żebym poczytywał „Potop“ za rzecz doskonałą bezwzględnie.

Bo przedewszystkiém owa brawura w wykonaniu, świadcząca o śmiałości pióra i bogactwie wyobraźni, niecałkiem może być nazwana oryginalną. Jeżeli nie u naszych dawniejszych powieściopisarzy, to u francuskich znaléźć mógł i pobudkę i zachętę Sienkiewicz do podobnego traktowania przedmiotu. Jak w „Ogniem i mieczem“ osoby i sytuacye przypominają „Trzech muszkieterów“ Dumasa ojca, tak parę scen w „Potopie“, że tylko dla przykładu przytoczę pogoń za Bogusławem, ma analogie uderzające z dalszym ciągiem owéj Dumasowskiéj epopei p. n. „W dwadzieścia lat późniéj“. Oczywiście, ażeby umiéć po swojemu odtworzyć sytuacye podobne, potrzeba miéć talent i to duży, taki, jaki posiada Sienkiewicz; ale jest w tém jakaś słabostka, gdy się w wykonaniu posługujemy obcym wzorem.

Następnie, przesadził autor zbyt wielką ilością bitew. Prawda, że czas wojenny musi być scharakteryzowany tém, co go najbardziéj znamionuje; prawda, że w Iliadzie przedstawiona jest znaczna liczba utarczek; prawda, że Sienkiewicz umie nadać wielką rozmaitość swoim opisom walk, tak, iż dwu do siebie zupełnie podobnych, nigdy nie nakreślił; ale przyznawszy to wszystko, i podziwiając niezmierne zasoby wyobraźni powieściopisarza, musimy zrobić uwagę, iż dla względów artystycznych należało autorowi uczynić ustępstwo ze swych zamiłowań w malowaniu batalij, bo w dziele sztuki, jedna dobrze opisana bitwa wybornie zastępuje całe dziesiątki bitew rzeczywistych. Taka jest rąbanina w „Potopie“, że czytelnik może być nieco zdziwiony, iż Szwedów jeszcze tak dużo zostało... Co w Iliadzie jest dobrém, to niekoniecznie ma być świetném i za naszych czasów w powieści. Oczywiście, gdyby z „Potopu“ wyrzucić większą część bitew i utarczek, toby się całość dała zawrzéć w trzech, a może i w dwu tomach zamiast sześciu; zdaje mi się jednak, że dzieło nie straciłoby na tém, owszem, stałoby się spójniejszém i przedstawiałoby, pod względem kompozycyi, większą jedność artystyczną, gdy obecnie jako całość jest świetnie, barwnie, malowniczo wykonaną „kroniką“, która mogłaby się ciągnąć w nieskończoność, boć małżeństwo Kmicica nie jest właściwie żadną granicą nieprzekraczalną czy chronologicznie czy artystycznie, a więc bić się on może i daléj, a tymczasem nowe pokolenia coraz narastają i mogą się bić równie dzielnie jak i on. Pomimo całéj rozmaitości, jaką Sienkiewicz potrafił nadać swoim opisom bitew, nowych motywów w porównaniu z „Ogniem i mieczem“ wprowadził do nich niewiele; chyba tylko dzielna rozprawa w górach całkiem nową nazwać się może.

Wątek powieściowy, który jedną nicią spaja w pewną całość rozpierzchłe części téj „kroniki“, jest w zasadniczych punktach na-

śladowanym z „Anuncyaty“ Kaczkowskiego. Sam pomysł dzielnego niewieściego charakteru, nie tylko umiejącego władać sobą, lecz i wpływać na inne, unoszone próżnością, pychą, szałem, znakomicie, lubo nie bez wad, przeprowadzony w postaci saméj Anuncyaty, odżył w Olence Sienkiewicza spotęgowany, świetniejszy od pierwowzoru, ale niewątpliwie od niego zależny. Podobnież Józef Bierzyński, człowiek niepowszednio uzdolniony, ambitny, próżny, umiejący jednak w końcu opanować swe słabości, pozbyć się prywaty a służyć krajowi pod przybraném nazwiskiem, zmartwychwstał w Kmicicu-Babiniczu, stokroć dzielniejszy i głębszy, a w tysiącu swoich bohaterskich czynów graniczący tuż-tuż z nieprawdopodobieństwem. Wreszcie myśl poszukiwania rehabilitacyi w czynach wojennych, w zaparciu się siebie, w poświęceniu, myśl natchniona przez miłość, jest zarówno w „Anuncyacie“ jak w „Potopie“ dominującą, najważniejszą. Takie podobieństwa nie mogą być przypadkowe; trudno przypuścić, ażeby Sienkiewicz nie czytał „Anuncyaty“. W chwili koncepcyi, mógł on uważać główny pomysł za swój własny, nie przypominając już sobie, że tenże w głowie jego został w formie śladu po przeczytaniu utworu Kaczkowskiego.

Nie myślę bynajmniéj wysnuwać z tego zestawienia jakichś posądzeń o plagiat. Takie podobieństwa spotykamy u daleko większych pisarzów, niż autor „Potopu“, np. u Słowackiego w stosunku do Szekspira i Byrona. Dla dzisiejszych pisarzów, którzy mają przed sobą tylu poprzedników i tyle książek do przeczytania, świeżość, oryginalność pomysłu staje się rzeczą coraz trudniejszą, bo ostatecznie, wchłonąwszy w siebie takie mnóstwo myśli i obrazów, niejeden może być w niepewności, czy to, co się zjawia razu pewnego w jego umyśle jest samodzielnym wytworem, czy téż reminiscencyą tylko; niejeden w danéj chwili może być najszczerzéj sam przed sobą przekonany, że mówi i pisze niezależnie od wszelkiego wzoru, gdy w rzeczywistości zależność taka udowodnić się daje przedmiotowo. Tak się najpewniéj stało i z Sienkiewiczem. O tyle jest samodzielnym, że ś w i a d o m i e nie potrzebował i nie chciałby kopiować pomysłów obcych; ale pomysły te mimowiednie nasuwają się jego wyobraźni, a on zajęty jest główme artystyczném ich obrobieniem. Dokonywa tego w sposób świetny, tak, że czytelnicy zapominają łatwo, iż pierwowzory, lubo słabiéj malowane, już się dawniéj zjawiały przed ich wyobraźnią.

W „Panu Wołodyjowskim“ rzeczywiście technika osłabła i pomysłowość niezbyt bujnie się rozwinęła. Autor widocznie zmęczył się produkcyą w jednym kierunku: wyobraźnia jego, pomimo ogro-

mnego bogactwa, wyczerpała się na chwilę, werwa opowiadania nie dopisywała; chcąc malować tragiczność popadała niekiedy w przedstawianie okropności. Myśl zasadnicza téj powieści jest mniéj wyraźną niż dwu poprzednich, uszczuplila się znacznie, wskutek zastąpienia stosunków publicznych — prywatnemi, a końcowe poświęcenie się Wołodyjowskiego przez wysadzenie w powietrze twierdzy kamienieckiéj, jest raczéj efektownèm tylko zakończeniem, aniżeli czynem bohaterskim, któryby mógł wywrzéć potężne, wstrząsające i uszlachetniające wrażenie: zażył-bo już bohater wszystkiego w życiu: i niedoli i uśmiechów szczęścia, niczego się nowego ani lepszego nie mógł w przyszłości spodziewać, prędzéj lub późniéj umrzéć musiał; więc skrócił jedynie czas swego zgonu a przytém okrył się i sławą. Można mu zazdrościć chwalebnéj śmierci, lecz podziwem wielkim przejąć on nie zdoła.

Pierwszy tom „Pana Wołodyjowskiego“ wyróżnia się i od dwu następnych i od całego cyklu powieści historycznych Sienkiewicza: poświęcony jest przeważnie dziejom miłości, przedstawionym ładnie, powabnie, ujmująco. Tu i ówdzie starał się wprawdzie autor nakreślić ówczesną sytuacyę polityczną podczas bezkrólewia po Janie Kazimierzu, ale zaraz, jakby mu te rzeczy ciężyły, przerywał ich opis i wracał do malowania zalotów, jakie stroił wydobyty z klasztoru Wołodyjowski, rycerz niewielkiéj postaci, znakomicie się pojedynkujący, kochliwy i ruszający ciągle wąsikami, do poważnéj i szlachetnéj Krysi, póki nie poznał, że się właściwie kocha w Basi, sprytnym, trochę źle wychowanym, ale serdecznie, głęboko umiejącym kochać „kozaczku“. Wszystkie przejścia miłosne, nawet zakochanie się Krysi w strojnym, pięknym, wykształconym na sposób cudzoziemski, lecz miłującym przybraną ojczyznę rycerzu Ketlingu, są traktowane dość lekko, niemal żartobliwie, choć nie brak scen wzruszających. Autor nie chciał doprowadzać powikłań do tragizmu, wolał puścić na ten prolog dużo promieni jasnych, wesołych, bo miał jeszcze do opowiedzenia wiele smutków i cierpień. Opis tych miłości czyta się z zajęciem i przyjemnością, ale jak autor prawdopodobnie, tak i czytelnik nie przywiązuje do niego wielkiéj wagi, uważa go za dość powszedni i nieraz w powieściach naszych przedstawiany obraz stosunków, bez pogłębienia psychologicznego, bez wskazań jakichś nowych, mniéj zbadanych i znanych rysów duszy. Jestto stosunkowo dość wesołe intermedyum wśród szeregu opisów bitew, jakie w poprzednich powieściach czytelnik poznał i jakie go jeszcze czekają.

W dwu następnych tomach przebywamy znowu na kresach rzeczypospolitéj, jak w „Ogniem i mieczem“, znowu niebezpie-

czeństwa grożące od Tatarów, syn nawet Tuhaj-beja, nazwiskiem Azya, jest najgłówniejszą po Wołodyjowskim postacią, stojącą obok jego żony Basi, w któréj się szalenie, w sposób dziki zakochał.

Jako bohater, Wołodyjowski niknie w porównaniu z takiemi olbrzymami jak Podbipięta lub Kmicic, jest może prawdziwszy od nich życiowo, ale artystycznie wykonany jest nieporównanie słabiéj. Czuły mąż, dzielny rycerz, niedaleko widzący polityk: oto wszystko, co o nim można powiedziéć; rysów delikatniejszych, któreby tę dosyć pospolitą figurę wyróżniły z tłumu, autor mu poskąpił; nic więc dziwnego, że kiedy się o nim mówi lub myśli, to stają nam przedewszystkiém w wyobraźni jego wąsiki, których ruszanie aż zanadto często jest wspominane, jakby było najznamienniejszą cechą jego fizyognomii.

W charakterze Azyi są rysy przypominające Kmicica w pierwszéj fazie, przed przedsięwzięciem rehabilitacyi, to jest pycha nieokiełznana, ambicya bezdenna, zawziętość i upór obok prawdziwego męstwa i pogardy niebezpieczeństw i śmierci. Ale prócz tych cech jest w nim jeszcze azyatycka dzikość i przewrotność. Ma on właściwości wybitniejsze od Wołodyjowskiego i żywiéj maluje się w pamięci. Namiętność jego względem Basi jest główną osią akcyi, rozwijającéj się co prawda powoli, ociężale. Szczegóły porwania Basi, która miała także dużo uporu, są opowiedziane z życiem; ale obrona jéj przeciw Azyi, pomimo że dokonana przez kobiétę zaprawioną do robienia bronią, mało wydaje się prawdopodobną, a powrót wśród piętrzących się ciągle przeszkód ze stepu do domu, należy policzyć chyba do baśni, słabo w dodatku przedstawionych. Jest w pismach Sienkiewicza inny powrót kobiéty wśród burzy, Rzepowéj w „Szkicach węglem"; i ten, choć krótszy, nieskończenie jest wyższy i prawdziwszy od téj kopii rozwiniętéj szeroko, ale bez odpowiedniéj tematowi siły.

Końcowe sceny oblężenia Kamieńca są w gruncie rzeczy kopią oblężenia Zbaraża z „Ogniem i mieczem"; a ponieważ niema w nich rysów potężniejszych od tych, jakie już czytelnicy dawniéj poznali, nie sprawiają wrażenia, wydają się bledsze.

Tam wreszcie, gdzie autor chciał wzniecić grozę, np. w obrazie znęcania się Tatarów nad jeńcami lub „oprawiania" Azyi, powstaje pewien niesmak estetyczny, gdyż umysł czytelników nie jest należycie przysposobiony uprzedniemi szczegółami do przyjęcia tych wstrętnych wrażeń. Nie chcę przez to powiedzieć, żeby powieściopisarzowi nie wolno było takich scen malować; mamy przykłady w naszéj własnéj literaturze („Zamek Kaniowski", prolog do

„Uskoków“), że mogą być one kreślone z powodzeniem artystyczném, lecz zdaje mi się, że we wskazanych u Sienkiewicza miejscach nie mają one przygotowania ustopniowanego.

* * *

W dotychczasowym rozbiorze nie poruszyłem jeszcze dwu szczegółów wspólnych „Potopowi“ i „Panu Wołodyjowskiemu“, a częściowo i najpierwszéj powieści: „Ogniem i Mieczem“.

Była dawniéj reguła, wyciągnięta z pism Walter-Scotta, że powieściopisarz historyczny nie powinien zajmować się osobistościami wybitnemi w dziejach, ale wybierać takie, które albo zgoła w historyi wzmiankowane nie są, albo téż odgrywają w nich bardzo podrzędną rolę. Reguła ta miała jednę niepospolitą zaletę dla artystów: uwalniała ich od mozolnych studyów nad zgłębieniem charakterów i wypadków historycznych i dozwalała ich fantazyi dowolnie bujać przy tworzeniu postaci i sytuacyj. Poszli za nią powieściopisarze zagraniczni i nasi. I było z nią dobrze póty, póki nie zaczęto wielkich wypadków dziejowych łączyć przyczynowo z działalnością wymyślonych osób powieściowych, ograniczając prawdziwe postaci historyczne do roli figurantów. Wówczas nie pomogła już i teorya wielkich skutków z małych przyczyn, bo niepodobna było usunąć ze świadomości czytelników tego, co w nią włożył wykład dziejów.

Do Sienkiewicza nie odnosi się wcale zarzut nie studyowania historyi. Poznał on ją dokładnie i złożył tego dowód we wszystkich trzech powieściach. Wybierał téż ważne a rzeczywiste wypadki do zobrazowania powieściowego. W „Ogniem i mieczem“ lubo się rozszerzał nad przygodami bohaterów podrzędne miejsce w historyi zajmujących, albo zgoła fikcyjnych, nie przypisywał im przecież takich czynów, któreby miały istotnie doniosły wpływ na losy kraju, nie obdzierał na ich korzyść rzeczywistych postaci historycznych z właściwéj im sławy i znaczenia; stosunek zmyślenia do prawdy zachował w takich rozmiarach, że historyk nie potrzebował się żżymać na powieściopisarza—przynajmniéj pod tym względem.

Stosunek ten atoli zachwiał się, ba, runął nawet ze szkodą prawdy w „Potopie“ i „Panu Wołodyjowskim“. Tu bowiem osobistości, z dziejów znane i rzeczywiście wielki wpływ na wypadki wywierające, częściowo tylko zostały zachowane w swym charakterze; jedne, np. Radziwiłłowie odmalowane z wielkim talentem i szczegółowo, inne zaś przedstawione ogólnikowo (król, królowa, Radziejowski, Opaliński, Czarniecki, Kordecki, Sobieski i t. d.), na głównym zaś planie postawił autor postacie Kmicica i Wołodyjow-

skiego, im przypisując czyny i zasługi, które wyratowały naród z toni. Nie idzie on wprawdzie tak daleko, ażeby miał z areny dziejowéj usuwać zupełnie te osoby, które na niéj się w historyi rzeczywiście uwydatniły; ale nie zachowując stosownéj proporcyi w zakreśleniu granicy zmyślenia i prawdy, zbywając suchém opowiadaniem fakta wielkie i zapisane na kartach historyi, a malując żywo sceny wymyślone, sprawia, że czytelnik, nie pilnujący się ściśle rozumienia rzeczywistości dziejowéj, gotów naprawdę przyznać Kmicicowi i Wołodyjowskiemu, ba, może i Zagłobie, najważniejszy udział w sprawach krajowych, bez względu na Czarnieckich, Kordeckich, Sobieskich. Czyż to nie jest pewnego rodzaju fałszowaniem pojęć historycznych? Dawniéj, kiedy się nie liczono ściśle z prawdą faktyczną, takie wydymanie figur wymyślonych lub częściowo jedynie w historyi znanych mogło nie razić; dzisiaj, wobec prądów realistycznych, już się taki tryb tworzenia staje niemiłym anachronizmem.

Drugim szczegółem, na który zwracałem już uwagę przy rozbiorze powieści „Ogniem i mieczem", jest zeszczuplenie dziedziny objawów życiowych wskutek zbytniego przejęcia się jedną tylko ich stroną. Zdawałoby się, czytając cykl historyi opowiedzianych przez Sienkiewicza, że w przeciągu owych lat kilkudziesięciu, jakie one obejmują, cały naród wyłącznie był zajęty sprawami wojennemi i troszkę miłosnemi, jakoby wszystkie inne działy życia uległy zupełnéj atrofii, jakoby nie siano, nie orano, nie żęto, nie spławiano zboża do Gdańska, nie pisano, nie zajmowano się sztuką, nie odbywano sejmów i sejmików, nie procesowano się, nie kłócono i nie godzono. Od czasu do czasu przypomni sobie powieściopisarz, że po za sferą przez siebie umiłowaną i szczegółowo przedstawianą, istniała przecież daleko obszerniejsza dziedzina życia; wówczas nakreśli jakąś scenę z téj lub owéj grupy, ale robi tu tak, jak z osobami historycznémi, nie przeczy ich istnienia, zaznacza je w krótkości, ale śpieszy czémprędzéj do świata wyobraźni. Po przeczytaniu jego utworów pozostaje w duszy silne i żywe wspomnienie bitew, pojedynków, bójek, trochę słabsze wspomnienie zapałów i cierpień miłosnych; ale bynajmniéj nie zyskuje się wyobrażenia o téj różnorodności czynów, usiłowań i pomysłów ludzkich, które wytwarzają cywilizacyą danéj chwili w pewnym narodzie. Nie mam ja pretensyi do powieści, jaką dawniéj względem epopei wypowiadano, żeby dawała dokładny obraz życia we wszystkich jego rozgałęzieniach w danéj chwili, lecz upominam się tylko, w interesie prawdy, żeby zanadto nie ścieśniano obrębów tego życia, żeby go nie widziano tylko w pewnéj wybranéj grupie objawów, żeby przedstawiano ludzi

w ich prawdziwém, rzeczywistém otoczeniu, a nie na jakiéjś zaczarowanéj przez powieściopisarza wyspie.

Że takie wymaganie nie jest teoretyczną jedynie mrzonką, lecz myślą, którą artystycznie wykonać można, dowodem są „Olbrachtowi rycerze“ Zygmunta Kaczkowskiego, utwór jednocześnie drukowany z „Panem Wołodyjowskim.“

Autor „Murdeliona“ i „Anuncyaty“, pomimo swego wieku i dawniejszych przyzwyczajeń powieściopisarskich, okazał się tu bardziéj spółczesnym, bardziéj nowożytnym niżeli autor „Potopu“.

Śledząc pilnie dzisiejszy rozwój sztuki malowania za pośrednictwem słowa, nie tylko poznał dokładnie potrzebę ścisłego trzymania się faktów i liczenia się z różnorodnemi objawami życia towarzyskiego i politycznego, ale umiał potrzebie téj uczynić zadość w sposób piękny, rozlegle i gruntownie obmyślany.

Temat wziął sobie daleko trudniejszy aniżeli Sienkiewicz; obyczaje bowiem, stosunki towarzyskie, pojęcia ludzi, pobudki ich czynów przy końcu XV wieku, jako dalsze od naszéj doby, są tém samém trudniejsze do zrozumienia i odtworzenia, aniżeli analogiczne fakta z XVII stulecia. I studyów ku temu potrzeba mozolniejszych i większego doświadczenia życiowego i większéj znajomości ludzi i interesów i wyobraźni nawet silniejszéj, ażeby z drobnych stosunkowo śladów odtworzyć żywy obraz uczuć, poglądów i działań tak różnych od naszych. Niejeden fakt z dziejów literatury nowożytnéj przytoczyćby można ku stwierdzeniu téj prawdy, że pisarze, którzy doskonale malowali wiek nam bliższy, np. XVIII, tracili większą część swych zalet pisarskich, gdy się brali do przedstawienia epok odległych; dość wspomnieć w téj mierze próby Rzewuskiego i Kraszewskiego.

Kaczkowski miał czas obmyśléć wszechstronnie obrany przez siebie przedmiot, bo jeszcze w pierwszéj dobie swojéj twórczości, w r. 1859 czy 1860 donosiły czasopisma, że robił studya nad czasami Olbrachta w zamiarze utworzenia powieści z téj epoki. Naturalnie, dalsze jego losy i zajęcia nie pozwoliły mu studyów tych ciągnąć systematycznie, lecz prawdopodobnie idea sama utworu osnutego na tle czasów Olbrachtowych, nieraz musiała się zjawiać w jego umyśle, pobudzając go do rozwagi, co i jak miał w nim przedstawić. A gdy po raz drugi wrócił przed dziesięciu laty na pole powieściopisarstwa, i gdy mu ponownie przyszła ochota urzeczywistnienia dawnego zamiaru, potrzebował już tylko uzupełnić swą znajomość dziejów przeczytaniem nowych materyałów, które się w przeciągu ostatnich dwudziestu kilku lat ukazały, potrzebował

usystematyzować poszczególne pomysły i nadać im artystyczne kształty.

A w ciągu tego długiego lat szeregu, od czasu kiedy w duszy autora pojawiła się pierwsza myśl skreślenia powieści i kiedy ostatecznie miała być wykonaną, zgarnął on takie zasoby doświadczenia, ukształcił tak umysł, już i poprzednio bogaty w wiedzę, że mógł się odważyć na wykonanie trudnego zadania z pewną otuchą powodzenia.

Ale czy mu wyobraźnia będzie posłuszną? Czy myśl i rozwaga nie zaszkodzą świeżości i barwności obrazu, jak to się stało w „Grafie Raku" a w znacznéj części i w „Abrahamie Kitaju"? Zapewne, zapału i werwy dawniejszéj już nie odzyszcze; lata nie napróżno uniosły z sobą młodość i jéj przymioty; niektóre części utworu stracą na tém niewątpliwie; lecz czyż bogactwo wychłodłéj trochę wyobraźni, wzmocnione rozległym rozumem, nie wystarczy do stworzenia dzieła, które miało za zadanie jak najbliżej trzymać się ziemi i być ile możności, najwierniejszém odbiciem prawdy? Porywać, unosić, nawet żywo zainteresować przeciętny ogół czytelników autor nie zamierzał, ale tylko barwnie, malowniczo, plastycznie starać się zbliżyć przed oczy spółczesnych obraz cywilizacyi polskiéj w różnych warstwach społeczeństwa i na różnym stopniu rozwoju w końcu wieku XV.

I zamiar ten udał mu się w zupełności: „Olbrachtowi rycerze"—to nie powieść, którąby rozgorączkować mogła, którąby pochłaniać potrzeba, ale śmiało twierdzić można, że niéma w literaturze naszéj drugiego belletrystycznego utworu, któryby w tym stopniu różnorodność objawów jakiejkolwiek doby w dziejach naszych plastycznie przedstawił jak ona. Porównany z nią *pod tym względem* „Listopad" Rzewuskiego okaże się ubogim i jednostronnym, chociaż wiadomo, że z naszych powieści historycznych on najwielostronniéj jeszcze cywilizacyę naszę z końca XVIII wieku maluje. Rzewuski nie wyczerpał głównych nawet czynników życia cywilizacyjnego, Kaczkowski zawarł je w „Olbrachtowych rycerzach" prawie wszystkie, przedstawiając życie i warstw różnych i jednostek wybijających się nad tłumy, dając obrazy i codziennych wypadków i nadzwyczajnych zdarzeń, stosunków powszednich i dziwnie zawikłanych lub wyjątkowych, kreśląc usposobienia prozaiczne, marzycielskie, czynne, ospałe, przebiegłe, wyrachowane, natchnione i mistyczne. A jednak nie zrobił z tych obrazków panoramy tylko, lecz rzeczywistą całość artystyczną, związaną dość silnie dobrze osnutą intrygą powieściową, która pomimo całéj nadzwyczajności swojéj usprawiedliwiona jest i umotywowana psychologicznie na wszystkich niemal punktach.

Tą więzią, spajającą w całość artystyczną obrazy życia cywilizacyjnego w XV wieku, jest silna wzajemna miłość dwojga niepospolitych, lecz w szczegółach swego charakteru, postępowania i losów czysto ludzkich istot: Wilczka i Jagienki.

Lenard Wilczek, starosta na zamku Tustań, właściwie Suchywilk, był-to na początku powieści młodzian 26-letni, „pięknego wzrostu, ale nie nadto wysoki, a suchéj kompleksyi, jak wszyscy jego przodkowie“: kość miał potężną, mięśnie mocne, „a taką sprawność w całéj swojéj postaci, że w pełnym rynsztunku wskoczyć na konia bez strzemion, albo się wdrapać na najwyższy cypel wieży, było mu prawie zabawką; twarz także miał chudą, cerę zlekka smagławą, lecz zdrową, nos chrząstkowaty i równy, oczy wyraziste i zwykle bardzo łagodne, lecz czasem dziko błyszczące, wąs niewielki i bródkę przystrzyżoną śpiczasto; zaś swój włos ciemny, bogaty, nosił w kędziorach spadających na plecy, tylko nad czołem go krótko przystrzygał, ażeby w bitwie, gdzie często piersią o pierś trzeba się zetrzéć, jakiś wróg zapalczywy nie mógł go wziąć za czuprynę, co już dla knechta byłoby rzeczą bardzo szpetną, a dla rycerza wcale haniebną“. Z usposobienia był popędliwy, porywczy, gwałtowny, więc dążył czémprędzéj do postawienia na swojém, do usunięcia jakimkolwiek sposobem przeszkód, stojących mu na drodze; ale miał téż w sobie rozwinięty potężnie pierwiastek uczuciowy, skłaniający go do częstéj zadumy. „Czasem był cichy, spokojny i zamyślony, a ludzie jego zauważali, że wtedy z duchami rozmawia. W takie dni często wieczorami wykradał się z zamku i nikt nigdy nie wiedział, gdzie bywał... Lecz często głowę nosił wysoko, męczył swoich żołnierzy musztrami, konno i pieszo, kazał występować załodze w miasteczku, opatrywał mury i baszty, burczał wszystkich, tego i owego kazał wrzucić do turmy, a wtedy choćby kto był kasztelanem lub wojewodą, musiał mu zmilczéć, zwłaszcza na jego terytoryum, gdzie téż miał juryzdykcyę“. Był-to słowem, jeden z tych bogatych, świetnie uposażonych pod względem fizycznym i duchowym, sangwinicznych temperamentów, które u nas najczęściéj się spotykają. Nie jest-to typ według dawnéj terminologii estetycznéj, ale wielce zindywidualizowany wizerunek typowego Polaka.

Jagienka była to sierota bardzo bogata, piękna, śmiała i energiczna, lecz mniéj porywcza, rozważniejsza od Wilczka. Wychowanie klasztorne u panien klarysek, uczyniło ją pobożną, ale nie dewotką, nie zraziło jéj do świata, lubo go nie dało jéj poznać. Zachwycona postacią i zachowaniem się Wilczka, którego poznała na zamku sobieńskim u opiekunów swoich Kmitów, powzięła dla nie-

go miłość najgłębszą, połączoną z czcią niemal. Przez chwilę czuli się oboje szczęśliwi nad wyraz i sądzili, że im ta chwila w całe lata się przedłuży.

Omylili się srodze. Na zamku sobieńskim, kasztelanowa Kmicina była wszystkiém, kasztelan tylko gębą do wypowiadania zdań o sprawach publicznych. Kasztelanowéj Wilczek nie podobał się; chociaż więc domyślała się jego miłości dla Jagienki, udała, że jéj nie dostrzegła i postępowaniem swojém, oraz ubocznemi napomknieniami sprawiła, że Wilczek nie śmiał złożyć otwartéj deklaracyi o rękę ukochanéj, ale pomyślał wprzódy o wyszukaniu sobie takiego swata, którego wstawieniu się kasztelanowa oporu stawićby nie mogła; miał na myśli króla Olbrachta, wielkie okazującego mu względy. Wyjechał więc, aby do niego trafić, a tymczasem skorzystano z jego nieobecności. Zjechała na Sobień kobiéta „z piekła rodem“, przebiegła i przewrotna, żelaznéj woli, i razem z kasztelanową ułożyły małżeństwo między Jagienką a Stanisławem Gniewoszem, serdecznym przyjacielem Wilczka, niewiedzącym nic o uczuciach tegoż do Jagienki, bo się w tym czasie zgoła z sobą nie widzieli, ale mającym w sercu inną miłość, do czarującéj mieszczanki z rodu szlacheckiego, pani Formozy, wydanéj za Tigranesa Kijasa, syna bogatego kupca ormiańskiego we Lwowie. Ponieważ Tigranes, choć całą duszą do rycerskiego rwący się stanu, nie miał kanonicznie wymaganego na męża przymiotu; można się było wystarać o rozwód; Gniewosz tedy przysiągł Formozie miłość i był zdecydowany bądź-co-bądź dotrzymać słowa. Atoli o nadziei możności połączenia się z Formozą węzłem małżeńskim nie mógł przekonać matki, którąby zresztą i na to nie zważała, uprządłszy już wprzódy zamiar ożenienia go z Jagienką, bogatą i możnego rodu, z którą zmieszczaniona Formoza porównania wytrzymać nie mogła w jéj wyobrażeniu. Znalazł się przytém na Wilczka taki zarzut, który i sumienie głównego opiekuna Jagienki, księdza Chryzostoma Kmity, człowieka ascetyzmowi oddanego i cudami słynącego, skłonił na stronę układów dwu matron: oto Wilczek uwiódł był przedtém Ofkę, córkę Rusina Biłowusa, mającego w charakterze wójta tytuł kniazia. Dokonała się więc na zamku sobieńskim „średniowieczna tragedya“: dwoje osób z uczuciami w zupełnie odmienne strony zwróconemi, przysięgło sobie formalnie u ołtarza miłość i wiarę dozgonną pod naciskiem władzy rodzicielskiéj i opiekuńczéj. Jagienka wprost i wyraźnie oświadczyła przed swemi opiekunami, że idzie za Gniewosza z rozkazu a nie z dobréj woli, Gniewosz zaś postanowił w cichości duszy dochować przysięgi Formozie. Tak oboje znaleźli się obrzędowo

wobec ludzi i przepisów religijnych połączonemi, ale w rzeczywistości całkowicie rozdzielonemi. Z takiego stosunku wyniknęły dalsze następstwa.

Wilczka zawiadomić chciała Jagienka o przeznaczonym dla niéj losie przed ostatecznym jeszcze krokiem, lecz wybrała posła fatalnie. Był nim obieżyświat dbający tylko o jedzenie i napitek, ksiądz Wara, który za dobrą nagrodę podjął się spełnienia niebezpiecznego zaniesienia listu do Lenarda, lecz mając za co pić, nie śpieszył się i wręczył Wilczkowi zawiadomienie o projektowanym ślubie wtedy dopiero, gdy tenże został już zawarty. Łatwo sobie wystawić wściekłość Wilczka przy jego porywczym temperamencie. Poleciał do księdza Chryzostoma, sądząc, że ten, co go pierwszy do swéj pupilki forytował, poprze jego sprawę, ale tu został przyjęty chłodno; asceta wymówił się od dania mu pomocy, wyrzucając mu grzech względem Ofki popełniony. Nie grzech sam jednak był w jego przekonaniu powodem istotnym, ale ta okoliczność, że się rozgłosił. Zawiódłszy się na człowieku, na którego najwięcéj liczył, Wilczek wpadł w rozpacz, a że podzielał przesądy swego stulecia jako w niém wychowany, pragnął zapisać duszę dyabłu, byleby tylko mógł osiągnąć cel jedyny pragnień swoich, połączenie z Jagienką. W mniemaniu jego dyabeł, w rzeczywistości sługa sprytny a dziwacznéj postaci zjawił mu się na jego zaklęcia i służył mu wiernie, zbieg zaś wypadków doprowadził do urzeczywistnienia marzeń najgorętszych.

Nastąpiła nieszczęśliwa wyprawa i klęska bukowińska. Wśród niéj Gniewosz, który ciągle przemyśliwał nad sposobami uwolnienia siebie i Jagienki od narzuconych więzów, znalazł, jak się zdawało, najlepszy po temu środek. Potrafił wszystko urządzić tak, iżby go miano za umarłego, a chcąc i Wilczkowi dać możność sięgnięcia po rękę Jagienki, sprawił, że temuż właśnie dostał się testament przezeń uczyniony i połowa pierścienia, mająca być znakiem dla rządcy zamku Czorsztyńskiego, na którym mieszkała Jagienka, ażeby przed oddawcą bramy otwarto. Uszczęśliwiony Wilczek popędził na Czorsztyn, za okazaniem pierścienia otrzymał wolne wejście, w rozmowach z Jagienką zapomniał o całym świecie, ale świat, reprezentowany tu głównie przez rządcę zamku, nie zapomniał o nim i o przystojności. Dano Jagience i Wilczkowi do poznania, że ich stosunki bez uświęcenia przez władzę duchowną dłużéj trwać nie mogą. Sądzono, że nie będzie w tém przeszkody żadnéj; napotkano nieprzełamaną. Testament nie mógł być uważany za dokument świadczący napewno o śmierci Gniewosza; proboszcz najbliższy odmówił ślubu, udanie się Wilczka do władzy wyższéj

nie powiodło się; kazano czekać przepisanego przez kościół terminu. I znowu porywczość Wilczka pchnęła go na drogę, na któréj znalazł wprawdzie chwilę szczęścia, lecz niebawem—cios stanowczy i nieodparty. Ten sam obieżyświat ksiądz Wara, który poprzednio tak fatalnie spełnił swe poselstwo, teraz podjął się dania ślubu. Wilczek i Jagienka zostali małżonkami; ale dawniejsi znajomi, a mianowicie kobiety, ślub ich uważali za podejrzany i stosunki z niemi zerwali. Na razie nie uczuli oni swego osamotnienia; wkrótce jednak świadomość opinii ludzkiéj zatruwać zaczęła Wilczkowi chwile szczęścia, tém bardziéj, że nie mógł nawet zgodnie ze swém usposobieniem z nikim się wyrąbać, bo nikt wyraźnie żadnéj nie wyrządził obelgi, ani jemu ani jego żonie.

Tymczasem gdy już dawno upłynął termin przez kościół przepisany względem nowych ślubów, Gniewosz zjawił się w kraju i załatwiwszy wszelkie przeszkody (staranie się o rozwód było niepotrzebne, gdyż Tigranes zginął na wojnie), odbył uroczyście ślub i wesele z Formozą. Wybierał się właśnie w odwiedziny do zamku Wilczków. Jagienka stała wtedy z dzieciątkiem na ganku wieży. Gdy spostrzegła zdala Gniewosza, zachwiała się i runęła w przepaść. Żadne poszukiwania nie mogły nawet ciała jéj wydostać.

Wilczek szalał z początku, potém się uspokoił, prowadził z księdzem Warą często i długie rozmowy, a gdy wyrozumiał dostatecznie koleje swego losu, gdy przypomniał sobie oddanie się dyabłu i krzywdę Ofce wyrządzoną, rzekł raz do niego, gdy ten chcąc go pocieszyć, w młodości jego upatrywał jeszcze rękojmię szczęścia na przyszłość: „Jam młody; ale ten świat, ta piękna ziemia ze wszystkiemi swemi darami już się nazawsze odwróciły ode mnie... Ciało moje możeby jeszcze było sposobne do życia, ale tam (w duszy) noc się rozległa, tam już niéma tego świętego płomienia, co ciałem porusza i prawa mu daje. Jestem bezwładny jak trup, boleść mi wszystką władzę wyżarła. Jakieżby u mnie jeszcze mogło być życie! Jestem umierającym starcem w młodzieńczém ciele. Ze strachem kładę się do snu, bo we śnie najstraszliwsze mary się nade mną wieszają, powykrzywiane twarze ze zwierzęcemi oczyma, pootwierane paszczęki bez zębów, z nich długie czerwone wyskakują języki i liżą mnie po policzkach, przyciskają mi swoje długie uszy do piersi, aby posłuchać, czy jeszcze serce w niéj bije, kłują mnie w gardło swemi dyabelskiemi rogami, ażeby tę resztę krwi ze mnie wypuścić. O Wara! nie życzę takiéj jednéj nocy mojemu najzawziętszemu wrogowi. A moja śliczna Jagienka nigdy mi się nie pokazała! Natomiast Ofka wciąż mi się jawi... Po takich nocach... wstaję rano jak z krzyża zdjęty, albo i gorzéj, bo właśnie, jakgdyby

mnie spuszczono z tortury. A kiedy już czuwam, jeszcze się nocne widzenia nade mną wieszają. I potém już taki dzień cały! Do południa wspomnienia tych mar, co je przeszłéj nocy widziałem, a od południa strach mnie bierze przed temi, które w przyszłéj obaczę. A w ciągu całego dnia w głowie taka próżnia, że ani jednéj myśli uchwycić nie mogę. W sercu się odzywają życzenia, ale czuję zarazem, że żadna ludzka potęga ich spełnić nie zdoła. I to jest życie? Niechże w nie raczéj wszystkie pioruny uderzą! Nieznośnym ciężarem mi jest takie życie! Śmierci mi trzeba — i tylko śmierć mnie może wybawić!"

I to życzenie spełniło się w całéj pełni. Pioruny istotnie uderzyły w zamek tustański, a zarazem w Wilczka i Warę. „Z tego wszystkiego, co ludzka ręka stworzyła, leżały tylko prochy rumowisk na ziemi; gwałtownemu wybuchowi żywiołów tylko to się oparło, co zrodziła natura".

Taki jest szkielet téj pięknéj budowy, co ma napis „Olbrachtowi rycerzy". Ażeby dać poznać, jakie ciało pokrywa ten szkielet i jakim ono ożywione duchem, potrzebaby kilka co najmniéj przytoczyć scen wspaniałych i skreślić żywo rozmaitość charakterów, tu występujących. Ogólnie powiedziéć tylko można, że wszędzie, zarówno w ważnych jak i drobnych rzeczach, Kaczkowski starał się odmalować prawdziwych, rzeczywistych ludzi, nie chcąc ich wyśrubowywać na niedościgłych w swych zaletach bohaterów, ale usiłując wniknąć w ich serca, wyobraźnie i rozumy, oraz pilnie wglądając w okoliczności urodzenia, wychowania, zajęcia, trybu życia, ażeby stosownie do wpływów, jakie na wyrobienie ich indywidualności oddziaływały, odtworzyć ich słowa i postępki. W całém obszerném dziele znajdzie się zaledwie kilka drobnych rysów, o których trafności odnośnie do osób przez powieściopisarza odmalowanych powątpiewać-by można,—pomimo całéj nadzwyczajnéj rozmaitości sfer i położeń, z jakich one wzięte. Nie zamierzając tu wypisywać katalogu nazwisk i charakterystyk, dość wspomniéć tylko najwybitniejsze.

Więc najprzód mamy tu osobistości ze świata szlacheckiego w najprzeróżniejszych odcieniach: od króla Olbrachta, ukazanego nam zarówno w powadze majestatu rozprawiającego o ważnych sprawach kraju jak i w chwili rozochocenia biesiadniczego, aż do dowcipnych, ciętych błędnych rycerzy w rodzaju bâtarda Jana Feliksa Kergolaja, oraz do giermków, z pomiędzy których marzycielski, poetyczny, idealnie kochający Jagienkę Lubek Pretficz jest, pomimo swéj skromnéj roli w powieści, jedną z najsympatyczniejszych i najdelikatniéj, najsubtelniéj narysowanych postaci. Następ-

nie duchowieństwo znowuż w przeróżnych odmianach od hulaszczego, ale powagę w razie potrzeby choć z wysiłkiem umiejącego utrzymać kardynała Fryderyka, aż do łgarza tumaniącego ludzi opowiadaniami o swych stosunkach ze świętymi, księdza Wary. A dalej mieszczaństwo lwowskie tak świetnie odtworzone w postaciach starego ormiańskiego kupca Kijasa, który doświadczeniem i bystrym rozumem góruje nad niejednym rycerzem i umie nakazać dla siebie poważanie nawet królowi,—Kundrata, który pomimo swojego doktorskiego tytułu, jest najniezaradniejszym i najśmieszniejszym we wszystkich swych postępkach,—Pachny przyjmującéj zaloty bardzo wielu, ale umiejącéj sobie radzić w najtrudniejszych położeniach. A daléj jeszcze Rusini tacy jak Biłowus, Daszkiewicz, Olizar, Ofka, wszyscy pełni życia, o bardzo wybitnéj charakterystyce.

A ci ludzie wprawieni są wszyscy w ruch, bawią się, kłócą, płatają sobie figle, rozmawiają, oddają się bogomyślności, robią na siebie zasadzki, staczają z sobą bitwy. Wszystko drga życiem. Takie obrazy jak zabawy we Lwowie, misteryum rubaszno-religijne wyprawione na wzór francuski przez Kergolaja, obława na złodziei, mistyczne widzenia, siedziba księdza Chryzostoma, wesele Gniewosza z Formozą, w każdym niemal szczególe świetne i nowe, na długo utkwić muszą w wyobraźni czytelników i uprzytomnią im pełnię objawów cywilizacyjnych XV stulecia. Autor bardzo rzadko ubiega się o efekt umyślny i dowolną kombinacyą wypadków sprowadzony, ale wszędzie prawie efekt ten osiąga przez prawdę i wybitność szczegółów. Nie chce téż sobie pozyskać łatwego uwielbienia przez takie ugrupowanie scen, żeby przez nie wywołać w ostatku przyjemne, łechcące wrażenie: obok grozy stawia trywialność, obok wzruszającéj scenę śmieszną, obok uniesień chłodne wyrachowanie—jak bywało i jest w życiu. A jednak nie wynika stąd niesmaczna mieszanina, bo miara prawdziwie artystyczna prawie wszędzie jest zachowana.

Niemałego uroku dodaje obrazowi pogodna ironia autora, unosząca się ponad niemi; wiadomo ile taki czynnik waży w „Panu Tadeuszu“. Kaczkowski jest i czuje się panem tego całego świata stworzonego przez siebie i daje poznać swe władztwo, tak przedstawiając zachody i zawody ludzkie, że czytelnik może je zgóry rozpatrzyć, ocenić je nie tak jak osoby interesowane, ale jak ludzie wyżsi, stojący z boku, sympatycznie wprawdzie dla działaczów usposobieni, ale nie dający się porwać w wir drobnostek lub namiętności. Zauważyć jednak trzeba na niekorzyść autora, że czasami nadużywa swego prawa i zdaje się drwić poprostu ze swego światka, a to czyni cokolwiek ujmy temu bezpośredniemu oddaniu się

wrażeniom, jakie dzieło sztuki wywoływać powinno. Mianowicie scena, w której zrozpaczony Wilczek przywołuje dyabła, a pojawia się Kostruban rekomendujący się z niemiecka jako „biedny dyabeł“, jest zbyt sarkastycznie (dla czytelnika) rozwiniętą, gdy przecież w saméj akcyi powieściowéj (dla Wilczka) odgrywa ona rolę poważną i znamienną.

Akcya powieści, jak z poprzednich słów wnosić już można, jest rzeczywiście bogata, lecz rozwija się powoli, z epickim spokojem. Powiedzieć nawet trzeba, że za powoli. Zanim Wilczek z zamku tustańskiego dojechał na sobieński, gdzie się węzeł intrygi zadzierzgnął, tyle czytelnik poznaje osób, tylu przypatruje się scenom, widzi tyle stron życia, że uwaga jego jest rozerwana zanadto, ażeby mógł mieć świeżo w pamięci wątek główny i żeby nim się w wyższym stopniu interesował. Przy bardzo wielu ustępach bogatych w treść lecz rozwlekle przedstawionych, mimowoli wyraża się życzenie: „A! gdyby te pomysły, tak świeże, tak nowe i tak ciekawe, obrobione zostały przez Sienkiewicza! Ileżby na tém zyskała żywość i barwność!“ A z drugiéj strony robi się spostrzeżenie: „czemu to tenże Sienkiewicz obraca się w kole pomysłów ostatecz nie tak szczupłém! Czemu nie przychodzą mu do głowy takie różnorodne sytuacye jak Kaczkowskiemu!“

Trudno atoli wieść spór z losem. Trzeba przyjąć, co daje. Kaczkowski rozległością, bogactwem i głębią inwencyi przewyższa Sienkiewicza; dzieła téż jego pobudzają do rozwagi w tak wysokim stopniu, jak mało która nasza powieść. Sienkiewicz natomiast celuje zdolnością artystyczną wykonawczą, talentem kolorystycznym nieporównanym i wdziękiem stylu; jego utwory wywierają téż silniejsze wrażenie estetyczne. Czytelnik rozważny może połączyć jednę przyjemność z drugą, rozmyślając i uprzytomniając sobie szczegóły cywilizacyjne z jednym, rozkoszując się pięknością malowidła niektórych ważnych stron życia z drugim autorem.

P. Chmielowski





NAJNOWSZY PRZEKŁAD SOFOKLESA.

Tak zwani poeci klasyczni nie mają u nas wielkiego szczęścia do tłómaczów. Wprawdzie do spolszczenia ich zabrano się dość wcześnie, o wiele wcześniéj niż do innych jakichkolwiek obcych poetów, i lista tłómaczów byłaby już dzisiaj bardzo długa; mimo to nie każdy jeszcze klasyk może być czytany w przekładzie, a rzadko który przekład zasługuje na miano dobrego. Dawniejsze są w ogólności słabe, a nawet często dowolne, zresztą dziś już przestarzałe; nowsze—przeważnie ścisłe, wierne aż do pedantyzmu, ale za to ciężkie, chropawe, prozaiczne, posiadają wielką wartość filologiczną, ale mało literackiéj. Pochodzi to stąd, że w ostatnich czasach czy to z powodu mało rozpowszechnionéj znajomości języków starożytnych, czy téż obojętności dla literatury klasycznéj, tłómaczeń podejmują się zwykle filologowie z zawodu. Byliby to zapewne najodpowiedniejsi tłómacze, gdyby obok gruntownéj znajomości przedmiotu i najlepszych chęci posiadali talent poetycki. Ale właśnie na nim zbywa im pospolicie, a pedantyczna skrupulatność, z jaką przywykli traktować autorów klasycznych, krępuje często nawet powszednią swobodę ich dykcyi i zmusza do pogwałcania natury języka i stylu polskiego. To téż ich przeklady, zwłaszcza utworów wyższego nastroju poetyckiego, nie posiadają wartości literackiéj prawie zupełnie.

Wobec tego każdy nowy przekład utworów muzy klasycznéj, zwłaszcza dokonany przez człowieka z talentem poetyckim, lub przynajmniéj z uzdolnieniem i przygotowaniem literackiém, należy uważać za nabytek bardzo pożądany. Nie będzie on zapewne tak skrupulatnie wierny w drobiazgach, ale za to lepiéj odda poetyckie i artystyczne właściwości oryginału, a w każdym razie będzie poczytny i przyczyni się do spopularyzowania arcydzieł literatury klasycznéj, mało dotychczas szerszemu ogółowi znanéj.

Najnowszym nabytkiem w tym rodzaju są Tragedye Sofoklesa, świeżo wydane w „Bibliotece najcelniejszych utworów literatury europejskiéj“ (Warszawa, 1888. 8-e str. 466). Tłómacz ich, Kaz. Kaszewski, znany krytyk i poeta potroszę, literat wytrawny i estetycznie wykształcony, oddawna już nad spolszczeniem Sofoklesa pracował. Niektóre tragedye jego tłómaczenia ukazały się w „Bibliotece Warszawskiéj“ przed 30 laty, ale potém nastąpiła bardzo długa przerwa, a tymczasem Z. Węclewski, profesor b. Szkoły Głównéj przygotował swój całkowity przekład spuścizny po najwytworniejszym tragiku greckim (Poznań, 1875). Praca ta pomimo niepospolitéj wartości filologicznéj nie mogła uczynić zadość wymaganiom literackim, i dla tego było rzeczą nader pożądaną, żeby Kaszewski rozpoczętego dzieła dokonał. Jakoż ostatniemi laty przetłómaczył on pozostałe tragedye i dzisiaj oddał całość do użytku publicznego. Nie dość na tém: żeby ułatwić czytelnikowi gruntowniejsze poznanie wielkiego dramaturga, każdéj tragedyi poświęca dość szeroką ocenę krytyczną i wyjaśnia tekst zwięzłemi komentarzami, gdzie to uznaje za potrzebne; nadto we wstępie szkicuje dzieje wytwarzania się dramatu greckiego i na tém tle ocenia stanowisko Sofoklesa.

Jakkolwiek spostrzeżenia i poglądy tłómacza, wypowiedziane we wstępie i w ocenach poszczególnych tragedyi, nie stanowią żadnego wyczerpującego studyum, zajmują przecież tyle miejsca, że można od nich wymagać bardzo wiele wskazówek informacyjnych. Wskazówki te są tém potrzebniejsze, że dramat grecki i duchem i budową różni się od nowożytnego tak dalece, iż niewtajemniczony w jego właściwości czytelnik na każdéj niemal stronie spotka coś takiego, co go będzie raziło i czego nie potrafi sobie wytłómaczyć. Rozpatrując z tego stanowiska wstęp i rozbiory krytyczne Kaszewskiego, dostrzegam w nich bardzo wiele niedomówień, które—jak mi się zdaje—zmniejszają ich wartość, a raczéj użyteczność. Niedomówienia owe i przemilczenia dają się sprowadzić do dwóch kategoryi. Najprzód Kaszewski nie wyjaśnił dostatecznie istoty tragedyi klasycznéj, a wiele jéj właściwości specyficznych albo zbyt pobieżnie, albo nawet wcale ich nie dotknął. Powołam się tu dla przykładu na cały szereg zjawisk, wynikających z tak zwanych trzech jedności; na pewne, przedewszystkiém Sofoklesowi właściwe środki wywoływania i potęgowania wrażenia, na niektóre subtelności architektoniki. Sądzę że dzisiejszy czytelnik (czytelnik naturalnie, nie widz), nie wtajemniczony w to wszystko skądinąd, pomimo informacyi tłómacza nie dopatrzy się w utworach Sofoklesa ani tylu piękności, ani tak subtelnego artyzmu, o jakim tłómacz

wielokrotnie pisze. Wprawdzie przestrzega go Kaszewski, żeby wartości tragedyi klasycznéj nie mierzył skalą dramaturgii nowożytnéj; ale czyni to tak ogólnikowo, że czytelnik z jego przestróg niewiele skorzysta; kto wie nawet, czy ściśle się do nich stosując, nie wyrobi sobie błędnego pojęcia o charakterze tragedyi greckiéj, jeżeli zechce wszystko, co go uderzy w kompozycyach Sofoklesa, usprawiedliwiać ową inną skalą. Sofokles bowiem, pomimo całego swojego talentu, nie jest bynajmniéj doskonałością bez skazy. Tragedye jego nie są wolne od różnych drobnych usterek, a nawet poważniejszych wadliwości, których naturą dramatu klasycznego usprawiedliwić nie można. Tak np. baczniejszy czytelnik dostrzeże, a przynajmniéj odczuje, że tragiczny przebieg akcyi w Edypie królu zależy od dyalogów, w wielu zasadniczych momentach naciąganych; że osoby, otaczające bohatera mówią tylko tyle i tylko w ten sposób, żeby w nim rozbudzać stopniowo podejrzenie, iż on jest właśnie zabójcą Lajosa. Rzecby można, że wiedzą one, jak rzeczy stoją, i jakie w Edypie obudzą refleksye. Poeta nieraz ciągnie je widocznie za język, to znowu każe im być powściągliwymi w słowach bez żadnéj psychologicznie usprawiedliwionéj przyczyny. Niechnoby pozwolił im mówić swobodnie, a sprawa zupełnie innym musiałaby pójść torem!... W Elektrze znów opowieść Pedagoga o fikcyjnym zgonie Oresta na igrzyskach ciągnie się bez potrzeby zbyt długo. Wogóle trzeba mieć zanadto dobréj woli, żeby w tragedyach Sofoklesa nie dostrzedz różnych większych i mniejszych wykroczeń czy to przeciw naturalności i prawdopodobieństwu poszczególnych momentów akcyi, czy téż przeciw subtelnemu artyzmowi. Być może, że szanowny tłómacz patrzy na Sofoklesa pobłażliwiéj; nie przypuszczam wszakże, żeby nie miał mu nic do zarzucenia. Tymczasem oprócz pewnéj wadliwości w budowie Trachinek i naciągniętego rozwiązania konfliktu w Filoktecie, nie uwydatnia w jego utworach żadnych ułomności—i to właśnie stanowi drugą kategoryą niedomówień, które nie pomogą czytelnikowi wyrobić sobie dokładniejszego sądu o Sofoklesie.

Uwagi powyższe nad użytecznością informacyi Kaszewskiego wyrażają właściwie nie zarzuty, lecz desiderata, gdyż wolno było oczywiście ich autorowi powiedzieć jeszcze mniéj, aniżeli powiedział. Zresztą, cała informacyjna część jego pracy jest rzeczą podrzędną: wartość jéj zależy przedewszystkiém od wartości przekładu.

Jakże tedy wywiązał się Kaszewski z zadania tłómacza?

Że lepiéj niż filolog Węclewski, to można twierdzić śmiało, rozpatrując jego tłómaczenie z literackiego stanowiska. Jest ono w ogólności wierne i obok tego poczytne. Poczytne nie dla tego

jedynie, że jest gładkie i poprawne, bo tłumacz ustrzegł swoję dykcyą od rozmaitych zawiłych i nieswojskich zwrotów: któremi tak często grzeszą przekłady filologiczne; ale i dla tego, że jest zrozumiałe, czyli lepiéj mówiąc—przejrzyste. Tłómacz umiał tak szczęśliwie uwydatnić logiczny związek pojedyńczych myśli oryginału, że czytelnik bez wysiłku dostrzega organiczną łączność nietylko bliższych i drobniéjszych szczegółów, ale nawet większych części kompozycyi. Jestto zaleta, która dla tego głównie zasługuje na zaznaczenie, że nie posiadają jéj zwykle przekłady filologów, nie uwzględniających odmiennéj natury języka polskiego, która wymaga koniecznie pewnych uproszczeń. Przejrzystość przekładu Kaszewskiego okazuje się szczególniéj w dłuższych przemówieniach i w chórach, zwłaszcza chóry zostały przełożone w ten sposób, że czytelnik z łatwością odgadnie ich ideję i dopatrzy się łączności z danym momentem akcyi, która przez to nabierze w jego oczach właściwego oświetlenia. Żałować tylko należy, że tłumacz nie dołożył starań, żeby oddać choć w części misterną symetryją budowy chórów; z pod jego pióra każda zwrotka wyszła jako zaokrąglona całostka, nie posiadająca żadnéj zewnętrznéj łączności z innemi: każdéj nadał samoistną, odmienną miarę wierszową i rym. Tymczasem owa symetrya stanowi kardynalny warunek chórów, jednę z charakterystyczniejszych właściwości artyzmu greckiego; należało więc ją w przekładzie zachować.

Jakkolwiek to zaniedbanie tłómacza wydaje mi się niemałym grzechem literackim, nie jest on wszakże tak doniosłym, żeby miał sam przez się obniżyć znacznie wartość przekładu.

Dykcya Kaszewskiego, lubo w ogólności gładka i poprawna, nie odznacza się wysokim nastrojem poetyckim. Miejscami wprawdzie zdobywa się na podniosłość i siłę, często wszakże bywa powszednia i mdła, bo rozcieńczona mnóstwem wyrazów zdawkowych użytych dla zwalczenia trudności rymotwórczych. Gdyby Kaszewski był tłómaczył wierszem białym, zachowując rymowany tylko dla chórów, dykcya przekładu byłaby niewątpliwie poetyczniéjsza. Nie dość na tém: rezygnując z wiersza rymowanego, którego wymaganiom talent jego niezawsze nastarczył, byłby uchronił swój przekład od bardzo licznych, częściéj wprawdzie drobnych, ale niekiedy i rażących usterek.

Już wielkie mnóstwo rymów zbyt pospolitych, utworzonych przy pomocy wyrazów takich, jak np. w c a l e, p r z e c i e, n i n i e, n a d o b i e i t. d., nie sprawia dobrego wrażenia. Uszłyby one, a nawet byłyby może właściwe w przekładzie jakiegoś utworu, napisanego niedbale albo nieudolnie; ale w tłómaczeniu kompozy-

cyi tak wytwornego artysty, jak Sofokles, rażą w pewnéj mierze dysonansem, pomimo że są nazupełniéj poprawne.

Nie przemawia też na korzyść przekładu i to, że tłómacz dla rymu używa bardzo często wyrazów w znaczeniu niewłaściwém. Tak np. w Filoktecie czytam: „Zamiar mój późniéj ci zjawię“ (zamiast: wyjawię); podobnież w Edypie królu: „Chciéj mi wprzód powód nienawiści zjawić“. Czytelnik wprawdzie łatwo się tu domyśli, jak ma ten wyraz rozumiéć. Gorzéj bywa w innych miejscach, gdzie wyrazy niewłaściwie użyte pociągają za sobą zmianę myśli. W Elektrze np. znajduję:

Bóg acherońskich wybrzeży
Spełni też, co *mu* należy

(zamiast: co do niego należy). W Antygonie posłaniec, widząc, jak małżonka Kreona rozpacza po stracie syna, powiada, że boi się, „czy czasem ją do jakiéj chęć nie skusi biedy“.

Pomijam błąd składniowy (ją) i zwracam tylko uwagę na to, że biedy, użyte tu dla rymu do kiedy, ma oznaczać: do jakiego rozpaczliwego kroku, czego już bynajmniéj rzeczownik ten nie wyraża.

W Trachinkach znów umierający Herakles w ten sposób zaleca synowi poślubić Jolę:

I jeśli na złamanie danych mi przysiąg nie dybiesz,
Skoro umrę, ją sobie za małżonkę wybierz.

Wygląda to tak, jak gdyby Herakles miał prawo rzucać tak krzywdzące posądzenie na postępowanie Hylosa. Bynajmniéj!

W Elektrze Chryzotemida, donosząc siostrze o złowieszczym śnie Klitemnestry, powiada:

Mówią, że ona zobaczyła zblizka
Ojca naszego,—już to po raz wtóry.

Czytelnik musi z tych wyrazów wywnioskować, że zabity Agamemnon już dwukrotnie ukazywał się we śnie mężobójczéj żonie. Tak rozumiejąc, nie potrafi sobie wytłómaczyć, dla czego Klitemnestra zaniepokoiła się dopiero po powtórném ukazaniu się męża, skoro do snów złowieszczych przywiązywała wagę. Porównanie z oryginałem okaże tu wielkie skrzywienie myśli poety. Chryzotemida u Sofoklesa powiada, że przyśniło się Klitemnestrze, jakoby powtórnie zaślubiała Agamemnona,—co już zupełnie inaczéj stan rzeczy przedstawia.

W innym znowu rodzaju spostrzegam błąd w Ajasie. Bohater téj tragedyi, nabrawszy przekonania, że powinien sobie odebrać życie, żegna się z swym synkiem i tak do niego między innemi przemawia:

Bądź od rodzica szczęśliwszym na świecie,
We wszystkiém zresztą równy jemu zgola,
A zła cię dola dosięgnąć nie zdoła.

Tu wiersz ostatni jest co do myśli powtórzeniem pierwszego, nietylko zbyteczném, ale i nielogiczném. W oryginale wierszowi temu odpowiada zdanie: καί γένοι' ἄν οὐ κακός, co Węclewski przetłómaczył wierniéj i logicznie: a nie będziesz niecny.

Dalsze porównanie z oryginałem okazuje, że przekład Kaszewskiego grzeszy miejscami ciemną frazeologią. Tak np. w Elektrze, Klitemnestra, niespokojna o swoję przyszłość z powodu Oresta, wyraża tę obawę w sposób następujący:

Lecz coś w płynącym nieustannie czasie
Do rychléj śmierci mnie prowadzić zda się.

Godzi się wątpić, czy frazes ten nazwie ktokolwiek szczęśliwym. Sofokles powiada zwięźle i dosadnie: „lecz najbliższa przyszłość ukazywała mnie zawsze jako umarłą",—co Węclewski, lubo nie dosłownie przełożył wiernie i zrozumiale: „lecz w każdéj chwili przed oczami mojemi stała mara śmierci".

W téj saméj tragedyi chór, perswadując Elektrze, żeby nie poddawała się coraz to większéj rozpaczy po stracie ojca, powiada:

Próżno cię trawią te ciągłe żale,
Które od cichych wzmagasz bez granic.

Tu wyrażenie, odznaczone rozstawionemi czcionkami, brzmi niezręcznie i jest na razie niezrozumiałe. Podobnież w Edypie królu Jokasta, słysząc od gońca z Koryntu, że przynosi nowiny, które sprawią jéj radość i boleść zarazem, zapytuje:

Cóż to ma znaczyć, i czemuż to one
Mają być w sile swéj rozdwojone?

I tutaj tłómacz, pomimo że rozszerzył zwięzłe wyrażenia oryginału, myśl jego zaciemnił.

Te i tym podobne błędy i usterki, jakkolwiek wzięte zosobna, są wogóle małoznaczne, samą już ilością swoją szpecą pracę tłómacza i usprawiedliwiają orzeczenie, że nie można nazwać jéj bezwzględnie dobrą.

Zresztą nie wszystkie tragedye w równéj mierze podlegają zarzutom. Edyp w Kolonie wyszedł z pod pióra tłómacza stosunkowo najlepiéj: wolny on jest prawie zupełnie od tych skaz, jakie się spotykają w innych tragedyach; w Ajasie, a szczególniéj w Elektrze możnaby wytknąć najwięcéj wszelkiego rodzaju usterek; Edyp król, Trachinki i Antygona należą do udatniejszych.

Przeciętnie tedy biorąc, przekład Kaszewskiego wypadnie nazwać, co najmniéj, udatnym i jako taki jest dla naszego piśmiennictwa bardzo pożądanym nabytkiem. Pomimo swoich stron słabych i usterek przyczyni się on niemało do zapoznania szerszego ogółu z utworami pierwszorzędnego dramaturga greckiego. Można chyba powiedzićć bez przesady, że gdybyśmy przynajmniéj w takich przekładach posiadali wszystkich wybitniejszych klasyków, znalibyśmy wtedy literaturę klasyczną o wiele lepiéj, niż obecnie, i moglibyśmy od następnych tłómaczów wymagać tylko przekładów wzorowych.

Edw. Grabowski.





STAN I RUCH LUDNOŚCI W EUROPIE

W OSTATNICH LAT DZIESIĄTKACH. *)

Liczba ludności kraju, jéj wzrost z biegiem czasu, stopień płodności i śmiertelność, posiadają z wielu względów znaczenie tak pierwszorzędnéj wagi dla państw i narodów, że muszą budzić zajęcie w każdym inteligentnym człowieku. Korzystamy więc z danych statystycznych, jakie mamy pod ręką, by czytelnikom przedstawić tę sprawę za ostatnie lat dziesiątki, odnośnie do najważniejszych państw europejskich, przyczém postaramy się téż uwzględnić szczegółowo niektóre dzielnice, bliżéj nas obchodzące.

Ponieważ z powodu braku odpowiednich cyfr, nie możemy porównać ze sobą wszystkich państw w jednych i tych samych latach, przeto zestawimy tylko daty o ile możności najbardziéj do siebie zbliżone, zaznaczając je dokładnie w nawiasie. Otóż wymienione poniżéj państwa i kraje miały ludności:

(*) Materyał liczbowy do pracy niniejszéj czerpaliśmy:

a) dla państw zachodnio-europejskich (z wyjątkami zaznaczonymi w tekście) z tablic przytoczonych w *Jahrbücher für Nationaloekonomie und Statistik*, zeszyt styczniowy i lipcowy z r. 1888. *Rocznik statystyki Galicyi* d-ra Rutowskiego, Lwów, 1887. Eug. von Bergmanna: *Zur Geschichte der Entwickelung deutscher, polnischer und jüdischer, Bevölkerung in der Prowinz Posen seit* 1824. Tubinga, 1883, co do r. 1885 ze *Statistisches Jahrbuch für das Deutsche Reich*, rocznik VIII i IX.

b) dla Rosyi, do do r. 1884 i 1885 *Zbiór wiadomości o Rosyi* za r. 1884 i 1885; co do lat dawniejszych z dzieła prof. Jansona *Statystyka porównawcza Rosyi i państw zachodnio europ.* t. I.

c) dla Królestwa Polskiego, co do r. 1884—5 ze wzmiankowanego wyżéj Sbornika, co do lat dawniejszych z pracy prof. G. Symonienki *Statystyka porównawcza Królestwa Polskiego i innych krajów europejskich.*

Większość stosunków procentowych obliczyliśmy sami na podstawie cyfr absolutnych, przytoczonych w źródłach.

Rosya europejska	(1858)	— 66,891,493 —	(1885)	— 89,685,489
Niemcy (1) . . .	(1860)	— 37,745,187 —	(1885)	— 46,855,704
Francya (2) . . .	(1861)	— 37,386,313 —	(1886)	— 38,218,903
Anglia	(1861)	— 20,066,224 —	(1886)	— 27,870,586
Szkocya	(1861)	— 3,062,294 —	(1886)	— 3,949,393
Irlandya	(1861)	— 5,798,967 —	(1886)	— 4,887,439
Austrya	(1857)	— 18,224,500 —	(1885)	— 22,868,825
Węgry.	(1857)	— 13,768,443 —	(1880)	— 15,725,710
Włochy . , . .	(1861)	— 25,023,810 —	(1885)	— 29,699,785
Hiszpania . . .	(1860)	— 15,673,536 —	(1884)	— 16,958,178
Belgia	(1860)	— 4,671,183 —	(1885)	— 5,853,278
Szwecya	(1860)	— 3,859,728 —	(1885)	— 4,642,769
Norwegia. . . .	(1855)	— 1,701,478 —	(1880)	— 1,925,000
Szwajcarya . . .	(1860)	— 2,510,494 —	(188)	— 2,846,102

Z głównych państw niemieckich posiadały:

Prusy (3). . . .	(1867)	— 24,047,934 —	(1885)	— 28,318,470
Bawarya	(1858)	— 4,615,748 —	(1885)	— 5,420,199
Saksonia	(1858)	— 2,122,902 —	(1885)	— 3,182,003
Wirtembergia . .	(1858)	— 1,690,898 —	(1885)	— 1,995,185
Baden	(1858)	— 1,340,735 —	(1885)	— 1,601,255

Obliczywszy na podstawie powyższych cyfr (4) średni przyrost roczny ludności wymienionych państw i krajów, i uporządkowawszy je według postępu malejącego, otrzymamy, iż przyrost wzmiankowany wynosił:

„ Anglii	1,30%	We Włoszech. . . .	0,71%
„ Rosyi europejskiéj .	1,01 „	w Szwajcaryi . . .	0,63 „
„ Szkocyi	1,01 „	„ Węgrzech	0,58 „
„ Belgii	0,90 „	„ Norwegii	0,49 „
„ Niemczech . . .	0,86 „	we Francyi	0,35 „
„ Austryi	0,81 „	w Hiszpanii	0,33 „
„ Szwecyi	0,74 „	„ Irlandyi	0,68 „

Na wysokość przytoczonych tu cyfr wywiera w wielu krajach duży wpływ wchodźstwo i wychodźstwo zagraniczne. Ażeby zbadać t. zw. naturalny przyrost zaludnienia, musimy porównać przeciętną cyfrę urodzeń, z takąż cyfrą śmiertelności w każdym z krajów.

---

(1) „Niemcy" obejmują tutaj wszystkie kraje, wchodzące w skład dzisiejszego cesarstwa niemieckiego.

(2) Cyfrę ludności francuskiéj z r. 1886 obniża ubytek 1½ miliona mieszkańców Alzacyi i Lotaryngii, które w r. 1871 odeszły do Niemiec.

(3) W r. 1858 liczyły Prusy 17,739,913 głów ludności, która wzrosła do r. 1867 do 19,671,841, po przyłączeniu zaś w tym roku kilku nowych prowincyi i miasta Frankfurtu, podniosła się do 24,047,934.

(4) Dla Francyi bierzemy do porównania r. 1876 i 1886, w celu wyłączenia z rachunku utraconéj ludności Alzacyi i Lotaryngii. W r. 1876 wynosiła ludność Francyi 36,905,788.

Otóż na każde 10,000 ludności w ciągu okresu lat, oznaczonych w nawiasie, przeciętnie:

		rodziło się.	umierało.	procent przyrostu naturaln.
We Włoszech . . .	(1871—85)	449	297	1,52%
w Norwegii. . . .	(1871—85)	329	179	1,50 „
„ Szkocyi	(1877—85)	344	205	1,39 „
„ Anglii	(1877—85)	338	206	1,32 „
„ Rosyi europejskiéj	(1867—70)	498	373	1,25 „
„ Holandyi. . . .	(1876—85)	340	216	1,24 „
„ Szwecyi	(1871—85)	303	180	1,23 „
„ Danii	(1871—85)	307	188	1,19 „
„ Niemczech . . .	(1871—85)	399	282	1,17 „
„ Belgii	(1876—85)	318	217	1,01 „
„ Węgrzech . . .	(1877—85)	453	356	0,97 „
„ Szwajcaryi . . .	(1876—84)	344	248	0,96 „
„ Austryi	(1871—85)	399	304	0,95 „
„ Hiszpanii . . .	(1866—70)	364	308	0,56 „
„ Irlandyi	(1877—85)	247	198	0,49 „
we Francyi	(1877—85)	263	224	0,39 „

Największą cyfrą urodzeń odznacza się Rosya europejska (498). Po niéj idą: Węgry (453), Włochy (449), wreszcie Niemcy i Austrya (399). Przeciwnie najmniéj urodzeń wykazuje: Irlandya (247) i Francya (263), czyli z jednéj strony najbiedniejszy, z drugiéj najzamożniejszy lud w Europie. Najniższą cyfrą śmiertelności cieszą się: Norwegia (179), Szwecya (180), Dania (188), a zarazem — rzecz dziwna — Irlandya (198). Bardzo pomyślne jeszcze cyfry zejść przedstawiają: Szkocya (205), Anglia (206), Holandya (216), Belgia (217) i Francya (224). Natomiast największa śmiertelność panuje w Rosyi europejskiéj (373), Węgrzech (356).

Porównawszy teraz przyrost rzeczywisty ludności z „naturalnym“, przekonamy się, iż pierwszy dzięki imigracyi przewyższał drugi:

w Królest. Polskiém . o 0,31% w Galicyi. . . . . . o 0,09%

Przeciwnie przyrost faktyczny skutkiem emigracyi był mniejszy od „naturalnego“:

w Irlandyi.	o 1,17%	w Niemczech . . .	o 0,31%
„ Norwegii	„ 1,01%	„ Rosyi europ. . . .	„ 0,24%
we Włoszech . . .	„ 0,81%	„ Hiszpanii	„ 0,23%
„ Szwecyi	„ 0,49%	„ Austryi	„ 0,14%
„ Węgrzech . . .	„ 0,39%	„ Belgii	„ 0,11%
„ Szkocyi	„ 0,38%	we Francyi	„ 0,04%
w Szwajcaryi . . .	„ 0,33%	w Anglii	„ 0,02%

W ścisłym związku ze śmiertelnością ludności kraju znajduje się zazwyczaj procent zawieranych przez nią w ciągu danéj jednostki czasu małżeństw. Im więcéj bowiem małżonków przedwcześnie umiera, tém częściéj wdowcy i wdowy przystępują na nowo do ołtarza. Otóż na 10.000 ludzi w rozpatrywanych przez nas krajach zawierano przeciętnie w ciągu roku związków małżeńskich:

W Węgrzech	(1871—85)	— 98
„ Rosyi europ. wraz z Kr. Polskiem i Finlandyą	(1871—82)	— 86
„ Niemczech	(1871—85)	— 83
„ Austryi .	(1877—85)	— 82
„ Szwajcaryi	(1876—84)	— 80
„ Anglii. .	(1877—85)	— 79
we Francyi .	(1877—85)	— 78
„ Włoszech	(1877—85)	— 77
W Danii .	(1871—80)	— 76
„ Hiszpanii	(1866—70)	— 73
„ Norwegii	(1871—85)	— 72
„ Belgii .	(1876—85)	— 69
„ Holandyi	(1871—55)	— 69
„ Szkocyi	(1877—85)	— 69
„ Szwecyi	(1871—85)	— 66
„ Irlandyi.	(1877—85)	— 44

Porównawszy tę tabliczkę z cyframi śmiertelności, spostrzegamy, iż wogóle rzeczywiście przy większéj śmiertelności w danym kraju większy jest zarazem procent zawieranych małżeństw (Węgry, Rosya, Niemcy i Austrya), przy mniejszéj — mniejszy (Irlandya, Szwecya, Szkocya, Holandya, Belgia). Wyjątek od téj reguły stanowią głównie 4 kraje: Anglia, Francya i Dania, które przy niskiéj cyfrze śmiertelności mają stosunkowo wysoką cyfrę małżeństw, oraz Hiszpania, która przy znacznéj śmiertelności wykazuje małą liczbę zawieranych małżeństw.

Ciekawe są jeszcze cyfry, dotyczące stosunku płci męskiéj do żeńskiéj wśród nowonarodzonych dzieci, oraz wśród całéj ludności wogóle. Dane odnoszące się do tego przedmiotu, przedstawiają rzecz, jak następuje:

	Na 1000 chłopców urodziło się dziewcząt:		Na 1000 mężczyzn było kobiet:	
We Włoszech . .	(1871—85)	— 940 —	(1885)	— 995
W Belgii	(1876—85)	— 949 —	(1885)	— 1,002
We Francyi . . .	(1877—85)	— 951 —	(1886)	— 1,005
W Rosyi europej.	(1884—85)	— 949 —	(1885)	— 1,012
„ Holandyi. . .	(1876—85)	— 946 —	(1886)	— 1,018
„ Węgrzech . .	(1877—85)	— 945 —	(1880)	— 1,018
„ Danii	(1871—80)	— 951 —	(1880)	— 1,038
„ Szwajcaryi . .	(1876—84)	— 957 —	(1880)	— 1,041
„ Niemczech . .	(1871—85)	— 952 —	(1885)	— 1,043
„ Irlandyi . . .	(1877—85)	— 948 —	(1886)	— 1.043
„ Hiszpanii. . .	(1866—70)	— 940 —	(1884)	— 1,045
„ Austryi . . .	(1871—85)	— 943 —	(1885)	— 1,047
„ Anglii. . . .	(1877—85)	— 959 —	(1886)	— 1,055
„ Szwecyi . . .	(1871—85)	— 955 —	(1885)	— 1,059
„ Norwegii. . .	(1871—85)	— 937 —	(1880)	— 1,069
„ Szkocyi . . .	(1877—85)	— 949 —	(1886)	— 1,076

Tak wielkie różnice pomiędzy stosunkiem obu płci wśród nowonarodzonych, gdzie stale przeważa liczba chłopców, i wśród ludności wogóle, gdzie za jedynym wyjątkiem Włoch ujawnia się we wszystkich krajach przewaga liczby kobiet, pochodzą w części z większéj śmiertelności chłopców, w części zaś z większego udziału mężczyzn w emigracyi. Ta ostatnia właśnie przyczyna wyjaśnia nam fakt tak znacznéj przewagi kobiet nad mężczyznami w Szwecyi, Norwegii i Szkocyi. Największą równowagę pomiędzy liczbą obu płci znajdujemy:we Włoszech, Belgii i Francyi, a poniekąd jeszcze w Rosyi, Holandyi i Węgrzech. Z krajów pominiętych w tabliczce naszéj, przeważa liczba mężczyzn nad liczbą kobiet: w Grecyi (w r. 1870 na 1000 mężczyzn 933 kobiety), Serbii (w r. 1866 na 1000 m. 940 k.) i Rumunii (w r. 1860 na 1000 m. 944 k.).

Ze względu na siły produkcyjne ludności niezmiernie ważny jest jéj podział według wieku. Wzajemny stosunek różnych grup przy takim podziale zależy od 4 warunków, a mianowicie od wysokości cyfry urodzeń, śmiertelności, immigracyi i emigracyi.

Cyfry poniższe co do tego przedmiotu dla Niemiec odnoszą się do r. 1885 (1), dla innych krajów — do początku lat siedmdziesiątych (2). Otóż na 10,000 ludności ogólnéj przypadało przeciętnie ludzi, mających lat:

	mniéj niż 20,	20—60,	więcéj nad 60
We Francyi	3,550 —	5,292 —	1,158
w Austryi	4,310 —	5,030 —	660
we Włoszech. . . .	4,354 —	4,934 —	712
w Węgrzech . . .	4,682 —	4,810 —	508
„ Szwecyi i Norwegii	4,383 —	4,780 —	837
„ Niemczech . . .	4,490 —	4,700 --	810
„ W. Bryt. i Irlandyi	4,577 —	4,614 —	809

Ze stanowiska czysto ekonomicznego najkorzystniéj przedstawia się ugrupowanie ludności we Francyi. Nietylko bowiem posiada ona największą liczbę ludzi w wieku od lat 20 do 60, ale zarazem niezwykle wysoka dla niéj cyfra starców wskazuje, że wielu z nich musi się cieszyć jeszcze pełnią sił i zdrowia, a zatém i zdolnością do pracy. Przytém dzięki małéj liczbie urodzeń i niewielkiéj śmiertelności wydaje ona stosunkowo najmniéj ze wszystkich krajów na wychowanie dzieci. Wysoka cyfra grupy średniéj w Austryi i Węgrzech nie ma już takiego znaczenia, jak we Francyi, gdyż mała liczba starców każe przypuszczać, że w krajach tych już przed 60-ym rokiem życia musi często zachodzić niezdolność do

(1) *Statist. Jahrbuch f. d. D. R.* Rocznik ósmy.—(2) Prof. Janson. *Statystyka porównawcza cesarstwa rosyjskiego i państw zachodnio-europejskich*, tom I.

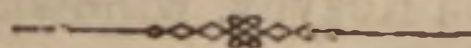
pracy. Pomyślne cyfry ludności włoskiéj w wieku dojrzałym są dla nas zagadką, ponieważ duża śmiertelność i liczna emigracya w tém państwie sprzeciwia się możliwości takiego ugrupowania wieku jego mieszkańców. Szwecya i Norwegia, oraz Niemcy, W. Brytania i Irlandya, wykazywałyby w grupie drugiéj i trzeciéj cyfry znacznie wyższe, gdyby ich nie zmniejszała liczna emigracya z tych krajów. Ugrupowanie kategoryj wieku ludności Królestwa Polskiego jest zapewne najbardziéj zbliżone do stosunków cesarstwa Niemieckiego ze względu na największe w nich podobieństwo cyfry urodzeń i śmiertelności.

Dla uzupełnienia tego obrazu stosunków ludnościowych przytoczymy tu jeszcze najnowsze cyfry co do gęstości zaludnienia różnych krajów. Mianowicie na jeden kilometr kwadratowy (1) ogólnéj powierzchni kraju przypadało mieszkańców:

W Saksonii. . .	(1885)	—212,2	W Bawaryi . . .	(1885)	—71,5
„ Belgii. . . .	(d-to)	—198,0	„ Szwajcaryi . .	(1880)	—69,0
„ Anglii . . .	(1886)	—184,7	„ Król. Polskiém.	(1885)	—65,9
„ Holandyi . .	(1885)	—135,0	„ W. K. Poznańsk.	(1885)	—59,2
„ Ks. Badeńskiém	(d-to)	—106,2	„ Irlandyi . . .	(1886)	—58,0
„ Wirtembergii	„	—102,3	„ Szkocyi . . .	„	—50,1
„ Włoszech . .	„	—100,0	„ Węgrzech . .	(1885)	—48,8
„ Prusach . . .	„	— 81,3	„ Hiszpanii . .	(1884)	—33,4
„ Galicyi . . .	„	— 79,7	„ Rosyi europ. .	(1885)	—17,8
„ Austryi . . .	„	— 74,0	„ Szwecyi . . .	„	—10,2
„ Francyi . . .	(1886)	— 72,3	„ Norwegii . . .	(1880)	— 6,1

W. Wścieklica.

(1) Kilometr kwadratowy jest cokolwiek mniejszy od wiorsty kwadr., a mianowicie: 1 wiorsta kw. = 1,083041 kilometra kw.





ROZBIORY, SPRAWOZDANIA
I WRAŻENIA LITERACKIE.

Godfryd Ossowski. Wielki kurhan Ryżanowski, według badań dokonanych w latach 1884 i 1887. Wydanie komisyi antropologicznéj Akademii umiejętności w Krakowie. Grand kourhan de Ryżanówka. Kraków, 1888, 4-o, str. nienumerowane 2 i 52. Tablica I—VI i 15 figur w tekście. Streszczenie w języku francuskim. — Gotfryd Ossowski. Materyały do paleoetnologii kurhanów ukraińskich. I. Wiadomości wstępne, kurhany Ryżanowskie, Nr. 4 i 5. Zbiór wiadomości do antropologii krajowéj, wydany staraniem komisyi antropologicznéj Akademii Umiejętności w Krakowie, 1888. Tom XII. Osobnego odbicia str. 1—46. Tab. I—VIII i 18 figur w tekście. — Gotfryd Ossowski. Materyały do paleoetnologii kurhanów ukraińskich. II. Kurhany. Kobrynowski Nr. 1 i Rezyński. Tamże 1888. Tom XII. Osobnego odbicia str. 1—34. Tablica I—V i 2 figury w tekście.

P. Godfryd Ossowski, który już poprzednio zbadał zabytki przedhistoryczne z Prus królewskich, oraz jaskiń okolic Krakowa i Ojcowa, jesienią roku 1887, stosownie do polecenia komisyi antropologicznéj i archeologicznéj Akademii umiejętności w Krakowi, zajął się badaniem kurhanów, znajdujących się w powiecie Zwinogrodzkim i zdążył rozkopać trzy z pomiędzy nich, oraz jeden kurhan, położony pod wsią Rezyny, w powiecie Humańskim, o kilka wiorst od zachodniéj granicy poprzedniego powiatu.

Na wyniosłości, rozdzielającéj dwa jary i ciągnącéj się na południe od miasteczka Ryżany ku wsi Zaleskie, wznosi grupa 21 kurhanów rozmaitéj wysokości: niektóre zaledwie są dostrzegalne, inne nad poziom otaczającego gruntu wznoszą przeszło 7 metrów. Ku południowi kurhany reżyńskie stykają się z kurhanami wsi Zaleskie, które ze swéj strony znajdują się w małéj odległości od kurhanów, ciągnących się na południe wsi Kobrynowéj. Wszędzie czarnoziem spoczywa na grubéj warstwie gliny mamutowéj, czyli dyluwialnéj, zwanéj c a l n i k i e m, w którą stopniowo przechodzi.

Z pomiędzy zbadanych kurhanów Ryżanowskich, najważniejszym jest wielki kurhan 7,56 m. wysoki, średnicy 30 m., oznaczony

przez autora liczbą 4. Dr. Hryncewicz badał kurhan w r. 1884, przekopawszy go dwoma rowami: z północy na południe i ze wschodu na zachód, lecz znaleziono tylko grot włóczni, kawałki węgli, rogi baranie, oraz kilka skorup dwóch amfor greckich i gliniany krążek, znajdujący się obok kości końskich.

Na wiosnę 1887 r., po roztopach ziemia zapadła się w zachodnim końcu wschodnio-zachodniego przekopu, skutkiem czego otworzył się dół znacznéj głębokości, na którego dnie widać bbło duże naczynie gliniane. Zachęciło to okolicznych włościan do poszukiwania w dole skarbów i rzeczywiście jeden z nich znalazł parę przedmiotów złotych, lecz natrafiwszy w nocy na czaszkę, która mu się w ręku pokruszyła, zdjęty zabobonnym strachem, zaniechał dalszego plondrowania i rzeczy znalezione odprzedał dr. Hryncewiczowi, a ten przesłał je w darze Akademii umiejętności. Zwróciły one uwagę uczonego ciała, które uznając ich wysoką wartość archeologiczną, poleciło p. Ossowskiemu dokładniéj zbadać grób, który ocalał szczęśliwym zbiegiem okoliczności. Poszukiwania p. Ossowskiego doprowadziły do następujących rezultatów.

W glinie dyluwialnéj czyli calniku mieściła się katakumba grobowa, złożona z chodnika i krypty grobowéj w któréj spoczywał szkielet i znajdowały się rozmaite przedmioty. Chodnik zaczynał się w pobliżu środka kurhanu i łagodnie zagłębiał się do 3,10 m. pod powierzchnią calnika, poczém przechodził w poziomą galeryą 6 m. długą. Ta znowu prowadziła do krypty grobowéj, złożonéj z dwóch części: część przytykająca do galeryi, miała dno na tym samym co ta ostatnia poziomie, dalsza zaś część była o 40 cm. głębsza. W téj to drugiéj części spoczywał szkielet, którego kości były zupełnie przegniłe i zaledwie udało się wyjąć kilka kości długich, pozwalających wnioskować, że to były szczątki kobiéty, a znalezione w grobie zęby, dowodziły młodego jéj wieku.

Na szkielecie i obok niego, znaleziono 473 przedmioty, służące za ozdoby pogrzebionéj kobiéty. 449 przedmiotów wyrobionych ze złota rozmaitéj próby ważyło 406,15 gr.; 21 przedmiotów ze srebra, ważyło koło 395 gr.; 2 przedmioty były z bronzu i jeden z kamienia; 13 przedmiotów zdobiło głowę umarłéj: dyadem, wielka ozdoba z wisiorkami, podłużna blacha czworokątna, kilka mniejszych blaszek, para wspaniałych kolczyków i drobne paciorki złote i kornalinowe. Na szyi znajdował się wspaniały naszyjnik, a ręce były ozdobione dwoma bransoletami: złotą i srebrną. Na palcach znaleziono 8 złotych pierścieni: dwa z monetami Pantikapei, dwa sygnety, trzy pierścienie gładkie i jeden amuletowy, ze zwyczajnym wapieniem. Pasek koło bioder zdobiły 42 rozety złote.

Ubranie, którego zaledwie ślady pozostały na szkielecie, miało 350 ozdób złotych i 20 srebrnych. Przy nogach znajdowały się dwa kółka bronzowe.

Obok szkieletu znajdowały się dwa naczynia srebrne, dwa bronzowe i trzy gliniane, oraz dwa szydełka kościane. Oba naczynia srebrne: miseczka i kubek, odznaczają się pięknem wykonaniem, ostatni zaleca się także ładnym rysunkiem wykuwanym, wyobrażającym gonitwę zwierząt. Z bronzu było piękne wiaderko i talerzyk. Gliniane naczynia były: bardzo ładnie wykonana waza, flakonik i miseczka, w której znajdował się paciorek gliniany.

Przy wejściu do krypty, w jéj płytszéj części, na desce, któréj pozostały małe ślady, znajdowało się naczynie bronzowe, zwierciadło metalowe, szpilka bronzowa i wielka, wspaniała amfora gliniana.

Wyroby złote, dwojaki mają charakter: większość pod względem technicznym, jako kute i wytłaczane, oraz pod względem pomysłów ornamentyki, mają charakter wybitnie grecki, a monety użyte na pierścienie, żadnéj pod tym względem nie pozostawiają wątpliwości. Niektóre wyroby złote zdradzają wpływ dalekiego wschodu, tj. sztuki asyryjskiéj lub arabskiéj. Wyroby drugiego rodzaju, bez porównania mniéj liczne, oraz naprawy wytwornie wykonanych przedmiotów, należą do roboty grubéj, nieumiejętnéj, zdradzającéj rękę barbarzyńca, niewątpliwie Scyta.

Pomieszanie dzieł wysokiéj sztuki jubilerskiéj z wyrobami grubéj i prostéj roboty pozwala przypuszczać że zmarła nie czyniła wyboru w ozdobach. Wskazywałoby to osobę niewykształconego, barbarzyńskiego gustu, z nierozwiniętém poczuciem estetyczném, zatém należałoby upatrywać w niéj Scytkę. Bogactwo stroju i insygnia, jak dyadem, wskazują, że zmarła musiała zajmować wysokie stanowisko i niewątpliwie należała do rodziny królewskiéj, albo była z nią ściśle związana, t. j. zapewne była to albo córka króla, albo jedna z jego kobiet. Złożenie zmarléj na posłaniu ze mchu i liści nakrytych tkaniną umocnia w tém przekonaniu, gdyż według Herodota w ten sposób składano zwłoki królów.

Przedmioty złożone w grobie przemawiają za powyższemi przypuszczeniami. Wreszcie sam grób starannie wydłubany w glinie i nakryty okazałym kurhanem także wskazuje na wysokie stanowisko społeczne pochowanéj, bo w grobach tego rodzaju zawsze znajdowano zwłoki uposażone wielkiém bogactwem drogocennych przedmiotów ówczesnego kunsztu, a w kurhanie D ł u g i m (Heremysowym) na prawym wybrzeżu dolnego Dniepru znaleziono nawet berło.

Monetypanty kapejskie, znalezione w grobie, wskazują, że złożenie w nim zmarłéj nastąpiło pomiędzy 650 a 480 rokiem ery przedchrześciańskiéj.

Kurhan Ryżanowski nr. 5. Mały ten kurhan nad otaczający grunt wznosił się tylko na jeden metr, a średnica jego podstawy wynosiła 15 *m*. Tuż pod powierzchnią, bo w głębokości 40 *cm* znaleziono kości konia zwyczajnego, skorupy naczyń z ładną ornamentyką linijną, których niepodobna było złożyć, tłuczek krzemienny, oraz w pobliżu kości końskich rozorany grób, w którym kości ludzkie w nieładzie leżały i były pomieszane ze skorupami naczyń glinianych, z których odbudowano misę gustownie zrobioną. Z pozostałych skorup nie można było złożyć żadnego naczynia. Niedaleko grobu znaleziono miseczkę, a przy innym brzegu kurhanu wykopano naczynie podobne do greckiego krateru.

Ku środkowi kurhana, w głębokości metra znaleziono grób nienaruszony, w którym spoczywał wyciągnięty szkielet położony na plecach. Wszystkie jego kości były pokryte warstwą czerwonéj farby żelazistéj. Na palcu ręki znajdował się pierścień bronzowy, a przy kolanach leżały dwa naczyńka gliniane, jedno ozdobione ładną ornamentyką linijną, drugie zupełnie gładkie. Nadto w pobliżu szkieletu znajdowała się bryłka czerwonéj farby, takiéj saméj jak na powierzchni kości. Z delikatnéj budowy kości długich i kości czaszki wyprowadzono wniosek, że szkielet należał do kobiety, bardzo młodéj, jak o tém świadczyły znalezione zęby. W samym środku kurhanu, w głębokości 2 metrów znaleziono trzeci grób, w którym szkielet leżał na lewym boku i był w pozycyi skurczonéj. Obok niego żadnych nie było zabytków. Budowa kości wskazywała, że należał on do mężczyzny koło 40 lat wieku mającego, niskiego wzrostu i silnéj budowy. Szkielety obu nienaruszonych grobów były długogłowe.

Badany kurhan należał do rodzaju kurhanów z kilkoma grobami, urządzonemi w rozmaitych czasach. Sposób ułożenia szkieletu w najgłębszym grobie przemawia za przypuszczeniem, że należał on do czasów wieku kamiennego. Zniszczony grób, dla charakterystyki zawartéj w niém ceramiki, możnaby z niejakiém prawdopodobieństwem zaliczyć do okresu przejściowego pomiędzy wiekiem kamienia i bronzu. Grób nienaruszony położony w poziomie wyższym od grobu najgłębiéj urządzonego, jak to znaleziony w nim pierścień wskazuje, należał do czasu, w którym bronz był już w téj miejscowości znany i używany. Luźno znaleziony w nasypie tłuczek i nóż

krzemienny dowodzą, że wyroby właściwe wiekowi kamiennemu były w użyciu u miejscowéj ludności przez cały czas budowy tego kurhanu. Powłoka czerwonéj farby na szkielecie grobu ostatnio wspomnianego powtarza się w wielu innych grobach kurhanowych. Autor zgodnie z Qatrefagem przypuszcza, że odpowiednia ludność malowała swe ciało tą farbą, która po zniszczeniu samego ciała osiadała na kościach pozostałego szkieletu. Kształt naczyń glinianych podobny do kształtu naczyń greckich, w połączeniu z zabytkami wyrobów najpierwotniejszych, znajdowanych w tych samych grobach kurhanowych nasunął autorowi myśl, że te groby należą do czasów powszechnego użycia kamienia, w których kolonizacye Greków przyniosły zupełnie nową cywilizacyą.

Kurhan Kobrynowski nr. 1, (*nad Monasterami*) należy do grupy kurhanów wzniesionych na wzgórzu nad *jarami Monasterskiemi*, pomiędzy wsią Kobrynową i Hulajkami. Autor jesienią 1887 r. zbadał wielki kurhan *nad Monasterami*, którego średnica u podstawy 27 *m*, a wysokość w samym środku 2,70 *m*. Należy on do kurhanów wielogrobowych, tj. zawierał wiele grobów założonych w rozmaitym czasie. Groby znajdowały się nietylko na poziomie stałego gruntu, ale nadto występowały w górnéj części samego kopca. Oczywiście więc, po zajęciu grobami dawniejszemi całéj przestrzeni podkurhanowéj, na wzniesionéj płaszczyznie utworzonéj przez nasypy mogił znowu zakładano groby z właściwemi im nasypami i tym sposobem wznoszono okazały kopiec. Groby wyższych poziomów były poniszczone; zbadano 12 grobów nienaruszonych położonych na poziomie stałego gruntu.

Kawałek tłuczka kwarcowego, paciorek gliniany i ułamek amfory, znalezione w różnych miejscach kurhanu, przy zupełnym braku wszelkich zabytków metalowych wskazują, że przez cały czas wznoszenia go miejscowa ludność stale używała narzędzi kamiennych. Kawałek amfory greckiéj dowodzi znowu, że ludność miejscowa już się stykała z obcą kulturą.

Wszystkie groby nienaruszone jednakowo były zbudowane, lecz ich kierunek, żadnéj nie pokazywał prawidłowości. Każdy grób składał się z dołu czworobocznego ze ścianami, wyłożonemi warstwą ubitéj gliny. W grobie składano zwłoki osoby zmarłéj na prawym lub lewym boku, w pozycyi skurczonéj, z rękami złożonemi na biodrach i sięgającemi do kolan. Szkielety wyciągnięte należą do rzadkich wypadków. Z wyjątkiem dwóch, w każdym grobie znajdował się jeden szkielet. Po umieszczeniu zmarłego w dole grobowym, ten ostatni zasypywano ziemią i nakrywano de-

ską. Na szkieletach nie było żadnych śladów tkaniny, tylko na środkowéj części dwóch z pomiędzy nich znajdowały się ślady próchnicy, będącéj pozostałością skóry. Na szkieletach znajdowała się czerwona powłoka farby żelazistéj, o któréj powyżéj była już mowa. Czaszki szkieletów były długogłowe. Nieliczne zabytki kunsztu przedhistorycznego znalezione w grobach, należą do ostatnich czasów neolitycznych.

Kurhan Rezyński był wzniesiony nad jednym grobem s k l e p o w y m, składającym się z płytkiego chodnika i rozszerzonéj komory grobowéj. Nad chodnikiem i nad komorą znajdował się pułap z desek dębowych, podpartych w środku komory dwoma rzędami słupów. W grobie znaleziono tylko kilka długich kości ludzkich, co nasuwa myśl, że pochowano szczątki wojownika poległego w boju. Obok tych kości znajdował się szkielet konia; żelazne części i bronzowe ozdoby rzędu końskiego, trzy żelazne groty włóczni, czterdzieści bronzowych grotów strzał i amfora.

Z uwagi na charakter techniczny wyrobów, autor przypuszcza, że grób był założony w okresie czasu obejmującym 2—3 wieków przed Chr. i tyleż po Chr.

A. Wrześniowski.

Sprawozdanie z czynności Akademii nauk w Zagrzebiu (Rad jugoslawenske akademije).

Ostatnie trzy zeszyty naukowych prac, członków akademii południowo-słowiańskiéj w Zagrzebiu zawierają, jak zwykle, sporo materyału z dziedziny badań historycznych i filologicznych, które stanowią główne zadanie téj młodéj, a tak pomyślnie się rozwijającéj instytucyi naukowéj u Chorwatów. Pomijając rzeczy bardziéj specyalne, mogące zwrócić na siebie szczególną uwagę tylko specyalistów, jak np. „O spójnikach w językach słowiańskich“ lub studyum d-ra Raczkiego, prezesa akademii, o stanie Chorwacyi przed XII st., rzucimy choć pobieżnie okiem na niektóre prace, tyczące się literatury chorwackiéj przeważnie z okresu dubrownickiego. Okres ten, jak zresztą i inne epoki umysłowego rozwoju Chorwatów, nie jest jeszcze należycie poznany. Brak wyczerpujących monografij i studyów nad pojedyńczemi objawami piśmiennictwa nie pozwala dotychczas na ułożenie wyczerpującéj historyi literatury chorwackiéj; na takie zresztą dzieło nie czas jeszcze może i u innych narodów słowiańskich. Akademia w Zagrzebiu przeważnie studyuje przeszłość Chorwacyi pod względem rozwoju tak umysłowego, jak i politycznego; monografie w tym zakresie z każdym dniem się mnożą. Do takich prac właśnie zaliczyć obecnie prze-

dewszystkiem wypada krytyczny rozbiór poematu sławnego Gundulića „Dubrawki“, napisany przez pierwszego w Chorwacyi krytyka dra Markovića, a następnie studyum nad chorwackim przekładem jednéj z heroid Owidyusza, dokonanym w w. XV.

Krytyczna praca p. Markovića, napisana z powodu trzechsetnéj rocznicy narodzin Gundulića, nietylko odznacza się dokładnym rozbiorem poematu i ściśle przedmiotowym sądem, ale prócz tego zdradza wielce rozwinięte poczucie piękna i wyrobiony smak estetyczny autora. Marković łączy subtelny zmysł krytyczny z wrodzonym talentem poetycznym i to właśnie nadaje wszystkim jego ocenom utworów poetycznych wartość niemałą.

„Dubrawka“, dzieło dużego talentu, ma za treść swoją zwykłe dzieje miłości dwojga młodych ludzi, przeprowadzone bez żadnych kolizyj dramatycznych i wyszukanych zawikłań. Biorąc wzór z pasterskiego dramatu Tassa „Amyntas“, Gundulić postanowił pod zwykłą osłoną miłośnego stosunku uwydatnić inne wyższe idee, a mianowicie: odźwierciedlić polityczny i społeczny ówczesny stan Dubrownika. Gdy Wenecya, owa mórz królowa, rozciągnęła w początkach XV stulecia swoje panowanie nad całą Dalmacyą, jeden tylko Dubrownik ostał się sile zaborców i, jak wyspa samotna wśród morza, był jedyném schronieniem dla uciekających przed prześladowaniem rzeczypospolitéj weneckiéj. Kto wszedł w mury tego grodu, był wolny i bezpieczny. Bohaterka eklogi Gundulića „Dubrawka“ jest uosobieniem Dubrownika, a ubiegający się o jéj rękę za pomocą złota wyobraża zdrajców, którzy nie wahali się za pieniądze uknuć spisek, aby oddać Dubrownik w ręce Bośniaków; zamach ten wszakże był w porę odkryty i rzeczpospolita dubrownicka ocalała. Fakt ten pod alegorycznemi postaciami powtórzył swoim ziomkom Gundulić i z zadania swego wywiązał się po mistrzowsku. Zapatrując się na „Dubrawkę“ ze stanowiska XVII w., musimy jéj przyznać wielkie zalety i postawić ją w rzędzie najlepszych tego rodzaju utworów swojego czasu.

Drugą ważniejszą pracą w zeszytach „Radu“ jest studyum dra Maiksnera nad przekładem heroidy Owidyusza p. t. „Paris Helenae“. Jest to nietylko najstarszy przekład w literaturze chorwackiéj, a raczéj dubrownickiéj z XV w., ale wogóle jeden z najpierwszych przekładów heroid w literaturach nowożytnych. Ze wszystkich poetów klasycznych w epoce odrodzenia najbardziéj przypadł do smaku Włochom Owidyusz; jego miłosne utwory miały taką wziętość, że w ciągu lat 50 (od 1471 do 1519) wyszło we Włoszech więcéj niż sto wydań dzieł tego poety, między temi heroid około czterdziestu. Dalmacya, pod wpływem włoskiéj oświaty zostająca,

przejęła to zamiłowanie i poeci dubrowniccy z zapałem studyowali i tłómaczyli klasyków rzymskich, a szczególnie Owidyusza, który, jako najwybitniejszy poeta miłości, najbardziéj harmonizował z ową epoką trubadurów dubrownickich. Pierwsi wyobraziciele humanizmu w literaturze dubrownickiéj Hektorović i Łuczić tłómaczą Owidyusza; pierwszy jego „Remedia amoris", drugi „Paris Helenae". Dr. Maiksner, rozpatrując szczegółowo ów ostatni przekład i porównywając go ze wszystkiemi znanemi w owym czasie wydaniami heroid, wykazuje, na ile poeta dubrownicki odbiegał od oryginału, tłómacząc zupełnie swobodnie i dowolnie wyrzucając całe wiersze lub dodając takie, których w oryginale nie ma. Podobna zresztą dowolność w przekładaniu była w owéj epoce rzeczą zwyczajną; i w naszéj literaturze z w. XVI i XVII istnieje sporo takich dowolnych przekładów (zwłaszcza opowieści) które właściwiéj możnaby nazwać naśladowaniem niż przekładem.

Z kolei następuje wyczerpująca ocena przez Maretića pierwszego zeszytu „Zarysów literatury chorwackiéj", profesora Broza. Chorwatom dotychczas zbywa na dobrym podręczniku do poznania literatury ojczystéj. Lukę tę postanowił wypełnić wyborny znawca piśmiennictwa Ivan Broz i w tym celu wypuścił na początek nakładem „Macierzy chorwackiéj" pierwszy zeszyt „Zarysów literatury", obejmujący wiadomości przedwstępne. Krytyk, poświęcając kilkanaście stronnic ocenie téj pracy, stawia poważne zarzuty autorowi, wszakże, jak się zdaje, nie zawsze słuszne. Sądziłbym, że największy zarzut, jaki można uczynić „Zarysom", jest zbyteczna drobnostkowość. W pierwszym tym zeszycie, zawierającym 166 stronnic w ćwiartce, autor nic jeszcze nie mówi o pracach umysłowych, a tylko daje zanadto szczegółowe, jak na zarys literatury, poglądy na znaczenie literatury wogóle, potém rozpatrzywszy języki indo-europejskie, przechodzi z kolei do słowiańskich, a w końcu najobszerniéj mówi o chorwackim. Taki olbrzymich rozmiarów wstęp byłby stosowniejszy przy obszernéj, kilkunastotomowéj literaturze, jak np. nasza Wiszniewskiego, jest zaś zupełnie niewłaściwy przy „Zarysie literatury". Jeśli prof. Broz w następnych zeszytach (których dotąd nie wydał) będzie odpowiednio do wstępu traktował dzieje piśmiennictwa swego narodu, otrzymamy obszerną, a prawdopodobnie z niemałemi brakami pracę, ponieważ, jak rzekłem wyżéj, przeszłość umysłowego życia Chorwatów nie jest jeszcze dostatecznie zbadana.

Znacznym dość przyczynkiem do rozwoju oświaty u Chorwatów w wiekach średnich jest rozprawa członka akademii Tkalczića „O stanie wyższych szkół w Chorwacyi za czasów Paulinów". Szkol-

nictwo w Chorwacyi, jak wogóle w Europie średniowiecznéj, bierze swój początek od czasu wprowadzenia chrześciaństwa i zakładania zakonów. Najpiérw zakony Benedyktynów i Cystersów poczęły zakładać szkoły elementarne, w których cała nauka polegała na znajomości i to dość słabéj języka łacińskiego, czytania i pisania, a w końcu na przyswojeniu sobie najpierwszych zasad religijnych. Oprócz tych szkółek przy klasztorach Zagrzeb posiadał wyższe szkoły t. zw. seminaryalne, w których kurs nauk składał się z trzech działów: *gramaticalia*, gdzie uczono łaciny, *logicalia* z wykładem logiki i retoryki i *teologia*, dział najważniejszy nauce religii i czytaniu pism pisarzy kościelnych poświęcony. Prócz tego w szkołach tych uczono medycyny, która polegała, jak wszędzie zresztą wówczas na poznaniu ziół leczniczych, połączoném prawdopodobnie z pewną dozą zaklęć i t. p. praktyk średniowiecznych. Taki stan trwał do XVI w., gdy zakon Paulinów otworzył wyższą szkołę przy swoim klasztorze, w mieście Lepogławiu. Szkoła ta staraniem wielce oświeconych na swój czas zakonników zasłynęła wkrótce jako pierwszorzędna w kraju i poniekąd odegrała taką rolę, jak nasza akademia krakowska w XV st., gdyż prócz Chorwatów i Węgrzy tłumnie się do niéj cisnęli. Atoli zakon Jezuitów, wprowadzony do Chorwacyi w r. 1606, zaraz w roku następnym otworzył swoją szkołę w Zagrzebiu, co podkopało znacznie szkołę Paulinów, która z tego powodu w 1644 r. została zamknięta. Wszakże Paulini, jak nasi Pijarzy, poczęli współzawodniczyć w szkolnictwie z Jezuitami i na miejscu zamkniętego zakładu, otworzyli wkrótce nowy w tém samém mieście i wykładali tylko wyższe nauki: filozofię i teologię. W owéj epoce (w XVII i XVIII w.) zakon Paulinów wydał ze swego łona cały szereg uczonych mężów, którzy poświęcając się specyalnym naukom, pozostawili po sobie rozgłos i sławę u swojego narodu. Do takich ludzi przedewszystkiém należą: Orłović, teolog, Gaszparotti, autor dzieł teologicznych, przesiąkłych duchem ascetyzmu, zaś szczególnie uczonością wsławił się doskonały znawca prawa Maleczić, który za pierwszych dni panowania Augusta II-go był wezwany do Polski w sprawach zakonu Paulinów. Z tego skorzystał cesarz Leopold, dając Maleczić'owi polecenie zawiadamiania go o wszystkiém, co zajść mogło na dworze polskim, a tyczyłoby się polityki austryackiéj. Odegrywał więc Maleczić poniekąd rolę tajnego agenta dworu austryackiego, co zresztą było rzeczą dość zwyczajną i powszechną w Europie.

Wogóle praca Tkalczića jakkolwiek nie wyczerpuje danego przedmiotu w zupełności, atoli zaleca się treściwym wykładem, dającym możność urobienia sobie ogólnego poglądu na dawne szkolnictwo w Chorwacyi.

W końcu rzućmy okiem na ostatnią z wybitniejszych prac naukowych, zakreśloną na większą skalę i ciągnącą się przez kilka już z kolei zeszytów „Radu, a jeszcze niedokończoną pracę członka akademii Nadka Nodiły p. t. „Religia Serbów i Chorwatów".

W podaniach, przysłowiach, a nadewszystko w pieśniach Chorwatów i Serbów, którzy, jak wiadomo, przewyższają wszystkie szczepy Słowiańskie bogactwem literatury ludowéj, szuka autor śladów pierwotnych wyobrażeń religijnych swojego narodu; posiłkując się przytém filologią porównawczą, stara się wykazać nietylko wspólność pojęć mitologicznych wszystkich Słowian, ale i pokrewieństwo ich z innemi narodami aryjskiego szczepu. Najwyższy, wedle Helmholda i Saksona, bóg Słowian połabskich Swantewid istnieje wedle autora i w mitologii Słowian południowych. Słowo Swantewid, składa się z rzeczownika *Wid*, co znaczy bóg (Wid=Diw=Deus=Zeus, wreszcie litewskie Dewas), zaś *swante* jest przymiotnikiem i wedle Mikloszicza oznacza silny, mocny (1). Ów Wid pozostał dotychczas nietylko w pieśniach i przysłowiach lub podaniach ludowych, ale nawet nosi jeszcze i teraz tę nazwę kilka wzgórz i pagórków w Serbii i Hercogowinie, np. Vidojevac istnieje jako nazwa wzgórza w Serbii; lub Sut-Vid, pagórek w Dalmacyi, gdzie prawdopodobnie lud oddawał cześć swoim bogom. Jak wiadomo, kapłan w świątyni arkońskiéj, czyniąc doroczne obrzędy wobec zgromadzonego ludu przy posągu Swantewida, ukrywał się za olbrzymim kołaczem wypieczonym, i pytał ludu, czy go kołacz zakrywa całkowicie. (Kołacz był symbolem urodzajności w danym roku). W Hercogowinie pozostały ślady tego obrządku. Tam podczas Bożego Narodzenia chłopcy wiejscy chowają się za ogromny specyalnie na ten cel wypieczony kołacz i pytają przytomnych, czy są całkowicie zakryci. Wid serbsko-chorwacki ma żonę *Widę* lub *Widosawę*, siostrę swoją, co zupełnie odpowiada małżeństwu Zeusa z siostrą Herą. W Widosawie upatruje p. Nodiło podobieństwo do bogini Żywy, któréj główna świątynia, jak świadczy Helmhold, była w Raciborzu, blisko Lubeki. U Słowian południowych imię to musiało pierwotnie istnieć, za dowód czego mogą służyć imiona własne Živan i Živko, a więcéj jeszcze imię głównéj wili Živy, która uczyła ludzi uprawiać rolę i pasać bydło, za co lud szczególnym ją otaczał szacunkiem. Skutkiem tego pierwotnego wyobrażenia o małżeństwie Wida z siostrą wiele znajduje się w pieśniach serbskich opowieści o małżeństwie królów z siostrami, jak np. małżeństwo cara Stefana z siostrą Roksandą. Ten sam

---

(1) Mikloszicz. *Christ. Termin.*, s. 2.

pierwiastek rzeczownika Wid znajduje się bezwątpienia w imieniu Odyn, najwyższego boga Normanów i Wodan u Saksonów.

Podania i pieśni o dwóch braciach *Pojeździe i Przyjeździe* porównywa autor do mitu o Dioskurach greckich i o braciach Aświnach w hymnach Rig Wedy. Czynności i przymioty tych bohaterów zupełnie są takie same, jakie przechowały się w micie Indusów i Greków. Mają oni również siostrę, któréj imię *Zora* (niby jutrzenka, gwiazda jasna), zupełnie odpowiada imieniu siostry Dioskurów *Heleny* (jasna, świetlana) i imieniu siostry braci Aświnów *Uszu* lub *Surja* (gwiazda), która była córą słońca.

Bóg Perun, drugi z rzędu czterech największych, wedle Helmholda, bogów połabskich (1), istniał, jak sądzi autor i u Serbów, czego dowodem mogą być nazwy miejscowości niektórych, jak np. w Dalmacyi Perun-góra, u któréj stóp, wedle podania, oddawano cześć Perunowi. Obecnie w pieśniach i podaniach, imię to zamieniono na Gromownik; był to, jak sądzi autor, atrybut Peruna i gdy imię własne znikło, on tylko jakby na świadectwo pozostał; a nawet przeniesiono go na świętego chrześciańskiego Eliasza; stąd lud mówi: *Ilia Gromownik.* Perun słowiański wedle autora odpowiada germańskiemu Thorowi.

Z kolei zastanawia się p. Nodiło nad najpopularniejszemi u Słowian południowych postaciami mitycznemi, wilami. Rażące podobieństwo do nimf greckich, każe w tym względzie przyznać niezaprzeczoną wspólność wyobrażeń; obok tych samych przymiotów, obok analogii widocznéj w ubiorze, w stosunku ich do natury i ludzi, widzimy także i podział wil takiż niemal, jak i u Greków. Wila-*planinkinja* odpowiada greckiéj *oreadzie*, wila-*powodkinja* lub *brodarica* odpowiada *najadzie*, (chociaż może brodarica oznaczało także i oceanidę); wila *szumska*—to samo co *dryada*; prócz tego widzimy jeszcze jeden rodzaj wil, nieznany u Greków, a to wila *oblakinja*, tj. nimfa obłoków. Zdaje się, że germańskie *Walkirye* odpowiadają wilom słowiańskim.

Na tém urywa się wyczerpujące studyum p. Nodiły; dalsze jego części ukazywać się będą stopniowo w następnych zeszytach „Radu“.

Nie ulega wątpliwości, że praca ta będzie niemałym przyczynkiem do rozjaśnienia wogóle mitologii Słowian i w szczególe serbo-chorwackiéj, pomimo niektórych usterek, jak np. często zbyt śmiałych a bezpodstawnych przypuszczeń autora i upatrywania

(1) Autor przypuszcza, że ów Prove czy też Prone u Helmholda może oznaczać istotnie Peruna.

analogii zjawisk tam, gdzie zachodzi wielka jéj wątpliwość; upatruje np. autor analogię i orzeka o tożsamości słowiańskiego Trygława i Geriona greckiego lub dopatruje również tożsamości mytu o Niobie i powieści gminnéj o babie, którą zmroził chłodny Marzec razem z jagniętami za to, że śmiała powiedziéć, iż się go nie boi. Nadewszystko daje się w téj pracy uczuć jednostronność systemu badań. Autor posiłkując się filologią nie potrąca o archeologię, bez któréj badanie pierwotnéj religii słowian jest niemożliwe. Wprawdzie sam tytuł pracy wskazuje, że badania swe zacieśnił p. Nodiło tylko w ramach pieśni i podań ludowych, atoli i tu wyjaśnianie niektórych obrządków, imion postaci mitycznych i wogóle śladów dawnych wierzeń, powinno w pewnych wypadkach na pomoc przyzywać archeologię. O daniu całkowitego obrazu wiary Słowian, a chociażby nawet południowych tylko, rzecz oczywista mowy obecnie być nie może. Przy bardzo małym zasobie materyałów nateraz nawet ogólnych zarysów mitologii słowiańskiéj podać nie można. Przyszłość dopiéro przez zbiorową pracę jednostek szczególnie na polu archeologii urobi z prac pojedyńczych całość możliwie doskonałą.

J. Nitowski.

= **W mieście i na wsi**. *Opowiedziała dziatkom Konstancya* z *Żebrowskich Darewska-Weryha. Z 10 rysunkami Czesława Jankowskiego* (Mińsk, nakład i własność Zofii Sawickiéj, 1889, str. 53 w wielkiéj 8-ce). Książeczka ta przeznaczona jest dla dzieci umiejących już dobrze czytać, ale nie kształconych systematycznie według metody poglądowéj, a zatém dla większości młodziutkiego pokolenia. W historyi trojga dzieci, ciągnącéj się rok jeden przedstawiona tedy została jasna i dobitna charakterystyka czterech pór roku wraz z odpowiedniemi zajęciami i zabawami. Dzieci (Wicio, Kazia i Kocia) mieszkają w mieście, ale na lato wyjeżdżają na wieś, przypatrują się gospodarstwu, chodzą do obory, biorą udział w żniwach, zbierają jagody i grzyby. Za powrotem do miasta Wicio wchodzi do wstępnéj klasy w gimnazyum, a dziewczątka biorą lekcye od nauczycielki, bawią się wybornie na imieninach ojca, przygarniają ubogą sierotkę, dowiadują się dlaczego pod zimę niema u nas tyle owadów i ptaszków co w lecie, lepią figury ze śniegu, przypatrują się sztukom prestidygitatora, cieszą się wilią i choinką. Obok tego a raczéj równolegle z dziejami ogólnemi dzieci rozwija się poszczególna historya poprawy Koci, która miała bardzo dobre serduszko, ale była bardzo łakoma, uparta i trochę samowolna. Raz łakomstwo

nabawiło ją choroby, tak że nie mogła korzystać w całéj pełni ze święconego, na które ostrzyła sobie ząbki;—ale to jéj jeszcze nie poprawiło, dopiero gdy drugi raz sięgając pokryjomu po słój konfitur, upadła wraz z nim i najadła się wstydu nie tylko wobec domowych, lecz i gości nawet, dopiero wtedy odzwyczaiła się od brzydkiego nałogu. Gorzéj jeszcze wyszła na uporze i samowoli. Bo gdy na wsi będąc oddaliła się w lesie od towarzystwa, i zbłądziła, cyganie ją wzięli, pozbawili pięknéj sukienki i bielizny i porzucili rozgorączkowaną. Tylko dawniejszy dobry uczynek uratował ją z biedy. Odkupiła ona od ulicznika jakiegoś biedną psinę, która się przywiązała do dziewczynki i wszędzie za nią chodziła; pobiegła téż za nią do lasu, a gdy cyganie zostawili Kocię chorą, poczciwy Kaiecik pobiegł do wsi i sprowadził pomoc dla niéj. Z innych wad, a mianowicie nieposłuszeństwa poprawiła się Kocia dopiero od Bożego Narodzenia, gdy inne dzieci dostały bardzo piękne (może za drogie) podarunki na gwiazdkę, a ona—pęczek rózeg związany różową wstążeczką. Autorka zapewnia, że na drugi rok nie potrzebowała się Kocia wstydzić swéj gwiazdki. Całość pisana jest językiem poprawnym (zaledwie kilka konstrukcyi składniowych możnaby wytknąć), stylem prostym, jasnym, przystępnym dla dzieci nawet mało rozwiniętych. Wydanie bardzo staranne a nawet piękne: papier doskonały, druk duży i czysty, obrazki dobrze pomyślane i dobrze wykonane. Książeczkę szczerze można polecić.

= **Lelum-Polelum**, *opowiadanie historyczne z X wieku przez autora „Bitwy pod Raszynem". Z rysunkami W. Łuskiny*. (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1889, str. 239). Talent żywego, barwnego przedstawiania wypadków dziejowych i obyczajowych w sposób przystępny dla dzieci, mających jakie takie rozwinięcie i pewne wiadomości historyczne i gieograficzne, okazał autor „Lelum-Polelum" w niejednéj już książce, ocenianéj na tém miejscu. Robiono mu zarzut zbyt częstego krwi rozlewu i bójek, co wprawdzie zajmuje chłopców zwłaszcza w wysokim stopniu, ale za czynnik wychowawczy dodatni uważaném być nie może. Zarzutu atoli tego nie można w zupełności powtórzyć przy téj najnowszéj powiastce. Nie brak wprawdzie i w niéj scen krwawych, lecz ponieważ są konieczne, ponieważ jest ich stosunkowo niewiele, łatwo się z niemi pedagog pogodzi. Główne miejsce zajmują niebezpieczeństwa, w jakich się znajduje, i przygody, jakich doznaje młoda chrześcianka, Czeszka rodem, Mlada, która podsłuchawszy narady Polaków pogan, łączących się z Niemcami, byle tylko obronić dawne swe obrzędy religijne i świątynię Lelum-Polelum od zagłady, grożącéj im ze strony króla chrześcianina, puszcza się, nie znając naturalnie drogi, do Poznania, aby

ostrzedz Mieszka. Na stu blisko stronach rozwija szereg przeszkód stających na drodze dziewczynie, to drapieżne zwierzęta, to czarownica oszalała po śmierci dziecka, aż wreszcie przy pomocy leśnego, napół dzikiego, ale bardzo roztropnego i przebiegłego Sambora udaje się jéj spełnić swą myśl. Odtąd ona znika z widowni powieściowéj, co zapewne nie jednego młodego czytelnika a zwłaszcza czytelniczkę zasmusi, a rozpoczyna się działanie wojsk Mieszka w szczególności zaś czyny Sambora, który potrafił przedrzeć się do Czech, wyprosić posiłki zbrojne od króla czeskiego, a potém dzielną i umiejętną pomocą przyczynić się do pokonania Niemców, co pod dowództwem Wichmana (nie wiadomo dlaczego autor pisze wszędzie: Wigman) wkroczyli do Polski i połączyli się z poganami. Gdy podstąpiono z wojskiem pod gontynę Lelum-Polelum i gdy do Mieszka przyszedł arcykapłan, ażeby go odwieść od zamiaru burzenia świątyni, piorun uderzył w nią i spalił doszczętnie. Arcykapłan nie mógł przeżyć téj klęski, rzucił się w płomień i z okrzykiem: „Lelum-Polelum" zginął. Niebawem na tém miejscu stanął kościół. Oprócz zajęcia wyobraźni młodych czytelników książka ta, żywo uprzytomniając różnice stanu cywilizacyjnego dzisiejszego i dawniejszego, przyzwyczaić może ich umysły do przenoszenia się w odległą przeszłość i rozumienia jéj odrębności. Nazwiska Mieszka, Wichmana, stosunek pogaństwa od chrześciaństwa za pierwszego króla chrześciańskiego głębiéj oczywiście utkwią w pamięci dzieci, aniżeli, gdyby się ich wyuczyli z podręcznika. Obraz czarownicy, jéj chaty napełnionéj plugastwem, jéj zachowania się, lubo złagodzony rysem szału rodzicielskiego, możeby lepiéj było oświetlić mniéj jaskrawo. Język jest czysty i styl poprawny, żywy, obrazowy. W ortografii należałoby poprawić kilka stale powracających błędów (np. tł*ó*kł tł*ó*kła).

= **Dwie powieści** *Michała Jezierskiego: Stryj* z *Ameryki. Klemens Janicki* (Warszawa, 1888, str. 271). Są-to utwory pisarza, który od lat z górą 50-u pracuje na niwie literackiéj, pierwsza bowiem jego książka, zawierająca „Poezye" ukazała się jeszcze w r. 1837. Wprawdzie po dwudziestu latach zamilkł on na czas długi, aby gdy na nowo w r. 1875 wystąpił z powieścią („Córka morza"), nie ustawał już odtąd i dotychczas nie ustaje w wydaniu to dramatów, to powieści spółczesnych, to powieści i rozpraw historycznych. Zachował dawniejsze interesowanie się ważnemi kwestyami bieżącemi, lecz naturalnie i dawniejsze poglądy oraz sposób tworzenia, które się już bardzo postarzały. Dowolność w kombinowaniu wypadków, brak umotywowania zmian zachodzących w duszy osób, brak pogłębienia psychologicznego, powierzchowność charakterystyki są

stałemi znamionami jego artystycznéj twórczości, jeżeli nawet wogóle może tu być mowa o rzeczywistym artyzmie. Są-to bowiem powiastki moralne, z bardzo wyraźnie na jaw występującą dążnością, gwoli któréj naciągają się sytuacye i charaktery. Tendencya jest szlachetna i rozumna; chodzi autorowi zazwyczaj o podniesienie jakiejś zasady dodatniéj i okazami za pomocą przykładu, że dobrze jest nawet dla ziemskiego szczęścia zasadę tę praktykować. „Stryj z Ameryki“ przedstawia wstrętne strony powierzchownéj dewocyi bez szlachetnego gruntu serca, interesowność i nikczemność niby-arystokratycznego towarzystwa, łgnienie do złota a pogardzanie biednemi; z drugiéj zaś strony opowiada o bezinteresownêm i zacném postępowaniu osób, które swojéj pobożności na pokaz nie mają, ale zato cnoty w cichości wykonywają. W drugiéj powiastce („Klemens Janicki“) opowiada autor, dowolnie fantazyując na temat życia dworów pańskich i przesądów szlacheckich, losy poety, „który jak kwiat polny wzrósłszy na wiejskiéj łące, ogrzany światłem nauki i ciepłem natchnienia, rozkwitł i zajaśniał na ojczystéj niwie i jak kwiat zgasł w wiośnie życia“ (str. 268). Przy nim też równocześnie umieszcza na dworze Kmity Szymona Maryckiego, wsławionego, późniéj dopiero po śmierci Janickiego, profesora literatury greckiéj w akademii Krakowskiéj, i autora dziełka ważnego: „O szkołach czyli akademiach“. Język i styl obu powiastek bardzo wiele zawiera błędów i niepoprawności, a i omyłki druku są zbyt liczne nawet wśród naszych lichych stosunków wydawniczych.

— *Julian Łętowski*: **Nowocześni bohaterowie**, nowele i opowiadania (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1888, str. 325). Autor tego zbioru wystąpił przed kilku laty, jako poeta dramatyczny („Izrael na puszczy“, „Firdusi“), pełen głębokiego uczucia, niemałéj siły i polotu. Potém twarde warunki życia, zmusiły go zaprządz się do ciężkich taczek dziennikarskich; zamienić trzeba było wiersze na prozę. Zyskująca coraz więcéj wśród publiczności uznanie forma noweli realistycznéj, pobudziła utalentowanego poetę do przyswojenia jéj sobie, bo pomysły w niéj przeprowadzone, łatwiéj dostawały się do czasopism, aniżeli poemata. Nie rozlubował się on w niéj atoli, ponieważ nie wypływała z głębin jego usposobienia i kierunku myśli: choć więc łatwo nią owładnął, to przecież nie mógł wyzbyć się zasadniczego nastroju swego, w którym fantazya a nie obserwacya, dominującym była pierwiastkiem. Same przedmioty nawet, treść nowel stanowiące, nie pociągały go ku sobie siłą uroku bezpośredniego, lecz myślą o konieczności zajęcia się niemi ze względu na wymagania czasu. Życie powszednie, codzienne, prozaiczne, pełne kłopotów i trosk drobnostkowych, pół-

uczuć, i ćwierć-myśli, wypadeczków drobnych, takich jak skaleczenie szkłem nogi, upicie się mularza, oszustwa w składach żelaza przy ulicy Bagno, łapanie psów przez „czyścicieli“, kolacyi z sérem i kiełbasą w ciasnéj izbie rzemieślniczéj itp. — jakże małym wydać się musiało tematem dla gorącéj wyobraźni, marzącéj o wielkich namiętnościach, cnotach i zbrodniach! To też zapewne nie bez smutnéj ironii z samego siebie i z czytelników kładł p. Łętowski ogólny napis na zbiorku pięciu nowel i opowiadań: „Nowocześni bohaterowie“. Nie dotykała ta ironia oczywiście „nowoczesności“ wogóle, boć autor niewątpliwie widział i widzi różnorodnego rodzaju bohaterstwa wśród sobie współczesnych, a nietylko takie, o jakich opowiada w swych nowelach, lecz dotykała gustu rozpowszechnionego w nowelistyczno-spółczesnéj, lubiącéj malować szarą dolę maluczkich „mrówek ludzkości“ czy kretów. A nietylko przy dawaniu tytułu książce, ale i przy pisaniu utworów ją składających, p. Łętowski niezupełnie czuł się w swoim żywiole, nie powziął głębokiéj sympatyi dla smutków i cierpień drobnych, a natomiast popuszczał wodze satyrycznemu rozpędowi, gdy mu przyszło malować ujemne strony maluczkich, co mogą wyrosnąć wśród dzisiejszych warunków życia na potentatów... finansowych. Jako dobry stylista, opowiada autor gładko, łatwo, potoczyście, umié się, choć z biédą, nagiąć do zaznaczania charakterystycznych znamion mowy rzemieślników i żydów; potrafi oddać usposobienia i nastroje bardzo różnorodne; ale wogólności mówi chłodno, trzeźwo, bez silniejszego wzruszenia. Wrażenie téż otrzymywane z czytania jego opowiadań dalekiém jest od tego, jakiém przejmuje nowela i szkice Bolesława Prusa, lub W. Kosiakiewicza; ceni się dar narratorski w autorze, przyznaje się prawdę wielu rysom przezeń zaznaczonym, rozumié się biédę i nieszczęścia ludzi, lecz nic nas żywiéj nie wstrząsa, nic silniéj serca nie porusza. Szkic umieszczony na czele zbioru „Ciężkie czasy“, wyróżnia się i sferą życia i sposobem obrobienia od czterech dalszych. Mamy tu opowiedziane dzieje człowieka, który po r. 1831 wyszedłszy za granicę i dziesięć lat tamże przepędziwszy, nabrał lekkomyślności wśród Francuzów, przy życiu próżniaczém i dopiéro ożeniwszy się pod wpływem zacnéj, rozsądnéj i kochającéj żony, ustatkował się i został pożytecznym członkiem społeczeństwa, robiąc dobrze ludziom, a mianowicie dawnemu towarzyszowi na wychodźtwie, Korejce, pędzącemu długo życie z dnia na dzień w oczekiwaniu rozstrzygnięcia pomyślnego sprawy swoich majątków. Syn tego kolegi, ożeniony z Francuską, z początku hardy i krnąbrny, nie lubiący języka polskiego, pokochawszy córkę Jana, zmienił się całkowicie i przylgnął całém

sercem do ziemi, na której się nie urodził, ale która go obyczajem, tradycyami, a najwięcéj miłością sobie zjednała. Druga burza zmiotła tego gorącego młodzieńca i sprowadziła cały szereg klęsk na rodzinę Jana, naprzód córka z zatęsknienia umarła mu, a po niéj i żona. Pozostał sam na świecie, kaszlący, zreumatyzowany, ale nie wyrzekał na „ciężkie czasy", bo już najcięższe przebył. Forma tego opowiadania, w którém znajduje się materyał do rozwinięcia na daleko szerszą skalę, jest bardzo niewdzięczna i razi nieprawdopodobieństwem. Opuszczony na chwilę przez sługi, schorowany starzec stara się odwrócić myśl swą od dzisiejszości, przypomina sobie przeszłość i opowiada — komu?— oczywiście sobie, na 102 stronicach druku, dopóki powrotu sług się nie doczekał. W „Imieninach Marcinka" przedstawia autor żywo i barwnie jeden dzień z życia terminatora szewckiego, od skaleczenia nogi przy zamykaniu okiennicy, do zobaczenia ojca, prowadzonego do cyrkułu i psa łapanego na ulicy przez czyścicieli, oraz do zasłabnięcia, które mu trochę wygód zapewniło i wykazało w szerokich formach prawdziwe uczucie. Są tu rysy niewątpliwie z życia obserwowane, ale więcéj daleko z fantazyi wziętych. Podobnież i w opowiadaniu o losach „Gesundheita i S-ki", gdzie przewrotność, i wogóle spryt młodego żydka, oddanego do sklepu z żelazem, dobrze są odmalowane, lecz następnie jego stosunki z wykształconym i szlachetnym Herszkiem, którego oszukują, oraz z rodziną — są wprost nieprawdopodobne, bo on ma za dużo przebiegłości, oni żydzi zamało. Obrazek „Biéda", niby realistycznie nakreślony, przedstawia szereg nieszczęść w rodzinie rzemieślniczéj, nie budząc żywszego współczucia. Najpiękniejszą wreszcie w całym zbiorze jest nowela „Wawrzyńcowie", której zalety uznano jednogłośnie zaraz po ukazaniu się jéj w czasopiśmie. Główny jéj powab stanowi swoboda i prostota traktowania oraz dość oryginalny charakter młodego mularza Antka, w którego sercu nieświadomie powstaje miłość dla Tereski, chociaż niby okazuje wstręt do żeniaczki i kobiét i stara się zasmuconéj Teresce wyszukać konkurenta, będącego, jak mu się zdawało przedmiotem jéj smutku. Trzeba mu było dopiéro oczy otworzyć, ażeby poznał prawdę. Jasny koloryt opromienia i ozłaca bardzo miłą całość artystyczną.

= *Or-ot.* **Poezye** (Warszawa, T. Paprocki, 1889, str. 128). W powabną szatę ładnego papieru i druku, oraz zgrabnego formatu, ubrał młody piewca utwory swego talentu, występując z pierwszą swą książeczką wobec ogółu czytającego. Na czele, w wierszu „Gwiazda", wyśpiéwał na wzór poprzedników swoich, wielkich i małych, hymn uwielbienia ku czci pani swych natchnień — poezyi.....

Szkoda, że w zapale pochwały nie utrzymał autor ściślejszego związku myśli...... Inaczéj wypadało ułożyć ten hymn na cześć poezyi, jeżeli chodziło nietylko o zestawienie ze sobą pięknie brzmiących wierszy, ale i o myśl jasną. Autor, jak wszyscy poeci młodszego pokolenia, stara się obronić poezyę od ciosów, jakie w nią wymierzyla nie tyle „pozytywna“ mądrość wieku, ile materyalizm praktyczny, życiowy; ale niestety, tak samo jak inni, w sprawie téj obrony postępuje tak, jak kochanek skarżący się na obojętność kochanki: wyrzekania nie pomogą tam, gdzie trzeba serca pozyskać. Niech poeci porwą za sobą czytający ogół, jak umieli go porwać romantycy, a potrzeba obrony poezyi zniknie odrazu. Chciéć zaś nawrócić z drogi dzisiejsze społeczeństwo tęsknemi westchnieniami za dobą wieków średnich, którą sobie poeci dzisiejsi na wzór romantyków całkiem ułudnie, idealnie wystawiają, jest usiłowaniem próżném, bo się w dziejach nic nie powtarza. Trzeba iść z wiekiem, chcąc miéć w nim posłuch i wpływ nań jakitaki wywierać. Trzeba się wyrzec poetom zachcianek wszechwładztwa nad umysłami i stanąć w rzędzie innych pracowników ducha. Trzeba wiedzieć napewno czego się chce i do czego się dąży, jeżeli się pragnie miéć nadzieję osiągnięcia pożądanego skutku. Nikt nie przeczy, że „pieśń, co ducha budzi“, wzmacnia serce, ale nie można budzeniem ducha nazwać kwilenia za przebrzmiałemi i niepowrotnemi ideałami. Or-Ot wié i sam o tém, ale nie może zwalczyć chętki powstałéj przeważnie pod wpływem zwyczaju, kwilących od lat 25 wieszczów, i daje folgę uczuciom i myślom, które potępia w innych. W wierszu „Poetom“, bardzo ładnie powiada:

Ciekąca łzami wasza pieśń, lutniści,
Truje goryczą chmurne ludu serca
I konające marzenia uśmierca,
Myśląc, że duchy zbłąkane oczyści.

W dalszym zaś ciągu słusznie wskazuje jako jedno z ważnych zadań poezyi, by zażegnywała „zwątpień burze“, pocieszając strapionych widokiem słońca, które z chmur zabłysnąć może. Podobnąż myślą ożywione są wiersze: „Wierzę“, „Uwiedź“, „Nie trwóż się“, „Fragment“ (na str. 124), „Wśród walki“. One zdają się zapowiadać, że młody poeta kończy okres nieujętych marzeń, roztęsknień, rozczarowań, zwątpień, sarkazmów, jakie się tak często w innych jego poezyach, zgrupowanych pod tytułami: „Mozajka“ i „Z dziejów miłości“ nieraz bardzo ładnie ukazują, — i przechodzi w fazę określonych celów i zadań. Życzymy mu z serca, ażeby to przejście dokonało się co najrychléj i nadało jego talentowi wyraźniejszą,

bardziéj zindywidualizowaną cechę. Pod względem języka i stylu, uposażony on jest nie olśniewająco, ale dość zasobnie, tylko że dotychczas pozostawał pod wpływem obcym, najczęściéj Asnyka i Konopnickiéj, i nie wyrobił sobie własnéj formy. Zwrócić téż powinien uwagę na to, że częste używanie jednakowych wyrażeń, jak: *dyadem* i *bladem*, *brylantowy*, *cicha* i *święta*, nie stanowi wcale zalety stylistycznéj. W języku, szczęściem, nie znajdujemy niepoprawności ani błędów, owszem czystość prawie nieposzlakowaną.

= **Pan Wojciech**, *powieść Aleksandra Mańkowskiego* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1889, str. 272). Autor „Dziwaka" wziął jednę z figur tam wprowadzonych i obmyślił dla niéj inne aniżeli w komedyi swojéj losy, doprowadzając jéj wady do ostateczności. Istotnie pan Wojciech Bobowicz jest duchowo i zewnętrznie tym Doboszewiczem, którego w „Dziwaku" Hrabia rozumnie ratuje od ruiny. Jest on skończonym głupcem, „cymbałem", leniuchem, ospalcem, gębaczem tak samo jak Doboszowicz, tak samo o swoich talentach zarozumiałym, tak samo mówiącym o obowiązkach i tak samo jak ten pyszniącym się budową wielkiego a dziwacznego pałacu według własnego planu i nie mogącym go dokończyć. Tylko autor pozwolił Doboszowiczowi dźwignąć się przy pomocy Hrabiego z ruiny, a Bobowicza skazał na najstraszliwsze znikczemnienie. W „Dziwaku" było trochę zadużo światła, w „Panu Wojciechu" jest zawiele mroku nieumotywowanego należycie. Za kawalerskich czasów Wojtuś Bobowicz był wesołym, zgrabnym tancerzem, umiał śpiewać okolicznościowo przez siebie ułożone krakowiaki, wszędzie go przyjmowano „z otwartemi ramionami", goszczono, zatrzymywano, a gdy się na jakiéj zabawie ukazał, „najmędrsi kawalerowie szli w kąt odrazu". Zostawszy po śmierci matki i ojca dziedzicem znacznego majątku na Podolu, hulał jeszcze lepiéj, nie pilnując gospodarstwa, marzył o bogatém i świetném ożenieniu, ale odkładał to z roku na rok, aż mu „włosy poczynały rzednąć na głowie, przybywało tuszy, twarz stawała się coraz pulchniejszą i lśniącą". I wówczas na jakimś małomiasteczkowym baliku zakochał się w córce akuszerki Zuzi „ślicznéj, czarnookiéj, dobréj, wesołéj i nieco romansowéj"; zakochał się i ożenił. Ażeby zatrzéć w umysłach sąsiadów niepochlebne wrażenie, tym związkiem wywołane, postanowił wybudować pałac wspaniały i wydać w nim bal, „o którymby długo potém mówiono w kraju". Sam nakreślił plan, w którym wszystko szło ukośnie, sam pilnował zdaleka pod cieniem akacyi, z fajką w rękach, budowy; po trzech latach wszystko było gotowe „z wyjątkiem wewnętrznych stolarskich robót". Na zaspokojenie wydatków poszedł las i podpisy na wekslach. Wreszcie chociaż wielkiego sa-

lonu na piętrze nie można jeszcze było wykończyć, a więc i wydać balu, sprowadzili się państwo Wojciechowstwo na dół i zamieszkali w pałacu. Pan Wojciech „bardzo spoważniał, otrząsnął się z dotychczasowych szlachecko-demokratycznych poglądów i zaczął nawet mówić trochę przez nos“. Wówczas wybrali się nasi państwo w odwiedziny do arystokratycznych sąsiadów. Przyjęto ich wszędzie „przesadnie grzecznie“, ale wizyt nie oddano. Pan Wojciech „począł nieznacznie zniżać dyapazon swojego organu: ulatniały się powoli dźwięki nosowe, a po niejakim czasie głos jego płynął już gładko jak rzeka, posługując się wyłącznie basowemi tonami“. Ale ze szlachtą nie zawarł jakoś bliższych stosunków; autor nie tłómaczy nam dlaczego; lenistwo i pewna ociężałość nie mogły być dostatecznym powodem. Powiada tylko, że coraz mniéj ruszał się z domu, folwarków nawet nie odwiedzając. Zajmował się pałacem, parkiem i m y ś l ą wydania balu. Tymczasem dzieci dorastały; nauczycieli do nich nie trzymał; syna zamierzył sam kształcić, wypisał plan lekcyi; miał jeden wykład, a późniéj puścił syna samopas. Gdy Staś doszedł do lat młodzieńczych, zaczął się włóczyć po jarmarkach, a ponieważ ojciec nie dawał pieniędzy, zaczął faktorować; wreszcie zakochał się w hecarce Linie i powędrował za nią w świat. Córka pana Wojciecha Józia wyrosła na bardzo ładną pannę, a nauczywszy się czytać, czytywała powieści. Ujrzał ją hrabia Dodo Cukiernicki i zbałamucił ufną i nieznającą świata dziewczynę. Wówczas dopiero przyszedł do skutku ów przez lat kilkanaście projektowany bal u pana Wojciecha; udał się świetnie, ale po nim same już klęski, spadały na Bobowicza. Dodo porzucił Józię, usiłowania zemsty, przedsiębrane przez Stasia, który w tym czasie wrócił do domu w postaci obdartusa, spełzły na niczém, majątek Bobowicza przeszedł na własność hrabiego Doda; musiano wynieść się do miasteczka, gdzie pan Wojciech rezydując u dawnego swego plenipotenta, tracił resztki gotówki, bawiąc się u znajomych, którzy go przyjmowali z początku z honorami, potém jak trefnisia śpiewającego krakowiaki i skaczącego kozaka: „starzec z łysą głową, czerwony, z opuchłemi oczami i obwisłym brzuchem“ pląsał przed publicznością. Józia zarabiała trochę szyciem na utrzymanie matki, siebie i braciszka Kubusia. Trafiał się jéj konkurent w osobie młodego organisty; pan Wojciech odrzucił go z oburzeniem, ale nie miał nic przeciw temu, gdy Józia, potrzebując pieniędzy na leczenie choréj matki, została utrzymanką Freunda, póki nie zeszła do urzędu ulicznic. Matka umarła, potém Józia, Staś za podpalania kilkakrotne w majątku hrabiego Doda skazany został do ciężkich robót; Bobowicz został żebrakiem zawsze wesołym. Niektóre sceny są pełne

życia; zwraca szczególniéj wyborny obrazek budzących się w panu Wojciechu skłonności do sybarytyzmu i awanturek erotycznych po pobycie kilkodniowym w domu hr. Doda; następnie opis balu, kilka charakterystyk; ogólnie jednak mówiąc „Pan Wojciech“ nie jest tyle powieścią, ile satyrą, nie jest dobrze wycieniowaném studyum charakteru, ale zbiorem rysów różnorodnych, poszczególe prawdziwych i trafnych, ale nie zharmonizowanych w jedną całość.

— **Niezgodni królewicze** i **Królowa perłowego pałacu**, *bajki prawdą przeplatane. Opowiedziała dziatwie M. J. Zaleska. Z rycinami kolorowanemi pomysłu i rysunku Miłosza Kotarbińskiego* (Warszawa, Gebethner i Wolff, 1889, str. 150). „Niezgodni królewicze“ — to w formie baśni opowiadanie z dziedziny nauk przyrodniczych opisowych i chemii, krótko, żywo, niekiedy barwnie i dowcipnie rozwinięte. Trzech niezgodnych królewiczów: Kryształek, Zielonko i Pióropuszek podzielili się bogactwami wyspy Atlanty, według swoich upodobań: jeden zabrał wszystkim skarby mineralne, drugi—roślinne, trzeci—zwierzęce; ale żadnemu nie wolno było używać dóbr swego brata. Niebawem okazały się wielkie niedogodności; szczególniéj Kryształek, ażeby wyżyć musiał rabować swoich braci; lecz i Pióropuszek także nie mógłby utrzymać swoich krów, gdyby słudzy jego nie brali potajemnie paszy u Zielonki, Zielonko zaś musiał bez pozwolenia Kryształka zabierać sól z jego składów i wodę czerpać z jego studzien. Powstała więc niezgoda, tak że zaprzestali się widywać i mówić z sobą. Ale razu jednego wszyscy trzéj po kolei zjechali do zamku króla Dobromira, który miał trzy piękne i ukształcone córki: Iskierkę, Perełkę i Jagódkę. Wszyscy trzéj oświadczyli, ale król dał im wymijającą odpowiedź z powodu owéj między niemi niezgody. Dopiero gdy mistrz córek Dobromira, uczony Abracadabrus pojechawszy na Atlantę, wytłómaczył królewiczom, że wszystkie trzy królestwa przyrody są ze sobą najściśléj związane i że człowiek ze wszystkich trzech użytkować musi, pogodzili się i zostali zięciami Dobromira. W téj formie działając na fantazyą (choć nie zawsze szczęśliwie, bo szczegóły nie są zharmonizowane) podaje autorka zajmujące i nauczające wiadomości. „Królowa perłowego pałacu“—to króciutka nauczka, że spełnienie życzeń wszystkich nie zadowolniłoby dzieci. Formę téj nauczce nadała autorka snu fantastycznego małéj Jadzi. Język jest wogóle całéj książce dobry; trzeba jednak unikać takich niepoprawności jak: „dwaj karzełki“ (str. 139), „usłużni karzełki“ (str. 147) itp.

— **Młody wygnaniec**, *przygody wśród puszcz i stepów amerykańskich, przełożyła z Ryszarda Rotha M. J. Zaleska. Z rysunkami Stan.*

Wolskiego (Warsz. Gebethner i Wolff, 1889, str. 526 + II). Rzecz się pod koniec wieku XVIII w puszczy ogromnéj przerzniętéj rzekami: Kanadyjską, Czerwoną i Arkansas, częściowo zaś w Meksyku. Syn znakomitego Meksykańczyka Rafael de Saavedra z powodu swego niepohamowanego charakteru wywieziony został z rozkazu ojca za karę i dla uniknięcia hańby na puszczę i wzięty przez plemię indyjskie Osagów. W twardéj szkole wyrobił się i zyskał sobie zaufanie i miłość dzikich, którzy mu zwyczajem swoim nadali przezwisko „Serca prawego“. Dowody jego męstwa, przezorności i szlachetności w poszukiwaniu zabranych przez Indyan dzieci Wattsona, a przytém zaznajomienie z roślinnością i zwierzętami w puszczy stanowią treść bardzo zajmującéj powieści, która w wysokim stopniu zainteresować może wyobraźnię i serce młodych czytelników. Powrót Rafaela do domu i ożenienie się z Ellą córką Wattsona, kończy opowiadanie. Jest to jedna z najlepszych książek dla młodzieży przyswojonych w ostatnich czasach z języków obcych.

= Wyszedł 22-gi tom czasopisma „Towarzystwa historyi i starożytności szląskich“ i zawiera:

1) „*Entwickelung der schlesischen Geschichte*“. (Rozwój dziejopisarstwa szląskiego). Przez prof. i archiwaryusza dr. Margrafa (1). Autor zawiązuje wątek zajmującéj swéj pracy w XVI stuleciu i częścią pobieżnie, częścią nieco obszerniéj, bo ograniczony szczupłością miejsca, wylicza uprawiaczy gleby dziejów ziemi nadodrzańskiéj i prace ich krytycznie poniekąd wyszczególnia, albo ogólnie tylko podnosi, a mianowicie wymienia:

a) Bartłomieja Steina, członka zakonu braci św. Jana, autora „*Descriptio Silesiae*“ i „*Descriptio Vratislaviae*“;

b) Jana Hessa, autora rękopisu „*Silesia Magna*“, z którego korzystał M. Henel a prawdopodobnie i Pol (2), poczém rzeczony rękopis zaginął;

c) Joachima Cureusa, autora pierwszéj rzeczywistéj historyi Szląska: „*Gentis Silesiae annales*“. Nie szczędząc, jako zapalony zwolennik wytenberskiego nowatorstwa, przygan duchowieństwu katolickiemu, naraził się Cureus w wysokim stopniu kapitule wrocławskiéj; a i nasz historyk Kromer przeciw niemu występował,

---

(1) Tylko artykułów najważniejszemi nam się wydawających przytoczymy treść najgłówniejszą.

(2) O Henelu i Polu niżéj będzie jeszcze pokrótce mowa.

może i z tego powodu, że Cureus źródła polskie, Szląska się tyczące, za nie zawsze niezawodne uważał, czém się biskup warmiński osobiście uczuł dotkniętym;

d) Znanego dobrze u nas, na Szląsku, Jakóba Schickfussa. Przerobił on i uzupełnił znacznie pracę Cureusa, a podzielił ją na: *liber regum*, *liber ducum*, *liber rerum* i *liber civitatum*. Dla tendencyi jéj antykatolickiéj, zakazano ją; czeski historyk Bogusław Balbin, jezuita, autor dzieła: „*Miscellanea historica regni Bohemiae*“, ostro przeciw Cureusowi i Schickfussowi występuje, pierwszego bajarzem, drugiego kłamcą nazywając;

e) Mik. Henela. „*Silesiographia*“ (1), „*Breslografia*“ i „*Annales Silesiae*“ jego są pióra. Pierwsze wyszły samodzielnie, ostatnie pomieścił Sommersberg, w swych „*Scriptores rerum Silesiacarum*“. O Henelu mówi Bogusław Balbin, że jest: „*nobilis gentis nobilissimus scriptor*“. Prace Henela zdradzają samodzielnego ducha;

f) Mikołaja Pola, którego najwięcéj ongi czytywaném dziełem było: „*Hemerologion Silesiacum*“;

g) Fryd. Lucae, autora historyi Szląska w formie dyalogu i autora „*Schlesiens curiöse Denkwürdigkeiten*„ etc. o 20-wierszowym tytule (!) i siedmiu rozdziałach na 2000 stronic w 4-ce;

h) Daniela Rapolda, syndyka kapituły wrocławskiéj, który około 1560 r., nosząc się z zamiarem napisania historyi Szląska i w dziele swojém p. t. „*Rudiora lineamenta*“ ją zapowiadając, szkic tylko tejże napisał, lecz nie wydał; dopiéro Sommersberg ogłosił pracę tę w pierwszym tomie zbioru p. t. dzieła „*Scriptores rerum Silesiacarum*“;

i) E. Ignacego Naso, członka rejencyi wrocławskiéj. Zamierzał on z natchnienia i w myśl dworu austryackiego skreślić historyą Szląska. Jego „*Discursus politicus seu famularis prodromus novorum chronicorum ducatus Silesiae*“, 1665 r. wydany, zapowiadał spełnienie zamiaru tego; ale skończyło się tylko tylko na historyi księstwa jaworskiego i świdnickiego p. t. „*Phoenix redivivus*“, w niemieckim języku 1667 wydanéj;

j) Ferd. Buckischa, który w swoich „*Schlesischen Religionsacten*“, lubo bardzo rozwlekle napisanych, cenny dla historyi kościelnéj pozostawił materyał;

k) Prałata wrocławskiego Fibigera, który opracował i wydał „Silesiografią“ Henela, trzydzieścikroć ją pomnożywszy i inną pra-

(1) Podzieloną jest na 9 rozdziałów: o narodowości mieszkańców, naturze kraju o miejscowościach jego, o oświacie, o sposobie życia mieszkańców, ich zatrudnienie, i podział we względzie socyalnym, ustawy, zarząd i sądownictwo.

cę tegoż „*Silesia rogata*“ (historyą szląskich uczonych), w nią wplótłszy. Dzieło to Fibigera odznacza się wielką ilością poniekąd krytycznie zużytkowanego materyału, dobrym układem, szczegółowym spisem; można się więc z niego i w niém łatwo oryentować, ale czyta się ciężko;

l) Fryderyka Wilh. Sommersberga, powyżéj dwukrotnie wspomnianego autora źródłowego dzieła: „*Scriptores rerum Silesiacarum*. Praca to bardzo obszerna i pomimo niektórych usterek dziś jeszcze ceniona;

m) Dewerdecka: „*Silesia numismatica*“.

n) Sinapiusa: „*Olsnograpie*“ i „*Schlesische Curiositeten*“;

o) Kundmanna, Hankiego i pastora Czechiela rozmaite pisma odnośne; dwóch ostatnich w rękopisach;

p) Gottfr. Thebesiusa: roczniki lignickie „*Liegnitzer Jahrbücher*“ rozwlekle ale zmysł krytyczny zdradzające;

q) Jana Ehrenfryda Zschackwitza (Irenicus Ehrenkon). Skreślił szląską historyą kościelną „*mit unparteiischer Feder*,“ co się przecież z rzeczywistością nie zgadza;

u) Köhlera, Jana Dawida: „*Schlesische Kernkronik*,“ o ile dotyczy dawniejszych czasów jest tylko wyciągiem z „Denkwürdigkeiten“ Lucaego.

(Pod wpływem pruskim).

r) Klöbera, radcy rejencyjnego: „*Schlesien vor und nach 1740*“. Możnaby dzieło to nazwać półoficyalnem; przeciwstawia dawniejsze rządy w Szląsku rządom ówczesnym, pruskim. Wywołało ono odrębną literaturę, a mianowicie pisma: *Kauscha*, *Zöllnera*, *Schummla*, *Cöllna*, „*Letters on Silesia*“ Adamsa i inne.

s) Benjamina Sam. Klosego, przyjaciela i druha po duchu Lessinga: „*Von Breslau. In Briefen*“; rzecz to o historyi Wrocławia w 6 tomach, tylko do r. 1526 w druku doprowadzona. Na resztę snać się nakładca nie znalazł dla wielkiéj rozwlekłości listów, gruntownie zresztą i krytycznie skreślonych i często kształty historyi Szląska przybierających. Po autorze tym znajduje się 248 tomów manuskryptów, historyi Szląska się tyczących, w miejskiej bibliotece wrocławskiéj.

t) Karola Adolfa Menzla, znanego historyka; napisal on „topograficzną kronikę Wrocławia“ w 2 tomach w ćwiartce i „historyą Szląska“ w 3 tomach, także w ćwiartce.

w) Jana Büschinga, pierwszego archiwaryusza szląskiego, twórcy pierwszego towarzystwa historyi i starożytności szląskich,

które przecież tylko parę lat istniało. Za Büschinga współdziałaniem wyszły roczniki Pola, Schweinichena, dworzanina ks. lignickiego Henryka XI (Piasta), biografia własna i Eschenloera *Denkwürdigkeiten*.

y) G. A. Stenzla, także archiwaryusza szląskiego, właściwego twórcy szkoły, ścisłemu studyum przeszłości Szlązka się poświęcającej. Napisał i wydał: *Ueber den Einfluss der Deutschen auf die polnische Cultur*; zebrał i wydał dokumenty do historyi początku miast, do kolonizacyi i do prawa niemieckiego na Szląsku i w Górnych Łużycach. Dalej wydał dokumenty biskupstwa wrocławskiego i fundacyjnéj księgi henrykowskiéj tyczące się i historyą Szląska, lecz tylko część pierwszą. (W tymże mniéj więcéj czasie wydał Hen. Wuttke rzecz o zajęciu Szląska przez Fryderyka II). Następnie wydał Stenzel, ponieważ Sommersberga zbiór szląskich źródeł historycznych nowszym wymaganiom już nie odpowiadał, pod tym samym co Sommersberg tytułem *(Scriptores rerum Siliesiacarum)* nowy zbiór, na nowo przezeń zawiązanem towarzystwie historyi i starożytności szląskich dla względów materyalnych się oparłszy. Członków rzeczonego towarzystwa do wspólnéj samodzielnéj pracy w dziedzinie historyi szląskiéj zjednoczyć udało się dopiero usiłowaniom

z) Prof. dr. Röpella, który téż pierwszy tom czasopisma, o którem referujemy, 1855 wydał. Praca ta przeszla na następcę Stenzla w urzędzie archiwaryusza, W. Wattenbacha; a z tego na *zz*) profesora C. Grünhagena, radcę archiwalnego a teraźniejszego prezesa Towarzystwa historyi i starożytności szląskich. Przy pieniężnéj pomocy tegoż Towarzystwa wydał Grünhagen regesty szląskie, dobiegłszy w nich 1300 r. Podany tu jest każdy dokument ze Szląskiem styczność mający i przytoczona treść każdego kronikarskiego zapisku. Z takąż pomocą król. dyrekcyi archiwalnéj w Berlinie wydał Grünhagen wraz z prof. Markgrafem posesyjne i lenne dokumenty szląskie i poszczególnych książąt szląskich z średnich wieków. Jest to bardzo pracowicie ułożony zbiór, odnośnego materyału mniéj więcéj z 30 archiwów. Idą za tém ogłoszenia źródeł specyalnych jako to: regesty biskupstwa wrocławskiego aż do r. 1400, „*Registrum Wenceslai*“, najgłówniejsze dotąd, o ile wiadomo, źródło średniowiecznéj historyi Górnego Szląska, regesty miasta Brzega, źródła do historyi wojen husyckich na Szląsku; dalej wydał Grünhagen „Wrocław pod Piastami jako gmina niemiecka“, a następnie i pod pierwszemi królami czeskimi,

pisał o wojnach husyckich na Szląsku, wydał: *Fridrich des Gr. u. die Breslauer*, ogłosił historyę pierwszéj wojny szląskiéj i nakoniec najnowszy większy swój utwór, *Geschichte Schlesiens* w dwóch tomach, trzeci zapowiedziany.

2) „*Der Kirchenstreit in Gross-Glogau*, 1564—1609“ (Zatarg religijny w Głogowie). Według niedrukowanych źródeł opracował król. radca konsystoryalny Weigelt.

3) „*Einführung in die schlesische Münzgeschichte mit besonderer Berücksichtigung des Mittelalters*“. (Zapoznanie z historyą szląskiego mennictwa z szczegółowem uwzględnieniem średnich wieków). Przez F. Friedensburga.

4) „*Der Verfasser der annales Glogovienses*“ (Autor dzieła *annales Glogovienses*). Przez Pawła Knotela.

5) „*Beiträge zur Geschichte von Czarnowanz*“ (Przyczynki do historyi Czarnowąsów). Przez ks. lic. Swientka. Praca ta tyczy się fundacyi Piastowskiéj, tj. klasztoru panien Norbertanek, który istniał w Czarnowąsach od r. 1228—1810, a mianowicie podaje specyalnie protokuł sekularyzacyjny, przy zamknięciu klasztoru sporządzony. Autor niejednokrotnie się już rozpisywał o dziejach rzeczonego klasztoru (w „Schlesische Provinzialblätter 1874, 1876 i 1887). Jest on proboszczem czarnowąskim.

6) „*Das österreichische Unternehmen auf Polen und die Schlacht bei Pitschen* 1588“ (Austryacka wyprawa na Polskę i bitwa pod Byczyną 1588 r.). Przez dr. Pawła Karge. Jest-to rzecz napisana przedmiotowo, z użyciem także odnośnych prac i druków polskich, czeskich, rosyjskich i licznych źródeł archiwalnych, szczególnie zaś wrocławskich.

7) „*Einige Bemerkungen über die ältesten polnischen Urkunden*“ (Kilka uwag o najstarszych polskich dokumentach). Przez dr. W. Kętrzyńskiego. Autor udowadnia logicznie a gruntownie, dlaczego się w Polsce nie znachodzą dokumenty z wieków X i XI i wyszczególnia powody, z jakich wszystkie polskie dokumenty, które owych czasów, a nawet aż do pierwszéj połowy XII wieku sięgają, za falsyfikaty uznano. Nadto wykazuje on jasno jak się następnie sporządzanie dokumentów w Polsce wyrabiało i rozwijało, a mianowicie, jak przechodzono z form prywatnych zapisków, tyczących się nadań i darowizn, do protokułów odnośnych, narazie jeszcze bez daty i bez pieczęci spisywanych. Dalej wykazuje dr. Kętrzyński, dlaczego i od którego czasu (od drugiéj połowy XII wieku) wygotowywanie rzeczywistych dokumentów (legalizowanych protokułów) w użycie weszło i jakiéj interesowane strony

przytém przestrzegały praktyki i czém wystawiane dokumenty te nabierały prawomocności. Następnie dowodzi, że od XIII wieku już się nietylko legalizowane natrafiają protokuły, tyczące się nadań i darowizn, ale i rzeczywiste książęce dokumenty odnośne z czasem coraz więcéj się liczebnie mnożą i jak się ostatecznie już tylko w téj ostatniéj formie utrzymują. W końcu podaje autor powód, dlaczego w pracy pomienionéj i dokumentów szląskich i szląskich stosunków nie uwzględnił. (Ponieważ ziemie polskie, jako ongi wpływom obcym tyle co Szląsk nie uległe, do podań tych więcéj jak Szląsk się nadawały i ponieważ autorowi—jak sam podnosi—materyał odnośny szląski mniéj jest znany, co mu przecież nie przeszkodziło na poważnym szeregu przykładów z Szląska przeszłości wziętych, udowodnić, że tak jak w Polsce ma się rzecz co do historyi rozwoju dokumentów i w Szląsku.

8) „*Oesterreichische Anschläge auf Breslau und Schweidnitz* 1741. *Mittheilungen aus dem Wiener Kriegsarchiv*“ (Austryackie knowania celem ubieżenia Wrocławia i Świdnicy 1741 r., zaczerpnięte z wiedeńskiego archiwum wojennego). Przez prof. dr. Grünhagena.

9) „*Beitraege zur Genealogie schlesischer Fürsten*“ (Przyczynki do genealogii książąt szląskich). Przez Ludw. Neustadt. Jest-to uzupełnienie, względnie sprostowanie w wielu miejscach genealogicznych tablic książąt szląskich, ułożonych i wydanych przez dr. H. Grotefenda. (*Stammtafeln der schlesischen Fürsten bis zum Jahre* 1740). Rzeczonych tablic ma teraz wyjść drugie wydanie z uwzględnieniem powyższéj pracy.

10) „*Die Geschichte des Breslauer Kaufhauses*“ (Historya kupieckiego domu składowego w Wrocławiu). Przez prof. dr. Markgrafa.

11) „*Berichte aus dem Jahre* 1748 *über die Sitte des Leikaufs in Schlesien*“ (Sprawozdania z r. 1748, tyczące się zwyczaju „*litkupu*“ na Szląsku). Przez Alfonsa Schustera.

12) „*Die Gewaltthat auf dem Neisser Landtage von* 1497“. (Gwałt spełniony na zjeździe stanów w Nisie 1497 r.). Przez prof. dr. Markgrafa. Tyczy się osądzenia i ścięcia Mikołaja, przedostatniego Piasta opolskiego, d. 27-go czerwca w Nisie (1).

13) „Rozmaitości archiwalne“. Małéj one dla nas wagi, dlatego je pominąć tu można.

---

(1) Porównaj rzecz o „Straceniu przedostatniego księcia opolskiego, Mikołaja II, w Nisie 1493 r.“ w Tygodniku Ilustrowanym w r. 1880 w n. 210 (w tomie IX) z ryciną kompozycyi J. Kossaka.

14) „Uwagi, uzupełnienia i sprostowania do nowszych druków z dziedziny historyi Szląska“. Nie zawierają nic donioślejszego, dowodzą przecież, z jaką uwagą, gruntownością fachowi członkowie „Towarzystwa historyi i starożytności Szląska“ czytują prace historyczne. Znajdują się też w dziale tym bardzo pochlebne uwagi wrocławskiego profesora uniwersyteckiego dr. Nehringa, tyczące się dzieła: „*Dějiny prostonarodniho hnuti nabožensképo v Čechach od vydani tolerančniho patentu až na naše časy. Čast prvni*“, przez profesora czeskiéj wszechnicy praskiéj dr. Rezeka.

Wyjątkowym sposobem umieszczono ocenę prof. Nehringa w roczniku, o którym mówimy; roczniki bowiem „Towarzystwa historyi i starożytności Szląska“ z zasady ocen dzieł nie pomieszczają. Wyjątek w tym razie zrobiono—jak redakcya nadmienia—z tego powodu, że się praca profesora wszechnicy czeskiéj, z wielu względów do ziemi nadodrzańskiéj odnosi. Piérwsza część rzeczonego dzieła obejmuje historyczne przedstawienie życia religijnego i kościelnego w Czechach, w czasie przed i po bitwie pod Białągórą, a mianowicie w epoce przeciwreformacyjnéj (aż do 1780); druga część ma zawierać historyczny opis religijnego ruchu ludu czeskiego i sekciarstwo w Czechach i Morawie, za panowania Józefa II i Leopolda II, trzecia zaś dalszy rozwój tych stosunków w bieżącym wieku, aż do r. 1871, ze szczegółowém uwzględnieniem lat 1848 i 1849.

15) N e k r o l o g i (trzy), z których o jeden nie będzie od rzeczy tu potrącić; tyczy się bowiem dr. Luchsa † 1886, męża wielce około badania zamierzchłéj przeszłości i prastarych zabytków Szląska zasłużonego. Od roku 1855 członek „Towarzystwa historyi i starożytności Szląska“, od r. 1858 członek zarządu tegoż towarzystwa, twórca osobnego i samodzielnego „Towarzystwa muzeum starożytności Szląskich“, z niezmordowaną pracowitością i nie małą znajomością rzeczy odnajdywał, badał, konserwował szląskie zabytki przedhistoryczne (starosłowiańskie) i późniejsze, często się o nich rozpisując. Szczególniejszą uwagą otaczał szląskie skarby architektury średniowiecznéj, mistrzem się wnet w ocenianiu ich stawszy. Obrotności głównie dr. Luchsa, jego gorliwości i zamiłowaniu do archeologii zawdzięcza wrocławskie muzeum starożytności imponującą liczbę cennych okazów archeologicznych, dobrze uporządkowanych i umiejętnie ugrupowanych. On to bowiem umiał rozbudzać interes szerszych kół dla uprawiania téj gleby, bądź to liczne podejmując z członkami obu wzmiankowanych towarzystw wycieczki do miejsc historycznych, bądź ogłaszając odnośne prace, lub urządzając peryodyczne posiedzenia członków „Tow. Muzeum“

z odczytami, względnie pogadankami. Jego też pióra jest bardzo poważne a źródłowo skreślone dzieło „*Schlesische Fürstenbilder*“ (Wizerunki książąt szląskich). Pochodził dr. Luchs z Bytomia górnoszląskiego; był zaś z urzędu dyrektorem wyższéj szkoły panien w Wrocławiu.

Prócz powyżéj częściowo streszczonego 22-go tomu czasopisma „Towarzystwa historyi i starożytności Szląska“ otrzymali członkowie tego towarzystwa na r. b. poważnych rozmiarów dalszy ciąg (XIII tom, stronic 322 w dużéj 4) zbioru p. t. „*Codex Diplomaticus Silesiae*“, wydany w imieniu towarzystwa przez F. Friedensburga, a zawierający historyą mennictwa szląskiego średnich wieków z opisem odnośnych monet, część II; do 1-éj zaś części téj pracy, w r. 1887 wydanéj, a dokumenta mennictwa szląskiego średnich wieków podającéj, tablice z wyobrażeniami (836) średniowiecznych monet szląskich.

S. J.





KRONIKA MIESIĘCZNA.

Przegląd stosunków ekonomicznych za rok 1888. — Kilka słów o poglądzie prawodawstwa świeckiego i kościelnego na karalność samobójstwa. — Przetłómaczone przez p. Dawida studyum d-ra Gibler'a o spirytyzmie. — Zakładający się bazar wyrobów pracy kobiecéj.

W *„Journal des Economistes“* spotykamy bardzo ciekawy i pouczający przegląd stosunków ekonomicznych w Europie za rok 1888. Z pomiędzy naszych czasopism, podał wyciągi z tego przeglądu, zda mi się, jeden tylko „Dziennik Łódzki“, który mówiąc nawiasem, staje się pismem coraz poważniejszém, tak, że nieraz może być postawiony za wzór niejednemu organowi prasy warszawskiéj.

Sądzę, że powtórzenie kilku spostrzeżeń i myśli wyjętych z dziennika naukowego francuskiego, zainteresuje czytelników naszego pisma. Oto krótkie sprawozdanie z wspomnianego przeglądu roku 1888. Rok ten nie wyróżnił się od lat poprzednich pod tym względem, że i w nim widzimy nowe powiększenie ciężaru wydatków wojskowych, prawie we wszystkich państwach europejskich, niewystarczanie dochodów (budżet Rosyi stanowi jeden ze szczęśliwych, lecz nielicznych wyjątków w téj mierze), powiększenie podatków i długów publicznych, podwyższenie taryf celnych, spowodowane wzrastającym naciskiem interesów protekcyjnych, w połączeniu z pożerającym apetytem skarbowości. Armia niemiecka np. powiększona została o 700 tysięcy ludzi, co wywołało konieczność pożyczki 270 milionów marek. Początek dany przez jedno państwo, pociąga za sobą państwa inne, tak, że chociaż wojna — zwłaszcza od czasu, gdy klasy uprzywilejowane, rządzące i dające ton opinii, dostarczają na równi z innemi armiom „pastwy armatniéj“ — nigdzie nie jest popularną, panujący jednak w całéj Europie system pokoju zbrojnego, dogodny dla klas kierowniczych, korzystają-

cych w armii ze stanowisk uprzywilejowanych, jest rujnującym dla mas ludności.

Zwolennicy pokoju cieszą się nadzieją, że zbiednienie ludności będzie miało ten dobry skutek, iż zmusi do rozbrojenia powszechnego,—dzień ten, jednak nie jest jeszcze zbyt bliskim. Pomimo przeszkód stawianych przez systemat protekcyjny, przemysł, dzięki nauce, dzięki nowym wynalazkom i ulepszeniom, robi olbrzymie kroki naprzód, handel, przy jakiém takiém rozświetleniu horyzontu politycznego, ożywia się i powiększa swe obroty, a skutkiem wzrostu przemysłu i handlu rosną dochody prywatne, skarb więc publiczny coraz więcéj z nich czerpać może. We Francyi np. przed ćwierć wiekiem suma dochodów prywatnych wynosiła 15 miliardów, dziś wynosi 25 miliardów rocznie. Tak więc wzrost zamożności prywatnéj pozwala na powiększanie przez czas jeszcze pewien podatków i pożyczek państwowych, przeznaczonych na pokrycie potrzeb nieużytecznych, albo i wprost szkodliwych. Wątpliwém jest jednakże, czy wzrost bogactwa narodów kontynentalnych będzie trwać w równéj z dotychczasową mierze. Wzrost ten był spowodowany pomnożeniem dróg żelaznych, a więc ułatwieniem środków przewozowych, a również obniżeniem ogólném w swoim czasie taryf celnych. Gdy jednak od lat kilku sieć nowych kolei wzrasta bardzo powoli, przeciwko zaś wolności handlu nastąpiła ogólna reakcya, trudno przewidziéć, jak wpłynie na rozwój zamożności to wyłączenie obcych towarów i obcéj pracy z rynków wszystkich prawie krajów europejskich. Protekcyonizm, który owładnął całym naszym kontynentem, wywołuje wojnę taryfowo-celną, między wszystkimi prawie narodami. Wojna więc taryfowa istnieje między Włochami a Francyą, między Rosyą a Niemcami, między Austryą a Rumunią itd.

Nieszczęściem dla państw hołdujących protekcyonizmowi, Anglia pozostała wierną wolnemu handlowi i dzięki naturalnemu wynikowi systematu protekcyjnego, tj. dzięki podrożeniu kosztów produkcyi w państwach protekcyonistowskich, odzyskuje dla swych produktów coraz więcéj pozycyi, które jéj wydarły inne narody w epoce, gdy hołdowały zasadzie wolnego przemysłu i handlu. I tak wywóz wyrobów tak zwanych manufakturowych, spadł olbrzymio w ostatnich dwóch latach w Niemczech i we Francyi, a wzniósł się w Anglii. Podobnież zmniejszył się wywóz wyrobów żelaznych z Niemiec, powiększył zaś z Anglii. Można być pewnym, iż w miarę powiększania się opłat celnych na kontynencie Europy, różnica ta będzie się stawać coraz wydatniejszą i jeżeli protekcyonizm na lądzie stałym nie osłabnie, przewaga przemysłu angiel-

skiego stanie się przygniatającą. Jeszcze większe niż ze strony Anglii mogłoby pod tym względem grozić kontynentalnym państwom europejskim niebezpieczeństwo ze strony Stanów Zjednoczonych Ameryki północnéj. Gdyby Stany Zjednoczone, nieobciążone brzemieniem militaryzmu, chciały jeszcze odrzucić taryfy protekcyjne i stworzyć w ten sposób „olbrzymią maszynę do taniéj produkcyi“, wówczas przemysł europejski zostałby całkowicie przygnieciony przez północno-amerykański. Lecz i w Ameryce z wyborem nowego prezydenta utrwalił się protekcyonizm, paraliżujący przemysł amerykański i opóźniający jego tryumf nad europejskim. Dzięki temu, narody lądu naszego pozostaną jeszcze długo dość bogatemi, by opłacać ciężary protekcyonizmu i militaryzmu, zwłaszcza że na opłacenie ich wystawiają weksle, które będą musiały opłacać przyszłe pokolenia. Co się zaś stanie w przyszłości? Zdaje się, że narody europejskie przyjęły dewizę Ludwika XV: „po nas potop“....

W obec gotujących się do starcia prądów, ekonomiści, hołdujący liberalnym zasadom „nauki“, stanęli chwilowo odosobnieni, bez wpływu na życie rzeczywiste...

Ta chwilowa, pozorna sprzeczność nauki ekonomii i życia, wytworzyła nawet między ekonomistami pewną ilość mniéj lub więcéj szczerych oportunistów, którzy w różnych kierunkach, w różnéj mierze i pod różnemi nazwami starają się pogodzić ten lub ów prąd chwili z zasadami nauki. Pewném jest jednak, że chociaż nauka ekonomii politycznéj może być wykrzywianą w teoryi przez sofizmaty panujących w danéj chwili interesów, chociaż może być chwilowo ignorowaną w praktyce, lecz doświadczenie prędzéj lub późniéj ukaże ją znowu w świetle prawdziwém. Wówczas ci, którzy ją dziś opuszczają, lub zwalczają, zmuszeni będą przyznać, że lepiej było zgodnie z nią postępować.

Do tych słów francuskiego dziennika ekonomicznego, opartych na przeglądzie raczéj kilku lat ostatnich, niż jednego roku 1888, możnaby dodać, że zrozumieniu i prawidłowemu stosowaniu prawd ekonomicznych do życia przeszkadza ten fakt, iż słuszność ich daje się stwierdzić tylko przy obserwacyi dotyczących obszernych grup społecznych i długiego szeregu lat. Dla oddzielnéj zaś grupy na krótki przeciąg czasu może być korzystniejszém pominięcie prawd ekonomicznych, a nawet postępowanie wbrew tym prawdom. Jeżeli więc pewna grupa społeczna potrafi wmówić w całe społeczeństwo, że interesa cząstki są interesami całości, jeżeli przytém ta grupa własne swoje interesa na krótki tylko dystans oblicza, nie dbając o straty przyszłe, wówczas następuje

to... co np. widzimy od lat kilku w czynności naszego towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Żebranina u władz o ciągłe podwyższania taryf celnych i... na tém prawie koniec całéj działalności ekonomicznéj. Może się to zmieni w nowo uformowanéj sekcyi handlowéj towarzystwa.

* * *

Jeżeli każde własnowolne pozbawienie się życia nie może nie wywrzeć na otaczających niepokojącego wrażenia, to o ileż silniéj oddziaływa na massy wieść o samobójstwie przyszłego władcy jednego z pierwszorzędnych państw, człowieka, którego charakter osobisty mógłby nieraz zaważyć na szali wypadków europejskich. Tragiczną była śmierć cesarza Niemieckiego Fryderyka, ale z dnia na dzień oczekiwaną i w znanych a nieubłaganych siłach przyrody, od woli ludzkiéj niezależnych, źródło biorącą. Inaczéj rzecz się miała ze śmiercią następcy tronu austryackiego, Rudolfa.

Niespodzianość wieści i z początku tajemniczość, a potém—po wyświetleniu—niezwykłość przyczyny zgonu, sprawiła to, że żalowi towarzyszyła gorączkowa ciekawość i zadziwienie. Obok wrażenia natury powszechniejszéj, społecznéj, można było obserwować wiele wrażeń pojedyńczych, mniéj podniosłego gatunku. Filistrzy nie mogli się połapać, nie mogli zrozumiéć faktu przechodzącego ich pojęcie, żeby człowiek znajdujący się w takiém wyjątkowém położeniu, w położeniu w którém mógł używać... wszelkich przyjemności życia *ad libitum*, chciał się tego życia pozbawić. Oni by oczywiście takiego głupstwa nie zrobili. Oni by używali życia;—jak? może wam jasno w pierwszéj chwili nie mogliby odpowiedziéć, ale z pewnością używali by... Cygan pewien, gdy go pytano: co by zrobił, gdyby został królem, odpowiedział, że najadł by się kiełbasy i słoniny, ukradł sto rubli i uciekł za granicę. Ten także chciał po swojemu użyć życia.

Romansowe znów niewiasty wykrzykiwały: „więc są jeszcze bohaterowie, rycerze, którzy kochać umieją“, a na zapytanie: „jakto, z rana jedną, w południe drugą, a wieczorem trzecią?“ odpowiadały nieskonfundowane: „eh, co tam, choćby tuzin....; kto umié umrzéć z miłości, ten widocznie umié kochać.“ Możeby i miały nieco słuszności owe niewiasty, gdyby nie ta okoliczność, że w danym wypadku śmierć chyba nie z miłości, ale z jakiegoś przesytu życiem, z obrzydzenia do życia wynikła. *Taedium vitae* z epoki dekadencyi Rzymu powtarza się coraz częściéj w dobie dzisiejszéj, nie naprózno może dobą dekadentów zwanéj.

Smutny to objaw społeczny, ale ofiary tego objawu nie na pogardę i znęcanie się lecz na litość i współczucie zasługują. Ciężko musi być chorym na duszy ten, kogo najistotniejszy, najwytrwalszy z instynktów, instynkt pożądania życia opuścił i do rozstrzygnięcia Hamletowskiego pytania „*to be, or not to be*“ na stronę niebytu skłonił. Czy to cierpienie miało realną—w świecie zewnętrznym, — czy téż imaginacyjną—w świecie wewnętrznym osobnika—podstawę, niemniéj cierpienie musiało być do zniesienia niemożliwém. Więc jak Chrystus powiedział o jawnogrzesznicy: „wiele jéj będzie przebaczoném albowiem wiele kochała“, tak i tych nieszczęśliwych surowo sądzić się nie godzi, albowiem wiele cierpieli. Z tego téż względu dotykająca samobójców wzgarda opinii, wyrażająca się w pozbawieniu ich szczątków uroczystego pożegnania z otoczeniem i uroczystego pogrzebu—coraz mniéj surowo bywa stosowana.

W prawodawstwie karném u nas obowiązującém przechował się wprawdzie dotąd przepis, pozbawiający samobójców uroczystego pogrzebu, przepis ten atoli, podług woli prawodawcy, nie ma być stosowanym w wypadkach pozbawienia się życia w stanie duchowo anormalnym. Czy zaś może nastąpić samobójstwo w normalnym stanie ducha, na to pytanie nauka coraz kategoryczniéj i powszechniéj daje odpowiedź przeczącą. Zresztą i wykonanie kary podobnéj napotyka cały szereg niepokonanych teoretycznych i praktycznych szkopułów. Jeżeli to ma być kara, samego pozbawiającego się życia dotycząca, to przecież śmierć umarza wszelką karę. Zresztą sąd nie może wydać wyroku bez wysłuchania obrony oskarżonego, która to obrona jest wobec śmierci niemożliwą. Karanie zaś niewinnego otoczenia samobójcy sprzeciwia się kardynalnéj zasadzie prawnéj, iż każdy tylko za popełnione przez siebie czyny może być karanym. To téż w noweli kodeksu karnego, która na zatwierdzenie Rady państwa weszła, kara pozbawienia samobójców pogrzebu jest usuniętą z prawodawstwa ruskiego, podobnie jak była dawniéj jeszcze usuniętą z prawodawstw świeckich państw innych.

Zachowały tylko tę karę przepisy kościelne, oczywiście jednak i wykonawcy tych ostatnich w stronę pobłażania i wyrozumiałości się kłonią, skoro w dwóch tylko—o ile nas doszły wieści—miejscowościach, władze duchowne czyniły trudności co do odprawienia nabożeństwa z powodu śmierci arcyksięcia Rudolfa. Wreszcie i te widocznie najsurowsze, najbardziéj formalistyczne organa władzy duchownéj ustąpiły.

Bodajby ten wypadek pobłażania był precedensem stosowanym odtąd nietylko do wielkich tego świata, ale i do zwykłych może,

słabych, lecz z pewnością nieszczęśliwych śmiertelników, którzy nie umieli znaleść w sobie dość siły do życia.

* * *

Między znamionami epok dekadencyi, oprócz mnożącéj się ilości samobójstw, wymieniają również przejmowanie się społeczeństw mistycyzmem. Czyby to znamię należało upatrywać w szerzących się obecnie dziwnych objawach hołdowania ludzi inteligentnych, ludzi nauki praktykom szarlatańskim, płaszczykiem mistycyzmu okrytym? Mamy przed sobą wydane w roku bieżącym 1889 tłómaczenie książki dr. Paul'a Gibier, asystenta przy muzeum historyi naturalnéj, dokonane przez J. Wł. Dawida p. t. „Spirytyzm, studyum historyczno-krytyczne i doświadczalne". Nazwiska autora i tłómacza, sam tytuł wreszcie, każą się czytelnikowi spodziewać, że ma do czynienia z pracą rzeczywiście naukową, na odpowiednich metodach badania opartą, a jasno i trzeźwo przedstawioną. Cóż spotykamy w treści „objaśnionéj drzeworytami" wyobrażającemi jakieś postacie z maskarady i jakieś autograficzne kopie zdań banalnych, lub wprost bezsensownych, nieortograficznie napisanych? Szereg bajek z dalszéj i bliższéj przeszłości, bez żadnéj krytyki, lub co gorzéj z pozorami krytyki naukowéj podanych.

Pozostawiając specyalnemu recenzentowi „Ateneum" szczegółowe sprawozdanie z przyswojonego naszemu piśmiennictwu studyum p. Gibier'a, nie możemy powstrzymać się od uwagi, że gdybyśmy nawet w rzeczywistość pojawiania się opisanych i odfotografowanych w tém studyum „duchów" uwierzyli, to zarazem musielibyśmy nabrać przekonania, iż były to duchy tak niemądre, że nic się od nich nauczyć nie można a więc wywoływać ich... doprawdy nie było warto. Za to pomiędzy metodami, wobec zjawisk spirytystycznych używanemi, zauważyliśmy jedną, nietyle może nową, ile w nowy sposób do badań naukowych zastosowaną. Mówię tu o wzmiankowanéj w studyum pana Gibier manipulacyi, mającéj na celu rozpoznanie płci objawiającego się ducha.

* * *

W chwili, gdy znakomity dr. Charcot w Paryżu, w przemowie do doktoryzującéj się młodéj warszawianki, panny Karoliny Szulc, zaprzecza kobietom—w pełnych zresztą pozornéj galanteryi wyrazach — zdolności do poświęcania się zawodowi lekarskiemu, kolegium zaś sądu apelacyjnego w Brukselli, odmawiając pannie Popelin przyjęcia do grona adwokatów, orzeka, iż „kobiéta, do-

tknięta niezdolnością prawną przedsiębrania czegokolwiek bez asystencyi męża, nie może tém samém dokonać na czyjąś korzyść czynności, których zrobić nie ma prawa dla siebie saméj"; — w téj saméj chwili grono mieszkanek naszego grodu chce dowieść, iż potrafi dokonać dzieła, jakiego ich ojcowie, mężowie i bracia dokonać nie potrafili. Upadły „domy zleceń rolniczych" w Hrubieszowie, Kaliszu i Płocku, upadł „Tellus", upadły i inne próby działalności ekonomicznéj zbiorowéj, przez mężczyzn w kraju naszym rozpoczęte i oto... dwadzieścia ośm pań odważa się na próbę podobnéj działalności zbiorowéj. Skromniejszą jest wprawdzie ta próba w rozmiarach, niemniéj jednak pożyteczną, gdyż ma na celu utworzenie stałego bazaru dla wyrobów pracy kobiecéj. W tych dniach ma być otworzony sklep bazaru przy ulicy Wierzbowéj w Hotelu Angielskim. Powodzenia!

(— X —)



OGŁOSZENIA.

— Komitet Kasy pomocy dla osób pracujących na polu naukowém, imienia J. Mianowskiego, podaje do wiadomości, że z zapisu Jakóba Natansona przyznane zostaną w roku bieżącym dwie nagrody pieniężne.

Jedna nagroda przyznaną będzie za najlepszą pracę z dziedziny nauk ścisłych (matematyka, nauki przyrodnicze włącznie z biologicznemi), ogłoszoną drukiem w języku polskim między 14 września 1884 roku a 31 grudnia 1888; druga za takąż pracę w dziedzinie nauk społecznych, filozoficznych, prawnych, historycznych lub tym podobnych.

Zgodnie z ustawą Kasy pomocy i stosownie do zastrzeżeń uczynionych przez zapisodawcę powyższe nagrody udzielone być mogą jedynie: poddanym rosyjskim, mieszkańcom Królestwa Polskiego, w Królestwie urodzonym.

Komitet, zarządzający Kasą, własném staraniem usiłuje zebrać, dla poddania ocenie, prace ogłoszone w wymienionym okresie dla uniknienia jednak możliwych przeoczeń, prosi o składanie prac, o których mowa, w biurze Komitetu (Bank Handlowy) lub na ręce jednego z Członków Komitetu, przed końcem lutego, bieżącego roku.

Prezes Komitetu. *Dr. J. Baranowski.*

Członek Komitetu, Sekretarz: *Konrad Dobrski.*

— Zarząd oddziału Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu, ma zaszczyt zawiadomić osoby interesowane, które pragnęłyby zakładać kasy pożyczkowo-oszczędnościowe, że celem powzięcia odpowiednich ku temu informacyi, mogą zgłaszać się do Kancelaryi Oddziału (Krak. Przedm. 66), a na żądanie otrzymają: gotowe ustawy, do których trzeba będzie tylko wpisać nazwiska i cyfry; formy podania do p. Ministra Skarbu o zatwierdzenie ustawy, oraz wszelkie potrzebne informacye. Po zatwierdzeniu zaś ustawy, dane im będą wzory dokumentów, ksiąg i rachunkowości.

— Redakcya „Tygodnika ilustrowanego“ ogłasza niniejszém konkurs na rysunki rodzajowe z tematów miejskich lub wiejskich.

Każdy z pp. malarzy pragnących uczestniczyć w konkursie, zechce dostarczyć jeden rysunek obranéj treści, albo téż dwa, z obu

tematów po jednym. Rysunki mają być wykonane do trawienia, rozmiarów jednéj stronicy „Tygodnika“. Termin nadsyłania rysunków oznacza się do dnia 15-go kwietnia r. b. Rysunki nie powinny miéć podpisu, lecz zawierać przy sobie kopertę zamkniętą z nazwiskiem autora wewnątrz, a godłem zewnątrz, powtórzoném na samym rysunku.

Z pomiędzy nadesłanych utworów, redakcya, łącznie z kierownikiem artystycznym „Tygodnika“ p. *Miłoszem Kotarbińskim*, przy współdziałaniu zaproszonych pp. *Leopolda Horowitza* i wiceprezesa Towarzystwa zachęty sztuk pięknych *Lucyana Wrotnowskiego*, wybierze kilka do wytrawienia i umieszczenia w swém piśmie, aby publiczność, w sposób już znany z poprzednich naszych konkursów, wybrała dwa rysunki do nagrody większością głosów.

Pierwsza nagroda wynosi rs. *sto*, druga rs. *pięćdziesiąt*, oprócz zwykłego honoraryum, które będzie wypłacone i za inne rysunki konkursowe, zamieszczone na kartach „Tygodnika“.

Od połowy lutego 1889 r., ma zacząć wychodzić zeszytami 1 do 2 tygodniowo (16 stronic formatu dużego) wybór dzieł *Kazimierza Wł. Wójcickiego* w ozdobném wydaniu, z ilustracyami najcelniejszych rysowników, pod redakcyą Adama Pługa (A. Pietkiewicza), J. K. Plebańskiego i Zygmunta Glogera. Wydawnictwo rozpocznie „**Cmentarz powązkowski**“, na czele którego pomieszczona będzie wyczerpująca monografia Cmentarza Powązkowskiego. Ażeby jaknajbardziéj uprzystępnić dla ogółu nabywanie tych dzieł, naznaczamy cenę zeszytu tylko na kop. 20, z dodatkiem zaś „Przewodnika po Cmentarzu Powązkowskim“ 5 kop. drożéj; na prowincyi i w Cesarstwie cena zeszytu kop. 25. Płacący z góry za cały tom, składający się z 20 zeszytów, wniosą opłatę za 18, dwa zaś ostatnie otrzymają darmo. Prenumerować można we wszystkich księgarniach w kraju i zagranicą, jakoteż w Składzie Głównym w drukarni W. Ratyńskiego (dawniéj J. Bergera), Elektoralna Nr. 14 w Warszawie.



NEKROLOGIA.

† **Władysław Orłowski**, urodzony 15 sierpnia 1835 r. pobierał nauki najprzód w Siedlcach, potém w uniwersytecie charkowskim. W r. 1856 został lekarzem wojskowym. Gdy w r. 1862 ogłoszono konkurs na posadę pomocnika prosektora przy katedrze anatomii opisowéj w Szkole Głównéj, ubiegał się o to miejsce i otrzymał je. W 1867 mianowano go prosektorem przy teatrze anatomicznym; w 1869 otrzymał stopień doktora med. a gdy otwarto uniwersytet, został prosektorem przy katedrze anatomii patologicznéj do r. 1872. Od r. 1862 był ordynatorem w oddziale chorób zewnętrznych przy szpitalu Dzieciątka Jezus, a od 1876 konsultantem w oddziale chirurgicznym przy szpitalu na Pradze. Trzykrotnie obierano go prezesem Towarzystwa Lekarskiego. Rozprawa jego doktorska ma napis: „O zwężeniach cewki moczowéj u mężczyzn“ (Warsz. 1869, str. 195). Inne jego artykuły w ogólnéj liczbie 60 dotyczące chirurgii mieściły się w czasopismach lekarskich, mianowicie zaś w „Pamiętniku lekarskim“, „Gazecie lekarskiéj“, „Klinice“, „Medycynie“, po niemiecku zaś w „Centralblatt für Chirurgie“. Zmarł w Warszawie 16 lutego r. b.



Wydawca **W. Spasowicz**. — Redaktor **Piotr Chmielowski**.

NOWE KSIĄŻKI

nadesłane do redakcyi „Ateneum"

w Styczniu i Lutym 1889 r.

1. **Jak się uczyć i jak uczyć innych**. Napisał *Adolf Dygasiński* (Wydawnictwo Gebethnera i Wolffa,) Warsz. 1889, 8-o, zeszyt I, str. 24; zeszyt II, str. 25—48; zeszyt III str. 49—72; zeszyt IV, str. 73—96; zeszyt V, str. 97—120; zeszyt VI. str. 121—144; zeszyt VII, 145—168; zeszyt VIII, str. 169—192; zeszyt IX, str. 193—216. (Cena zeszytu kop. 10.)
2. **Pan Wojciech**. Powieść *Aleksandra Mańkowskiego*. Warsz. Gebethner i Wolff, 1889, 8-o, str. 272.
3. **Rocznik** Towarzystwa osad rolnych i przytułków rzemieślniczych, za rok 1887, (wydany staraniem Zarządu Towarzystwa). Warsz. 1888 r., 8-o, str. 197+75.
4. **Trzy legendy z dawnych lat**. Według obcych podań opowiedział *Adam Plug*. Illustrował *E. M. Andriolli*. Warsz. u Teod. Paprockiego i S-ki, 1889, folio, str. 71.
5. **W trzechsetną rocznicę** założenia gimnazyum Św. Anny w Krakowie. Wiersz prof. *Wincentego Stroki*; 8-o, str. 7.
6. **Słownik geograficzny** Królestwa Polskiego i innych krajów słowiańskich wydany pod redakcyą *Bronisława Chlebowskiego* i *Władysława Walewskiego*. Zeszyt 107 od str. 801 do 880; zeszyt 108 (koniec tomu IX) od str. 881 do 960.
7. **Deutsch böhmisch-russisches berg-und hüttenmännisches Wörterbuch** enthaltend die wissenschaftlichen und technischen Ausdrücke... zusammengestellt von *Edward Horovsky*. Praga, 1888, 4-o, zeszyt I (str. 48); cena 80 krajcarów. Całość zajmie 9 do 10 zeszytów.
8. **Notice sur l'Eglise Réformée de Pologne**. Par *Alfred Melon*. Cean, 1888, 8-o, str. 44.
9. *Zygmunt Sarnecki*. **Nowelle**. (Stasia. Drugie Dziecko, Wróble. Powiem mamie. Nastka. Sielanka) Warsz. nakł. G. Centnerszwera, 1888, 8-o, str. 191.
10. *Wincenty Kosiakiewicz*. **Widmo** (i inne nowele). Krak. nakł. Gebethnera i S-ki, 1889, 8-o, str. 247.
11. **Ruch**, Kalendarz encyklopedyczny na rok 1889 (zamiast dodatku miesięcznego do „Przeglądu Tygodniowego" za Grudzień 1888 roku). Warsz. 1889, 8-o, str. 198.
12. **Antropologia**. Dodatek do „Prawdy". Kwartał IV—1888 r. (ark. 7—12).
13. **Receuil des instructions** données aux ambassadeurs et ministres de France depuis les traités de Westphalie jasqu'a le révolution française, publié sous les auspices de la commission des archives diplomatiques au ministère des affaires étrangeres. **Pologne** avec une introduction et des notes par *Louis Farges*. Paris, 1888, 8-o, Tom. I (1648—1729), p. LXXXII +344; T. II (1729—1794) p. 372.
14. **Pamiętnik fizyjograficzny**. Tom VII. Warsz. 1888. 4-o, Dział I. Meteorologija, str. 191. Dział II. Gieologija z chemiją, str. 55. Dz. III. Botanika i zoologija, str. 389. Dz. IV. Antropologija, str. 16. Dz. V. Miscellanea, str. 32. (z 27 tablicami rysunków).
15. **Historya literatury polskiej** na tle dziejów narodu skreślona przez *Maryana Dubieckiego*. Warsz. nakł. Maurycego Orgelbranda, 1888, 8-o, zeszyt XI (od str. 337 do 416).
16. **Wyrok Lwowski** roku 1421. Wydał i objaśnił *Romuald Hube*. Biblioteka umiejętności prawnych zesz. 117. Warsz. 1888, 8-o, str. 43. cen. k. 40.
17. **Barbaryzmy i dziwolągi językowe** przez J. Blizińskiego, napisał *K. P.* Kraków, 1888, 8-o, str. 19
18. **Encyklopedya rolnicza** wydawana staraniem i nakładem Muzeum Przemysłu i Rolnictwa. Zeszyt II, Ał. Anat. (od str. 81 do 160.)

ATENEUM

PISMO NAUKOWE I LITERACKIE

wychodzi w roku 1889, jak dotychczas, na początku każdego miesiąca zeszytami, najmniéj 12 arkuszy druku zawierającemi.

I. Artykuły wstępne dotyczące ważnych zagadnień bieżących treści społecznéj lub naukowéj.

II. Powieści i poezye, oryginalne i tłomaczone.

III. Studya z dziedziny historyi, etnografii, lingwistyki i mitologii, ze szczególnem uwzględnieniem dziejów i stosunków polskich.

IV. Rozprawy wyświetlające ważniejsze chwile z dziejów piśmiennictwa naszego i obcego.

V. Obrazy stanu politycznego, urządzeń publicznych i przedsiębranych w świecie cywilizowanym reform, o ile się one doniosłością swoją uwydatnią.

VI. Studya z dziedziny filozofii, a zwłaszcza psychologii, etyki i estetyki.

VII. Artykuły treści wychowawczéj.

VIII. Rozprawy z zakresu nauk przyrodniczych.

IX. Kronika miesięczna, w której bieżące objawy życia społecznego znajdą sprawozdanie i krytykę.

X. Przegląd ważniejszych objawów wśród przedstawień scenicznych.

XI. Rozbioty, sprawozdania i wrażenia literackie, w których zawrze się obraz ruchu naukowo-literackiego i artystycznego, objawiającego się w nowo wychodzących utworach.

Warunki przedpłaty.

Prenumerata **Ateneum** w Warszawie, w guberniach Królestwa i Cesarstwa oraz we wszystkich krajach należących do związku pocztowego wyno[illegible]

Rocznie Rs. 12. Półrocznie 6. Kwartalnie Rs. 3.

Prenumeratorów z prowincyi upraszamy o nadsyłanie prenumeraty bezpośrednio:

DO REDAKCYI ATENEUM. Obożna, 5.

Дозволено Цензурою, Варшава 21 Февраля 1889 г.